

Sue Grafton

alfabet  
zbrodni



**a** jak

**alibi**



Fabryka  
kryminatu

**alfabet  
zbrodni**

Sue Grafton

# **a jak alibi**

z angielskiego przełożyła  
Gabriela Iwasyk



Warszawa 2013

Tytuł oryginału:  
*"A" is for alibi*

Copyright © 1982 by Sue Grafton

Copyright © for the Polish edition by Buchmann Sp. z o.o., Warszawa 2012

All rights reserved  
Copyright © for the Polish translation by Gabriela Iwasyk

Projekt okładki: Krzysztof Kiełbasiński  
Redakcja: Ita Turowicz  
Korekta: Bogumiła Jędrasik, Paulina Martela  
Skład: TYPO 2

ISBN 978-83-7881-297-5

Wydawca:  
Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.  
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17  
tel. 22 828 98 08, 22 894 60 54  
[biuro@gwfoksal.pl](mailto:biuro@gwfoksal.pl)  
[www.gwfoksal.pl](http://www.gwfoksal.pl)

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)  
i Aneta Rawska / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

Dedykacja

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

*Mojemu ojcu,  
Chipowi Graftonowi,  
dzięki któremu podążam tą drogą*

# 1

Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem z licencją wydaną przez stan Kalifornia. Mam trzydzieści dwa lata, dwa rozwody na koncie, dzieci – brak. Dwa dni temu kogoś zabiłam i nie jest mi z tym lekko. Należę do raczej miłych osób i nie brakuje mi przyjaciół. Mieszkanko mam małe, ale lubię ciasnotę. Przez większość życia domem były mi przyczepy mieszkalne, ostatnio jednak stały się zbyt wyszukane jak na mój gust, więc przeniosłam się do mieszkania z jednym pokojem, typowej kawalerki. Nie mam zwierząt. Nie mam roślin doniczkowych. Wiele czasu spędzam w drodze, a nie chciałabym, żeby zostawały w domu same. Jeśli nie liczyć ryzyka wpisanego w uprawianie mojego zawodu, można powiedzieć, że wiodę zwyczajne, pozbawione przygód, uczciwe życie. Dlatego dziwnie się czuję z tym zabiciem kogoś, jeszcze nie przeszłam nad tym do porządku dziennego. Złożyłam już raport na policji, zaparafowałam w nim każdą stronę, a na ostatniej złożyłam podpis. Podobny raport sporządziłam na potrzeby swojego biura. Oba dokumenty napisane są neutralnym językiem, z użyciem formalnej terminologii i żaden z nich nawet w przybliżeniu nie oddaje tego, co się naprawdę wydarzyło.

Trzy tygodnie temu Nikki Fife odwiedziła moje biuro. Zajmuję mały kącik w wielkim biurowcu mieszczącym towarzystwo ubezpieczeniowe California Fidelity, dla którego kiedyś pracowałam. Teraz nasz związek jest raczej luźny. Prowadzę dla nich pewną liczbę spraw, a oni w zamian zapewniają mi dwa pomieszczenia z oddzielnym wejściem oraz balkonem, z którego roztacza się widok na główną ulicę Santa Teresa. Korzystam z serwisu telefonicznego – gdy mnie nie ma, połączenia kierowane są na centralę, odbiera telefonistka. Sama prowadzę swoją księgowość. Nie zarabiam wiele, ale wiązę koniec z końcem.

Większość poranka spędziłam poza biurem, wstąpiłam tu tylko po

aparatu fotograficznego. Nikki Fife stała w korytarzu przed moimi drzwiami. Nie znałyśmy się osobiście, ale osiem lat wcześniej byłam na jej procesie. Została skazana za zabicie męża, Laurence'a, znanego w mieście prawnika od spraw rozwodowych. Nikki miała wtedy jakieś dwadzieścia siedem lat, jasne jak len włosy, ciemne oczy i nieskazitelną cerę. Jej szczupła twarz nieco się od tamtego czasu zaokrągliła, prawdopodobnie wskutek spożywania bogatego w skrobię więziennego jedzenia, jednak nadal wyglądała tak eterycznie, że oskarżenie jej o morderstwo wydawało się absurdalne. Jej włosy wróciły do naturalnego koloru, brązu tak jasnego, iż robiły wrażenie niemal pozbawionych koloru. Miała jakieś trzydzieści pięć, może trzydzieści sześć lat, ale czas spędzony w kalifornijskim zakładzie karnym dla kobiet nie zostawił na jej twarzy widocznych śladów.

Bez słowa otworzyłam drzwi i puściłam ją przodem.

– Wie pani, kim jestem – zaczęła.

– Kilka razy pracowałam dla pani męża.

Przyjrzała mi się uważnie:

– Jak *bliska* to była współpraca?

Wiedziałam, o co jej chodzi.

– Byłam też w sądzie na pani rozprawie – dodałam. – Ale jeśli pani pyta, czy nasza relacja miała charakter osobisty, to odpowiedź brzmi: nie. Nie był w moim typie. Bez urazy. Napije się pani kawy?

Kiwnęła głową; zauważyłam, że się trochę rozluźniła. Z dolnej części szafki na dokumenty wyciągnęłam maszynkę do kawy i napełniłam ją wodą mineralną Sparkletts, którą trzymałam w plastikowej butelce za drzwiami. Podobało mi się, że Nikki nie protestuje, iż robię sobie za dużo kłopotu. Włożyłam papierowy filtr, nasypałam mielonej kawy i podłączyłam urządzenie do prądu. Bulgotanie parzącej się kawy miało w sobie coś kojącego, przypominało odgłos wydawany przez pompę w akwarium.

Nikki siedziała bardzo spokojnie, zupełnie jakby swoje emocjonalne biegi wrzuciła na luz. Nie miała nerwowych odruchów, nie paliła ani nie nakręcała na palec pasma włosów. Usiadłam na fotelu obrotowym.

– Kiedy wyszła pani z więzienia?



– Tydzień temu.

– I jak się pani czuje na wolności?

Wzruszyła ramionami:

– Chyba nie najgorzej. Ale za kratami też dawałam sobie radę. Lepiej, niż pani przypuszcza.

Sięgnęłam w prawo do niewielkiej lodówki i wyjęłam z niej mały karton mleka. Czyste kubki trzymam do góry dnem, więc gdy kawa była gotowa, odwróciłam dwa z nich i napełniłam. Nikki wzięła swój, mamrocząc podziękowanie.

– Domyślam się, że pewnie niejedną raz to pani słyszała – mówiła dalej – ale nie zabiłam Laurence’a. Chcę się dowiedzieć, kto to zrobił.

– Dlaczego dopiero teraz? Mogła pani wszcząć śledztwo z więzienia, może oszczędziłaby pani sobie kawałek życia?

Uśmiechnęła się blado.

– Od lat powtarzam, że jestem niewinna. Ale kto by mi uwierzył? W momencie gdy zostałam oskarżona, straciłam wiarygodność. Teraz zamierzam ją odzyskać. I chcę się dowiedzieć, kto mnie zrobił.

Jej oczy wydawały mi się ciemne, ale teraz dostrzegłam, że są szare z metalicznym połyskiem. Robiła wrażenie zgaszonej, jakby jej wewnętrzne światło przygasło i było bliskie wypalenia się. Kobieta, której nie zostało w życiu wiele nadziei. Jeśli o mnie chodzi, to nigdy nie wierzyłam, że jest winna, teraz jednak nie wiem, skąd czerpałam tę pewność. Wydawała się osobą pozbawioną namiętności, nie potrafiłam sobie wyobrazić, żeby coś wzbudziło w niej emocje tak silne, by pchnąć ją do morderstwa.

– Opowie mi pani, co się naprawdę stało?

Upiła łyk kawy i odstawiła kubek na brzeg biurka.

– Byłam żoną Laurence’a przez cztery lata, nawet trochę dłużej. Zaczął mnie zdradzać po pierwszych sześciu miesiącach. Nie wiem, czemu było to dla mnie takim szokiem. W końcu w podobny sposób zostaliśmy parą... zdradzał ze mną swoją pierwszą żonę. W każdym razie nigdy się nie spodziewałam, że znajdę się na jej miejscu, a kiedy się znalazłam, wcale mi się to nie podobało.

– Zdaniem prokuratora, właśnie dlatego pani go zabiła.

– Proszę posłuchać, musieli kogoś skazać. Padło na mnie – powie-

działa, po raz pierwszy z pewnym ożywieniem. – Ostatnie osiem lat spędziłam w towarzystwie różnego rodzaju morderczyń i, może mi pani wierzyć, obojętność nigdy nie jest motywem. Zabija się z nienawiści albo w gniewie, albo żeby wyrównać rachunki, ale nie zabija się kogoś, wobec kogo jest się absolutnie obojętnym. Już jakiś czas wcześniej, zanim Laurence zginął, miałam go gdzieś. Odkochałam się, gdy tylko odkryłam, że zadaje się z innymi. Chwilę mi zajęło, zanim wyrzuciłam z siebie to wszystko...

– Dlatego prowadziła pani dziennik?

– Owszem, na początku go śledziłam. Opisywałam ze szczegółami każdą zdradę. Podśluchiwałam jego rozmowy telefoniczne. Biegałam za nim po mieście. Potem zaczął być ostrożny, a ja powoli traciłam zainteresowanie. Po prostu przestało mnie to obchodzić.

Zarumieniła się. Postanowiłam dać jej chwilę, żeby ochłonęła.

– Wiem, wszyscy myśleli, że zabiłam go z zazdrości albo z zemsty, ale on już wtedy naprawdę nic dla mnie nie znaczył. Nim jeszcze umarł, po prostu chciałam zacząć żyć po swojemu. Zapisać się na studia, zająć się swoimi sprawami. On poszedł swoją drogą, a ja – swoją... – mówiła coraz ciszej, aż wreszcie jej głos zupełnie rozplynął się w ciszy.

– Jak pani sądzi, kto go zabił?

– Na pewno wiele osób miało na to ochotę. Która z nich to zrobiła, to inna sprawa. Problem w tym, że mam pewne podejrzenia, ale żadnych dowodów. I dlatego tu jestem.

– Dlaczego przyszła z tym pani akurat do mnie?

Znowu się lekko zarumieniła.

– Odwiedziłam dwie duże agencje detektywistyczne w mieście, ale nie były zainteresowane. Natknęłam się na pani nazwisko w starym wizytowniku Laurence'a. Pomyślałam, że byłaby w tym pewna ironia, gdybym zatrudniła kogoś, kogo on kiedyś zatrudniał. Pytałam o panią Cona Dolana z wydziału zabójstw.

Zmarszczyłam brwi:

– To było jego śledztwo, prawda?

Nikki skinęła głową:

– Tak. Powiedział, że ma pani dobrą pamięć. A ja wolę nie

wyjaśniać wszystkiego od początku.

– A Dolan? Czy wierzy w pani niewinność?

– Nie sędzę. W końcu odsiedziałam swoje, więc co go to obchodzi?

Przez chwilę uważnie się jej przyglądałam. Mówiła prosto z mostu i sensownie. Laurence Fife był trudnym człowiekiem. Szczerze mówiąc, wcale za nim nie przepadałam. Nie widziałam powodu, dlaczego – jeśli była winna – miałyby to wszystko od nowa rozgrzebywać. Jej gehenna dobiegła końca, a tak zwany dług wobec społeczeństwa został spłacony, tyle że musiała jeszcze dotrzymać warunków przedterminowego zwolnienia.

– Muszę się zastanowić – powiedziałam. – Jeszcze dzisiaj dam odpowiedź, czy biorę tę sprawę.

– Będę wdzięczna. Cena nie gra roli. Mam pieniądze.

– Nie chcę zarabiać na bezsensownym rozgrzebywaniu starych spraw, pani Fife. Nawet jeżeli odkryjemy, kto to zrobił, musimy mieć dowody, a po tylu latach może z tym być ciężko. Muszę przejrzeć akta i zobaczyć, jak to wygląda.

Sięgnęła do swojej wielkiej skórzanej torby i wyjęła z niej żółtawą teczkę na dokumenty.

– Przyniosłam wycinki z gazet. Jeżeli pani chce, mogę je zostawić. A to numer, pod którym można mnie zastać.

Podaliśmy sobie ręce. Jej dłoń była chłodna i smukła, ale uścisk miała silny.

– Proszę mówić do mnie Nikki.

– Zadzwońię – powiedziałam.

Miałam w planach sfotografować dziurę w chodniku w sprawie pewnego roszczenia ubezpieczeniowego, więc wyszłam z biura niedługo po Nikki i wkrótce mknęłam swoim volkswagenem po autostradzie. Lubię mieć w samochodach dużo rzeczy. Ten był wypełniony dokumentami i książkami prawniczymi, znajdowała się tam również aktówka, w której trzymam mały automatyczny pistolet, kartonowe pudła i pojemnik oleju silnikowego otrzymany od klienta. Dał się oszukać dwóm naciągaczom, którzy „pozwolili” mu zainwestować dwa patyki w swoją spółkę naftową. Olej był, owszem, prawdziwy,

tylę że nie ich – zwykle piętnastokilowe pojemniki Searsa z naklejonymi nowymi etykietami. Wytropienie cwaniaczków zajęło mi półtora dnia. Oprócz tego badziewia mam w aucie również neseser spakowany, na wypadek gdybym – w wyniku Bóg raczy wiedzieć jakiego nagłego wydarzenia – nagle była zmuszona spędzić noc poza domem. Nie wzięłabym zlecenia od klienta, który by wymagał, abym pracowała tak szybko. Jednak świadomość, że zawsze mam pod ręką nocną koszulę, szczotkę do zębów i bieliznę na zmianę daje mi jakieś poczucie bezpieczeństwa. Mam swoje małe dziwactwa, jak każdy. Mój volkswagen to rocznik 1968, jeden z tych beżowych modeli z licznymi wgnieceniami na masce. Przydałoby mu się podrasować silnik, ale nigdy nie mam na to czasu.

W czasie jazdy rozmyślałam o Nikki. Żółtawa teczka z wycinkami leżała na fotelu pasażera, ale tak naprawdę nie musiałam jej otwierać. Laurence Fife przeprowadził wiele rozwodów i cieszył się opinią prawdziwej żyłety na sali sądowej. Był zimny, metodyczny i pozbawiony skrupułów, nie wahał się wykorzystać żadnej okazji, jaka mu się nadarzyła. W Kalifornii, tak jak w wielu innych stanach, jedyną podstawą do rozwodu są różnice charakteru nie do pogodzenia albo nieuleczalna choroba umysłowa. Wprowadzenie tego paragrafu skutecznie wyeliminowało wywlekanie sfingowanych dowodów na zdradę, które w zamierzonych czasach były podstawowym narzędziem pracy adwokatów specjalizujących się w rozwodach i prywatnych detektywów. Oczywiście pozostaje jeszcze kwestia podziału majątku i praw rodzicielskich – dwie fundamentalne sprawy, pieniądze i dzieci – a Laurence Fife potrafił tu zdziałać cuda. Jego klientami były głównie kobiety. Poza salą sądową cieszył się reputacją twardziela innego rodzaju. Wieść gminna niosła, że w ciężkim okresie pomiędzy orzeczeniem tymczasowym a wyrokiem ostatecznym pocieszył niejedną klientkę.

Uważałam go za człowieka przebiegłego, prawie całkowicie pozbawionego poczucia humoru, ale solidnego; za człowieka, z którym łatwo się pracuje, bo ma konkretne oczekiwania i płaci z góry. Jednak nie było tajemnicą, że wielu ludzi go nienawidziło: mężczyźni za pieniądze, które im odbierał, a kobiety z racji zaufania, którego

nadużywał. W chwili śmierci miał trzydzieści dziewięć lat. To, że Nikki została oskarżona, postawiona przed sądem, a następnie uznana za winną, nie było niczym więcej jak wynikiem splotu fatalnych zbiegów okoliczności. Jeśli nie liczyć morderstw dokonanych przez maniakalnych zabójców, policjanci zwykle przypuszczają, że sprawcą jest ktoś, kogo ofiara znała i kochała. I często mają rację. Trochę to przerażające, jeśli właśnie siadasz do kolacji ze swoją pięcioosobową rodziną. Piątka potencjalnych morderców wymieniających się półmiskami.

Z tego, co pamiętałam, Laurence Fife spędził swój ostatni wieczór, popijając drinki ze współnikiem z kancelarii, Charliem Scorsonim. Nikki była na spotkaniu Klubu Kobiet. Dotarła do domu przed Laurence'em, który przyjechał około północy. Regularnie zażywał leki antyalergiczne, więc przed położeniem się do łóżka, jak co wieczór, połknął kapsułkę. Nie dane mu było pospać nawet dwóch godzin. Obudziły go mdłości, wymiotował, bóle brzucha stały się tak ostre, że nie był w stanie się wyprostować. Rano już nie żył. Sekcja zwłok i badania laboratoryjne wykazały, że przyczyną śmierci był starty na pył liść oleandra, który znajdował się w połkniętej kapsułce. Sposób niezbyt błyskotliwy, ale skuteczny. Oleander to często spotykany w Kalifornii krzew. Jeden nawet rósł na podwórku za domem państwa Fife'ów. Na buteleczce odkryto odciski palców Laurence'a i Nikki. Ponadto wśród jej rzeczy znaleziony został dziennik, w którym między innymi szczegółowo opisywała jego zdrady, dawała upust wściekłości i zastanawiała się nad rozwodem. Prokurator okręgowy zgrabnie przedłożył, że nikt bezkarnie nie rozwodzi się z Laurence'em Fife'em. Laurence Fife miał już za sobą jedno zakończone rozwodem małżeństwo i choć formalnie sprawę prowadził wtedy inny adwokat, wpływ zainteresowanego był oczywisty. Zapewnił sobie prawo do opieki nad dziećmi, a na dodatek nieźle na tym wyszedł finansowo. Kalifornia słynie ze skrupulatności, z jaką dzielony jest majątek po rozwodzie, ale Laurence Fife miał swoje sposoby na takie manewrowanie pieniędzmi, żeby nawet standardowy podział pół na pół w rzeczywistości zapewnił mu lwią cześć. Wyglądało na to, że Nikki była zbyt sprytna, by próbować się od niego uwolnić za pomocą legalnych

środków, i wolała wybrać pewniejszy sposób.

Miała motyw. Miała sposobność. Wielka ława przysięgłych zapoznała się z materiałem dowodowym i zdecydowała o wniesieniu aktu oskarżenia. Gdy Nikki znalazła się w sądzie, wszystko sprowadzało się do tego, która strona zrobi lepsze wrażenie na dwunastu obywatelach. Najwyraźniej prokurator okręgowy odrobił zadanie domowe. Nikki wynajęła Wilfreda Brentnella, niekwestionowaną gwiazdę palestry z Los Angeles, cieszącego się opinią specjalisty od spraw beznadziejnych. W pewnym sensie było to prawie przyznanie się do winy. Cały proces odbył się w atmosferze sensacji. Nikki była młoda i piękna. Pochodziła z zamożnego domu. Miasto było małe, a ludzie ciekawscy. Praktycznie mówiąc, nie miała szans.

## 2

Santa Teresa to osiemdziesiąt tysięcy miasteczko na południu Kalifornii, zgrabnie umiejscowione pomiędzy górami Sierra Madre a Pacyfikiem, które upodobali sobie obrzydliwie bogaci ludzie. Budynki użyteczności publicznej wyglądają jak stare hiszpańskie misje, domy prywatne niczym ilustracje z magazynu, palmy nie mają brzydkich, brązowych liści, a przystań jest wprost idealna jak obrazek z pocztówki, z błękitnoszarymi wzgórzami w tle i kołyszzącymi się w słońcu białymi łódkami. W centrum miasta dominują jedno- i dwupiętrowe białe budynki z pokrytymi czerwoną dachówką dachami, szerokimi, łagodnie wygiętymi łukami i kratami oplecionymi jaszkrawą rdzawoczerwoną bugenwillą. Nawet drewniane bungalowy zamieszkałe przez mniej zamożnych mieszkańców są zadbane.

Departament Policji mieści się blisko centrum miasta, w bocznej uliczce z dwoma szeregami pomalowanych na miętowy kolor domków, ukrytych za niskimi kamiennymi murkami i drzewkami jakarandy, uginającymi się pod ciężarem lawendowych kwiatów. Zima w południowej Kalifornii to pochmurna pora roku, a jej nadejście zwiastuje nie jesień, ale pożary. Po pożarach przychodzą błotne lawiny. A potem powraca *status quo* i życie toczy się swoim stałym rytmem. Nikki odwiedziła mnie w maju.

Podrzuciłam do zakładu film do wywołania, a następnie udałam się do wydziału zabójstw, żeby się spotkać z porucznikiem Dolanem. Con jest mężczyzną grubo po pięćdziesiątce. Jego wygląd charakteryzują wory pod oczami, kilkudniowy szary zarost, zapuchnięta twarz i włosy najpierw potraktowane jakimś rodzajem kosmetyku dla mężczyzn, a następnie zaczesane tak, by ukryć lśniąca miejsce na czubku głowy. Wygląda na faceta, który pod mostem popija tanie wino, a potem wymiotuje na własne buty. W rzeczywistości to świetny gliniarz. Con Dolan ma w głowie o wiele więcej rozumu niż przeciętny złodziej. Idzie łeb w łeb z zabójcami. Zwykle udaje mu się ich

dopaść i tylko od czasu do czasu jego domysły okazują się mylne. Nie wielu ludzi potrafi go przechytryć. Sama nie wiem, dlaczego tak jest, chyba ze względu na jego umiejętność intensywnej koncentracji czy też niezwykle dobrą i bezlitosną pamięć. Wiedział, w jakiej sprawie przyszedłam, gestem zaprosił mnie do siebie.

Miejsce, które Con Dolan nazywa swoim biurem, gdzie indziej uchodziłoby za sekretariat. Dolan nie lubi siedzieć za zamkniętymi drzwiami i ma gdzieś prywatność. Lubi pracować odchyłony w krześle, jednym okiem obserwując, co się dzieje w całym wydziale. W ten sposób zdobywa wiele informacji i oszczędza sobie wielu niepotrzebnych rozmów ze swoimi ludźmi. Wie, kiedy jego detektywi przychodzą i wychodzą, wie, kogo przyprowadzają na przesłuchanie, wie również, kiedy i dlaczego raporty nie są dostarczane na czas.

– W czym mogę pomóc? – zapytał, ale nie brzmiało to tak, jakby naprawdę *chciał* pomóc.

– Chętnie rzuciłabym okiem na akta sprawy Laurence’a Fife’a.

Jedna z jego brwi nieznacznie się podniosła.

– To niezgodne z polityką wydziału. Nie prowadzimy tu biblioteki publicznej.

– Nie mam zamiaru ich stąd wynosić. Chcę je tylko przejrzeć. Wcześniej mi na to pozwalałeś.

– Raz.

– A ja dostarczałam ci informacji więcej niż raz i dobrze o tym wiesz – przypomniałam. – W czym problem?

– Ta sprawa jest zamknięta.

– Tym bardziej nie powinieneś mieć żadnego „ale”. Przecież nie jest to naruszenie czyjejs prywatności.

Jego usta rozciągnęły się w uśmiechu, ale był to wymuszony, pozbawiony radości uśmiech. Bezmyślnie bawił się piórem. Świadomość, że w każdej chwili może mi kazać iść w diabły, wyraźnie sprawiała mu przyjemność.

– Ona go zabiła, Kinsey. Nic więcej tam nie znajdziesz.

– Poradziłeś jej, żeby się ze mną skontaktowała. Po co, skoro nie masz wątpliwości?

– Moje wątpliwości nie mają nic wspólnego z Laurence’em Fife’em



– powiedział.

– A z czym?

– Sprawa jest bardziej skomplikowana, niż się wydaje na pierwszy rzut oka – odparł wymijająco. – Może próbujemy chronić to, co mamy.

– Czy „my” mamy jakieś tajemnice?

– Nie uwierzyłybyś, ile mam tajemnic.

– Ja też wiem to i owo – odparowałam. – Po co te gierki?

Obrzucił mnie spojrzeniem, w którym może była irytacja, a może coś zupełnie innego. Czasami mam trudności z odczytaniem jego intencji.

– Wiesz, jaki jest mój stosunek do takich jak ty.

– Słuchaj, Con, z tego, co wiem, jedziemy na tym samym wózku – zauważyłam. – Powiem wprost. Nie wnikiem, czy inni prywatni detektywi w mieście robią ci jakieś numery. Ja nie wchodzę ci w drogę i szanuję twoją pracę. Nie rozumiem, czemu nie możemy współpracować.

Przypatrywał mi się przez chwilę, kąciki ust opadły mu w dół z rezygnacją.

– Wyciągnęłabyś ze mnie więcej, gdybyś się nauczyła flirtować – zauważył niechętnie.

– Nie sądzę. Uważasz, że kobiety są jak wrzód na tyłku. Jeśli próbowałabym z tobą flirtować, poklepałbyś mnie po głowie i odprawił z kwitkiem.

Nie połknął haczyka, ale sięgnął po słuchawkę i wybrał numer archiwum.

– Mówi Dolan. Niech Emerald przyniesie mi akta dotyczące sprawy Laurence’a Fife’a.

Odłożył słuchawkę i ponownie odchylił się na krześle, przypatrując mi się jednocześnie z namysłem i z niesmakiem.

– Lepiej, żeby nie doszły do mnie jakiegokolwiek skargi na twoje poczynania w związku z tą sprawą. Jeśli odbiorę choć jeden telefon od kogokolwiek – mam tu na myśli świadka, który poczuje się prześladowany, albo kogokolwiek innego, włączając w to moich ludzi czy innych policjantów – będziesz miała przesrane. Rozumiemy się?

Posłusznie przyłożyłam do skroni trzy palce:

– Słowo skauta.

– A byłaś w ogóle skautem?

– Hm..., przez prawie tydzień byłam zuchem – odparłam słodko. – Kazali nam namalować kwiatek na chustce do nosa z okazji Dnia Matki. Uznałam, że to głupie, i się wypisałam.

Nie zaszczycił mnie uśmiechem.

– Możesz skorzystać z biura porucznika Beckera – powiedział, kiedy przyniesiono akta. – I nie wpakuj się w kłopoty.

Poszłam do biura Beckera.

Przekopanie się przez górę papierów zajęło mi dwie godziny, ale zaczęłam rozumieć, dlaczego Con Dolan tak niechętnie pozwolił mi je przejrzeć. Jedną z pierwszych rzeczy, jaka wpadła mi w ręce, była seria teleksów ze znajdującego się na zachodzie miasta posterunku Departamentu Policji Miasta Los Angeles dotyczących drugiego zabójstwa. W pierwszej chwili myślałam, że to pomyłka, że papiery dotyczące innego śledztwa dostały się przez przypadek do nieodpowiedniej teczki. Jednak rzuciło mi się w oczy parę szczegółów, które, jak się od razu zorientowałam, mogły przestawić śledztwo w sprawie zabójstwa Laurence'a Fife'a na zupełnie nowe tory. Serce zaczęło mi walić jak szalone. Księgowa o nazwisku Libby Glass, biała kobieta w wieku dwudziestu czterech lat, zmarła w wyniku spożycia sproszkowanego oleandra zaledwie cztery dni po śmierci Laurence'a Fife'a. Pracowała dla Haycraft i McNiece, firmy zajmującej się księgowością, z której usług korzystała kancelaria Fife'a. O co, do diabła, w tym wszystkim chodzi?

Przejrzałam kopie raportów śledczych, próbując połączyć w spójną całość lakoniczne notatki i nabazgrane ołówkiem streszczenia rozmów telefonicznych pomiędzy Departamentami Policji z Santa Teresa i zachodniej części Los Angeles. Z jednej z notatek dowiedziałam się, że w pęku kluczy na kółku znalezionych w szufladzie biurka w gabinecie Laurence'a Fife'a znajdował się klucz do mieszkania Libby. Długa rozmowa z jej rodzicami nic nie wniosła. Przesłuchano również jej byłego chłopaka, Lyle'a Abernathy'ego, który zdawał się być przekonany, że Libby miała romans z „nieznanym z nazwiska adwokatem

z Santa Teresa”, ale na tym śledztwo utknęło. Mimo wszystko nasuwało to nieciekawe skojarzenia. Kto wie, czy mściwa i zazdrosna ręka Nikki Fife nie dosięgła oprócz wiarołomnego męża również jego kochanki? Tyle że nie było na to żadnych dowodów.

Zrobiłam notatki i zapisałam sobie ostatnie znane adresy i numery telefonów interesujących mnie osób, choć nie liczyłam, by na wiele się przydały. Zbyt wiele lat upłynęło. Następnie odepchnęłam krzesło od biurka i podeszłam do drzwi. Con rozmawiał właśnie z porucznikiem Beckerem, ale pewnie wiedział, o co mi chodzi, ponieważ przeprosił Beckera i przerwał rozmowę. Był wyraźnie zadowolony, że rybka złapała haczyk. Swobodnie oparłam się framugę drzwi i czekałam. Podszedł spokojnym krokiem, rozkoszując się chwilą.

– Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodziło? – spytałam.

Wyglądał na zdezorientowanego, ale wyczułam również nutkę gorzkości.

– Nie umieliśmy znaleźć wspólnego ogniwa – rzekł po prostu.

– Myślisz, że Nikki ją też zabiła?

– Daję głowę, że tak – warknął.

– Rozumiem, że dla prokuratora nie było to takie oczywiste.

Wzruszył ramionami, wkładając ręce do kieszeni:

– Potrafię przeczytać Kodeks Dowodowy Kalifornii. Odwołali moich chłopców.

– To wszystko, o czym jest mowa w aktach, to tylko poszlaki.

– To prawda.

Zamiast odpowiedzieć, utkwiałam wzrok w rzędzie okien, którym ewidentnie przydałoby się porządne mycie. Ten mały zwrot akcji wcale mi się nie podobał, a on o tym dobrze wiedział. Podniósł się z miejsca:

– Myślę, że miałem szansę ją dopaść, ale prokuratorowi bardzo się spieszyło i nie chciał narażać swojej sprawy. Takie podejście prowadzi donikąd. To dlatego nie podobało ci się bycie gliniarzem, Kinsey. Praca ze smyczą na szyi.

– Nadal mi się to nie podoba – odparłam.

– Może dlatego ci pomagam – powiedział, a w jego oczach błysnęło coś chytrego.

– Kontynuowaliście śledztwo?

– A pewnie, że tak. Pracowaliśmy nad wątkiem Libby Glass miesiącami, ciągle to wałkowaliśmy od nowa. Koledzy z Los Angeles też nie odpuścili. Ale na nic się nie natknęliśmy. Żadnych świadków. Żadnych donosów. Żadnych odcisków palców, które by dowodziły, że Nikki była na miejscu zbrodni. Nie udało się nawet dowieść, że Nikki *znała* Libby Glass.

– A teraz myślisz, że pomogę ci doprowadzić sprawę do końca?

– Hm..., tego nie wiem – przyznał. – Może. Wierz mi lub nie, ale nie uważam cię za marnego detektywa. Jesteś jeszcze młoda i czasami masz dziwne pomysły, ale, ogólnie biorąc, jesteś uczciwa. Jeśli odkryjesz dowody obciążające Nikki, nie sądzę, żebyś zatrzymała je dla siebie, mam rację?

– *Jeśli* to zrobiła.

– Jeśli nie, to nie masz się czym martwić.

– Con, gdyby Nikki Fife miała coś do ukrycia, to po co na nowo rozgrzebywałaby tę sprawę? Nie może być aż tak głupia. Co by mogła na tym zyskać?

– Ty mi powiedz.

– Posłuchaj – rzekłam. – Zaczniemy od tego, że nie wierzę, aby zabiła Laurence’a Fife’a. Więc cholernie ciężko będzie ci mnie przekonać, że sprzątnęła jeszcze jedną osobę.

Dwa biurka dalej zadzwonił telefon. Porucznik Becker uniósł palec, spoglądając na Cona. Ten, odchodząc, obdarzył mnie przelotnym uśmiechem:

– Baw się dobrze – powiedział.

Jeszcze raz przejrzałam akta, by się upewnić, że niczego nie przeoczyłam, po czym zamknęłam teczkę i zostawiłam ją na biurku. Con i Becker znowu byli pogrążeni w konwersacji, gdy ich mijalam, żaden nawet na mnie nie spojrział. Pojawienie się na scenie Libby Glass zaniepokoiło mnie, ale również zaintrygowało. Może ta sprawa to jednak coś więcej niż grzebanie w starych brudach, może wyjdzie na jaw coś nowego. Coś, co obróci wszystko o równe sto osiemdziesiąt stopni.

Dotarłam do biura piętnaście po czwartej, o tej godzinie zawsze

miałam ochotę na drinka. Sięgnęłam do mojej małej lodówki po butelkę wina chablis, którą otworzyłam korkociągiem. Na biurku ciągle stały dwa brudne kubki. Opłukałam oba i napełniłam swój winem tak cierpkiem, że aż się lekko wzdrygnęłam. Wyszłam na balkon i z wysokości pierwszego piętra spoglądałam w dół na State Street, ulicę biegnącą prosto przez centrum Santa Teresa, a następnie skręcającą szerokim łukiem w lewo, gdzie zmienia nazwę. Z miejsca, w którym stałam, mogłam widzieć hiszpańskie mozaiki, ozdobione stiukami łuki i rosnącą wszędzie bugenwillę. Santa Teresa jest jedynym znanym mi miastem, w którym podjęto decyzję o zwężeniu głównej ulicy, zamiast wycinać drzewa – zaczęto je sadzić oraz postawiono urocze budki telefoniczne wyglądające jak małe konfesjonały. Oparłam się o sięgającą mi do pasa balustradę i powoli sączyłam wino. Otaczał mnie zapach oceanu i pozwoliłam sobie na chwilę absolutnego zapomnienia, leniwie przyglądając się przechodniom na ulicy. Już wiedziałam, że przyjmę zlecenie od Nikki. Jednak potrzebowałam tych kilku chwil tylko dla siebie, zanim całkowicie skupię się na powierzonym mi zadaniu.

O piątej pojechałam do domu, wcześniej jeszcze zadzwoniłam na serwis telefoniczny.

W Santa Teresa mieszkałam już w kilku miejscach, ale dziupła, którą teraz zajmuję, jest zdecydowanie najlepsza. Znajduje się na małej uliczce równoległej do szerokiego bulwaru biegnącego wzdłuż plaży. Większość domów w pobliżu należy do emerytów, pamiętających czasy, gdy w Santa Teresa były jedynie gaje cytrusowe i luksusowe hotele. Henry Pitts, który wynajmuje mi to mieszkanko, jest emerytowanym piekarzem. Teraz, w wieku osiemdziesięciu jeden lat, utrzymuje się z układania skandalicznie trudnych krzyżówek, które lubi testować na mnie. Często zajmuje się pieczeniem gigantycznych bochenków chleba. Ciasto do wyrośnięcia zostawia w starej kołysce na werandzie tuż obok mojego pokoju. Henry dostarcza chleb i inne wypieki do pobliskiej restauracji, a w zamian się u nich stołuje. Ostatnio odkrył kupony zniżkowe do wycinania – chwali się, że jeśli trafi się dobry dzień, jest w stanie kupić artykuły spożywcze warte

pięćdziesiąt dolarów za jedyne sześć dolarów dziewięćdziesiąt osiem centów. Czasami na zakupowych łowach uda mu się okazynie ustrzeżić kilka par rajstop, którymi mnie obdarowuje. Jestem w nim prawie zakochana.

Mój pokój ma dwadzieścia metrów kwadratowych i służy mi jako salon, sypialnia, kuchnia, łazienka, toaleta i pralnia. W poprzednim życiu był garażem Henry'ego i z przyjemnością mogę oznajmić, że nie jest przystrojony żadnym stiukiem, hiszpańskimi mozaikami ani też spowity dzikim winem. Zbudowany został z aluminiowej okładziny i innych całkowicie sztucznych materiałów, które przetrwają każdą pogodę i których nigdy nie trzeba odświeżać. Styl architektoniczny – całkowicie nijaki. Do takiej właśnie zacisznej norki uciekam prawie codziennie po pracy i właśnie stąd zadzwoniłam do Nikki, żeby jej zaproponować spotkanie na drinka.

### 3

Na spotkania zwykle umawiam się w pobliskim barze U Rosie. To ten rodzaj knajpki, gdzie lepiej się upewnić, czy z krzesła, na którym masz zamiar usiąść, nie trzeba przypadkiem strzepnąć okruchów. Plastikowe siedziska są sfatygowane i zadzierają pończochy, a na czarnych blatach stołów straszą powycinane komunikaty typu „Cześć”. Na lewo ponad barem wisi zakurzony marlin. Kiedy klientom już porządnie szumi w głowach, Rosie pozwala im celować w niego gumowymi pociskami z pistoletu dla dzieci. W ten sposób dają ujście agresji, która w innym przypadku mogłaby doprowadzić do mogących się źle skończyć barowych utarczek.

Jest kilka powodów, dla których tak lubię bar U Rosie. Nie tylko znajduje się blisko mojego domu, ale też nie przedstawia żadnej atrakcji dla turystów, co oznacza, że zwykle jest tu prawie pusto i można spokojnie pogadać. Poza tym Rosie chętnie eksperymentuje w kuchni, uprawia rodzaj beztroskiej twórczości z ukłonem w stronę kuchni węgierskiej. To właśnie z Rosie Henry Pitts prowadzi handel wymienny, więc dodatkowym atutem jest możliwość zamówienia tutaj upieczonego przez niego chleba lub placka. Sama Rosie przekroczyła już sześćdziesiątkę, jej nos niemal styka się z górną wargą, czoło jest niskie, a włosy ufarbowane na rzucający się w oczy odcień miedzi, bardziej wszelako przypominający kolor tanich mebli z kalifornijskiej sekwoi. Małe oczka łypią podejrzliwie – efekt jakichś w zamyśle sprytnych poczynań z ołówkiem do oczu.

Nikki weszła do środka, obrzuciła wzrokiem salę i zawahała się przez moment. Jednak zaraz mnie zauważyła i ruszyła wśród pustych stolików w kierunku łoży, w której zwykle siadam. Wślizgnęła się naprzeciwko mnie i zsunęła z ramion żakiet. Rosie podeszła ostentacyjnie wolnym krokiem, mierząc Nikki niespokojnym spojrzeniem. Rosie jest przekonana, że ze względu na wykonywany zawód zadaje się z mafią i ześwirowanymi ćpunami. Prawdopodobnie teraz kombino-

wała, do której z tych grup przyporządkować Nikki.

– To jak, jecie coś czy nie? – Owijanie w bawełnę nie było w stylu Rosie.

Spojrzałam pytająco na Nikki:

– Jadłaś już kolację?

Nikki potrząsnęła głową. Oczy Rosie powędrowały z Nikki na mnie, jakby była głuchoniema i czekała na tłumaczenie.

– Co dziś przyrządziłaś?

– Pörkolt cielęcy. Kawałki cielęciny, mnóstwo cebuli, papryka i pasta pomidorowa. Paluszki lizać. Zasmakuje wam. To najlepszy gulasz, jaki robię. Z bułeczkami Henry’ego i w ogóle, a na talerzyku obok podam dobry, miękki ser i kilka korniszonów.

Mówiła i od razu zapisywała zamówienie, więc kwestię podejmowania decyzji miałyśmy z głowy.

– Napijecie się też wina. Wybiorę odpowiedni rodzaj.

Gdy Rosie się oddaliła, przekazałam Nikki informacje dotyczące morderstwa Libby Glass, które znalazłam w aktach. Powiedziałam też, że według ustaleń policji Libby telefonowała do domu Laurence’a.

– Wiedziałaś o niej?

Nikki potrząsnęła głową.

– Nazwisko obito mi się o uszy, ale to było już w czasie procesu, mój adwokat o niej wspominał. Nawet nie pamiętam, co dokładnie powiedział.

– Laurence nigdy o niej nie mówił? Nigdy nie widziałaś jej nazwiska gdzieś zapisanego?

– Żadnych słodkich miłosnych liścików, jeśli to masz na myśli. Był bardzo ostrożny w tych sprawach. Kiedyś z powodu paru listów został współpозwanym w sprawie rozwodowej. Od tamtej pory unikał pisania osobistych notatek. Zwykle dowiadywałam się, że kogoś ma, kiedy znajdowałam tajemnicze notatki i numery telefonów na pudełkach od zapalek czy w podobnych miejscach.

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę.

– A co z rachunkami telefonicznymi? Zostawiał je na wierzchu?

– Nigdy – wyjaśniła Nikki. – Wszystkie rachunki były wysyłane do obsługującej kancelarię firmy w Los Angeles.



– A Libby Glass zajmowała się księgowością?

– Najwyraźniej tak.

– Więc może dzwonił do niej w sprawach zawodowych.

Nikki wzruszyła ramionami. Była nieco mniej wycofana niż przedtem, ale i tak miałam wrażenie, że nie do końca nadała za tym, co się dzieje.

– Na pewno *miał* romans.

– Skąd wiesz?

– Znikanie na całe dni. Błysk w oku – przerwała, najwyraźniej usiłując sięgnąć pamięcią wstecz. – Czasem pachniał obcym mydłem. Gdy mu to powiedziałam, kazał zainstalować prysznic w biurze. Używał tam tego samego rodzaju mydła, które mieliśmy w domu.

– Spotykał się z kobietami w swoim gabinecie?

– Zapytaj jego współnika – powiedziała z odrobiną goryczy. – Może nawet je pieprzył na biurowej kanapie, skąd mam wiedzieć. Tak czy owak, czasem trafiały się drobiazgi. Teraz to brzmi głupio, ale kiedyś wrócił do domu z odwinietą skarpetką. Było lato i powiedział mi, że grał w tenisa. Miał na sobie spodenki do tenisa i faktycznie nieźle się spocił, ale na pewno nie na korcie. Nieźle go wtedy pogoniłam.

– Ale co mówił, kiedy wprost zarzucałaś mu zdradę?

– Czasami przyznawał mi rację. Czemu nie? Nie miałam dowodów, a choćby nawet, to w Kalifornii zdrada nie jest podstawą do rozwodu.

Pojawiła się Rosie z winem i zawiniętymi w papierowe serwetki sztuczkami. Nikki i ja przerwałyśmy rozmowę. Gdy Rosie odeszła, zapytałam:

– Czemu się z nim nie rozwiodłaś, skoro okazał się takim dupkiem?

– Chyba byłam tchórzem – odparła. – W końcu pewnie bym się z nim rozwiodła, ale miałam wiele do stracenia.

– Masz na myśli syna?

– Tak. – Jej podbródek uniósł się lekko w górę, nie byłam pewna, czy to gest obronny, czy wyrażający dumę. – Ma na imię Colin – dodała. – Skończył dwanaście lat. Uczy się w szkole z internatem niedaleko Monterey.

– W tamtym czasie mieszkały też z wami dzieci Laurence’a, prawda?

– Tak. Syn i córka, oboje w wieku szkolnym.  
– Gdzie są teraz?  
– Nie mam pojęcia. Jego była żona ciągle mieszka w Santa Teresa. Możesz ją zapytać, jeśli to ważne. Ja nie mam z nimi kontaktu.

– Obwiniły cię o jego śmierć?  
Pochyliła się do przodu, intensywnie patrząc mi w oczy:  
– Wszyscy mnie obwiniali. Wszyscy uwierzyli, że jestem winna. A teraz, jak rozumiem, Con Dolan uważa, iż zabiłam również Libby Glass. Do tego zmierzasz, prawda?

– Czy to ważne, co myśli Dolan? To ja będę prowadzić tę sprawę, a moim zdaniem tego nie zrobiłaś. Jeśli już o tym mowa, to jeszcze nie omówiliśmy kwestii stawki. Biorę trzydzieści dolarów za godzinę plus koszty paliwa. Chciałabym dostać co najmniej tysiąc dolarów za liczki. Co tydzień będę ci przysyłać szczegółowy raport, w którym będzie wyliczone, ile czasu spędziłam nad sprawą i w jaki sposób. Poza tym musisz wiedzieć, że moje usługi nie są na wyłączność. Czasami zajmuję się kilkoma sprawami naraz.

Nikki już sięgała do torebki. Wyjęła książeczkę czekową i pióro. Widziałam czek do góry nogami, ale i tak zauważyłam, że opiewa na pięć tysięcy. Podziwiałam beztroskę, z jaką go wypisała. Nie musiała nawet przedtem sprawdzić stanu konta. Popchnęła czek w moją stronę po blacie, a ja włożyłam go do torebki, tak jakbym – jak ona – obracała takimi kwotami na co dzień.

Tymczasem przy naszym stoliku ponownie pojawiła się Rosie, tym razem przyniosła naszą kolację. Postawiła przed każdą z nas talerz i nie ruszyła się z miejsca, zanim nie zaczęłyśmy jeść.

– Mniem, Rosie, przepyszne! – pochwalałam.  
Poruszyła się nieznacznie, ale nie miała zamiaru tak łatwo się poddać.

– Może twoja przyjaciółka nie jest zadowolona – powiedziała, patrząc nie na Nikki, a na mnie.

– Boskie! – wymamrotała Nikki. – Naprawdę cudowne!  
– Jest zachwycona – zapewniłam. Rosie zdecydowała się zerknąć bezpośrednio na Nikki. Wreszcie jej satysfakcja była pełna, bo podziw Nikki mógł się równać tylko z moim.

Jadłyśmy, gawędząc niezobowiązująco o tym i owym. Za sprawą dobrego jedzenia i wina Nikki jakby odtajała. Pod tą spokojną, niezmaconą powierzchnią zaczęły się pojawiać pierwsze oznaki życia. Jakby zaczęła się uwalniać od czaru, który ją uśpił na wiele lat.

– Jak myślisz, od czego powinnam zacząć? – zapytałam.

– Hm... sama nie wiem. Zawsze mnie zastanawiała sprawa jego sekretarki. Nazywała się Sharon Napier. Kiedy ja i Laurence się poznaliśmy, już dla niego pracowała. Traktowała go w dziwny sposób, coś tam nie grało.

– Myślisz, że miała z nim romans?

– Nie sądzę. Naprawdę nie wiem, o co w tym wszystkim chodziło. Jestem prawie pewna, że nie spali ze sobą, ale jednak łączył ich jakiś sekret. Bywała wobec niego sarkastyczna, czego Laurence absolutnie nie tolerował u innych. Kiedy pierwszy raz usłyszałam jakąś jej bezczelną odzywkę, byłam pewna, że Laurence ją z miejsca wywali, ale on nawet okiem nie mrugnął. Nigdy nie odezwał się do niej ostrzej. Nigdy nie zostawała po godzinach ani nie przychodziła w weekendy, kiedy pracował nad dużą sprawą. A on nie narzekał, po prostu zatrudniał kogoś do pomocy, kiedy zaszła taka potrzeba. To nie było w jego stylu. Jednak kiedy go zapytałam, co to wszystko znaczy, potraktował mnie, jakbym zwariowała, doszukując się drugiego dna tam, gdzie go nie ma. Sharon była prawdziwą pięknoscią, żadna tam biurowa szara myszka.

– A wiesz przypadkiem, gdzie może być teraz?

Nikki potrząsnęła głową.

– Wtedy mieszkała na Riwierze Meksykańskiej, ale musiała się wyprowadzić. Przynajmniej nie znalazłam jej w książce telefonicznej.

Zanotowałam sobie jej ostatni znany adres.

– Rozumiem, że nie znałaś jej dobrze.

Nikki wzruszyła ramionami:

– Gawędziłyśmy chwilę, kiedy dzwoniłam do kancelarii, ale to były tylko zdawkowe uwagi.

– Miała jakichś znajomych? Ulubione miejsca w mieście?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że żyła ponad stan. Często podróżowała, a ubierała się o wiele lepiej niż ja w tamtych czasach.

– Zeznawała na procesie, prawda?

– Niestety, tak. Była świadkiem paru naszych paskudnych kłótni, na pewno mi to nie pomogło.

– Cóż, myślę, że warto się temu przyjrzeć bliżej – powiedziałam. – Zobaczymy, czy uda mi się do niej dotrzeć. Chciałabyś powiedzieć mi coś jeszcze na jego temat? Czy w okresie przed śmiercią miał jakieś kłopoty? Jakiś spór, jakąś dużą sprawę zawodową?

– Nic mi na ten temat nie wiadomo. W jego życiu zawsze się coś działo.

– Myślę, że zacznę od rozmowy z Charliem Scorsonim. Zobaczymy, co ma do powiedzenia. Potem pomyślimy, co dalej.

Zostawiłam na stole pieniądze za kolację i wyszłyśmy razem. Samochód Nikki był zaparkowany w pobliżu, ciemnozielony oldsmobile, który lata swojej świetności przeżywał dekadę temu. Zaczekałam, aż odjedzie, żeby na nogach wrócić do oddalonego zaledwie o pół kwartału domu.

Po przyjściu nalałam sobie kieliszek wina i zabrałam się do porządkowania dotychczas zebranych informacji. Mam system katalogowania danych na fiszkach osiem na trzynaście centymetrów. Większość moich notatek dotyczy świadków: kim są, jaką rolę odgrywają w śledztwie, kiedy się z nimi spotkałam plus informacje dodatkowe. Niektóre fiszki zawierają pytania na temat podstawowych informacji, które trzeba sprawdzić, a na innych są notatki dotyczące formalności prawnych. Fiszki pozwalają mi efektywnie gromadzić informacje, z których korzystam, sporządzając pisemne raporty. Przyczepiam je do wiszącej nad biurkiem dużej tablicy i przypatruję się im, opowiadając sobie historię tak, jak ją w danej chwili postrzegam. Wtedy na jaw wychodzą niezwykle sprzeczności, nieoczekiwane luki. Do głowy przychodzą mi pytania, których nie zadałam.

Fiszek dotyczących Nikki Fife miałam niewiele, na razie nie próbowałam interpretować informacji. Nie chciałam zbyt wcześnie sformułować hipotezy, bo bałam się, że wpłynie to na cały tok śledztwa. Było całkowicie jasne, iż w tym śledztwie alibi ma niewielkie znaczenie. Jeżeli zadajesz sobie trud, żeby podmienić lekarstwo na truciznę w kapsułce antyhistaminy, to potem nie pozostaje ci nic in-

nego, jak rozsiać się wygodnie i czekać. Oczywiście jeśli się boisz, że niechcący wyślesz na tamten świat domowników twojej ofiary, musisz mieć pewność, iż ten konkretny lek zażywa jedna osoba. Jednak nie jest to trudny do spełnienia warunek, zwykle spełniają go tabletki na obniżenie ciśnienia, antybiotyki, a czasem nawet pigułki na sen. Rodzaj nie ma znaczenia, ważniejszą sprawą jest dostęp do leku przyszej ofiary. Sfinalizowanie może potrwać dwa dni albo dwa tygodnie, ale w końcu ofiara zażywa co trzeba, a ty masz okazję odegrać niezły spektakl zaskoczenia i żalu. Dodatkową zaletą takiego schematu pozostaje to, że nie musisz nikogo osobiście zastrzelić, zatłuc, powiesić lub udusić. Nawet jeśli masz konkretne powody, by zabić, pewnie widok wychodzących komuś z orbit oczu nie jest najprzyjemniejszy, podobnie jak wysłuchiwanie ostatnich bulgocących dźwięków wydawanych przez ofiarę. No i jeszcze jedno – jeśli zabijasz własnoręcznie, zawsze istnieje niepokojąca możliwość, że role się odwrócą i to ty wylądujesz w kostnicy.

Jeśli chodzi o wybraną metodę, to „sposób na oleandra” jest całkiem niezły. W Santa Teresa ten krzew rośnie wszędzie. Osiąga wysokość do trzech metrów, ma różowe i białe kwiaty oraz eleganckie, wąskie liście. Nie musisz ostentacyjnie kupować trutki na szczury w mieście, gdzie, jak powszechnie wiadomo, nie ma szczurów. Nie musisz przyczepiać sztucznych wąsów, żeby iść do pobliskiego ogrodniczego z prośbą o polecenie środka do zwalczania insektów, który nie zostawia gorzkiego posmaku. Krótko mówiąc, metoda zastosowana do zabicia mecenasa Laurence’a Fife’a – i najwyraźniej Libby Glass – była niedroga, niekłopotliwa i łatwa do zastosowania. Nasunęło mi się kilka pytań, które zanotowałam przed zgaszeniem światła. Usnęłam dobrze po północy.

## 4

Zjawiłam się w biurze wcześniej rano, żeby przestukać na maszynie do pisania wstępne notatki do teczki Nikki. Opisałam, w jakim celu zostałam zatrudniona, oraz potwierdziłam przyjęcie czeku na pięć tysięcy dolarów w formie zaliczki. Następnie zadzwoniłam do kancelarii Charliego. Sekretarka poinformowała mnie, że szef ma wolną chwilę po południu, więc umówiłam się na piętnaście po trzeciej, po czym poświęciłam resztę poranka szukaniu informacji na jego temat. Kiedy spotykam kogoś po raz pierwszy, lubię coś o nim wiedzieć, mieć coś w zanadrzu. Wizyty w Okręgowym Urzędzie Rejestrowym, Biurze Informacji Kredytowej oraz archiwum lokalnego dziennika dostarczyły mi danych, dzięki którym naszkicowałam sobie w głowie portret byłego wspólnika Laurence'a Fife'a. Charlie Scorsoni był kawalerem, posiadał własny dom, regularnie płacił rachunki, od czasu do czasu udzielał się publicznie w zbożnych celach, nigdy nie był aresztowany ani pozwany – krótko mówiąc, był raczej konserwatywnym mężczyzną w średnim wieku, który nie uprawiał hazardu, nie spekulował na giełdzie i wiódł życie pod każdym względem spokojne i bezpieczne. W trakcie procesu mignął mi kilka razy, zapamiętałam go jako mężczyznę z lekką nadwagą. Kancelaria, którą teraz prowadził, znajdowała się piętnaście minut spacerkiem od mojego biura.

Budynek sam w sobie wyglądał jak zamek mauretański. Jednopiętrowy, z białej cegły suszonej na słońcu i z podokiennikami głębokimi na sześćdziesiąt centymetrów, zabezpieczonymi kratą z kutego żelaza, a także z wieżą narożną, w której prawdopodobnie mieściły się toalety i składzik. Kancelaria adwokacka Scorsoni i Powers mieściła się na pierwszym piętrze. Pchnęłam ciężkie, masywne drzwi z rzeźbionego drewna i znalazłam się w małej recepcji o podłodze pokrytej wykładziną dywanową miękką i zieloną jak mech. Ściany były białe, ozdobione abstrakcyjnymi akwarelami w różnych odcieniach pastelii. W paru miejscach ustawiono rośliny doniczkowe. Pod rzędem

wąskich okien stały prostopadle do siebie dwie przysadziste sofy, obite soczystozielonym sztruksem w szeroki prążek.

Sekretarka na oko miała nieco ponad siedemdziesiąt lat i w pierwszej chwili pomyślałam, że została tu przysłana na zastępstwo z jakiejś agencji zajmującej się aktywizacją zawodową seniorów. Była chuda i energiczna, o włosach obciętych na pazia w stylu lat dwudziestych i okularach retro ozdobionych motylkiem z kryształu górskiego w dolnej połowie jednej z soczewek. Miała na sobie wełnianą spódnicę i sweterek w kolorze bladego wrzосу, który musiała osobiście zrobić na drutach, jako że był prawdziwym małym dziełem sztuki złożonym ze ściegów warkoczowych, źdźbeł trawy, wypukłych zygzaków, plecionek i gałązek świerku. Bezbłędnie rozpoznałam wszystkie wyżej wymienione – ciotka, która mnie wychowała, dołożyła starań, żebym się zapoznała z tego typu przydatnymi rzeczami – i natychmiast zostałyśmy przyjaciółkami. Nim się którakolwiek z nas obejrzała, już byłyśmy po imieniu. Miała na imię Ruth – ładnie i prosto z Biblii.

Ruth była małą, tryskającą energią gadułą – zastanawiałam się, czy nie byłaby przypadkiem idealną kandydatką na dziewczynę dla Henry'ego Pittsa. Skoro Charlie Scorsoni kazał mi na siebie czekać, odpłacałam mu pięknym za nadobne. Wyciągnęłam z jego sekretarki tyle informacji, ile się dało, nie przekraczając granicy bezczelnego wścibstwa. Powiedziała mi, że pracuje dla Scorsoniego i Powersa, od kiedy siedem lat temu postanowili wspólnie prowadzić kancelarię. Mąż porzucił ją dla młodszej kobiety (pięćdziesięcioletki) i Ruth, po raz pierwszy w życiu, musiała radzić sobie sama. Nie wierzyła, że znajdzie pracę, bo była wtedy kobietą sześćdziesięciodwuletnią, choć, jak sama zaznaczyła, w doskonałej formie. Szybka, kompetentna i, oczywiście, na każdym kroku przegrywająca z kobietami o czterdzieści lat młodszymi, które nie były szczególnie kompetentne, ale za to śliczne.

– Mój tyłek służy mi wyłącznie do siedzenia – powiedziała, po czym zaśmiała się z własnego dowcipu. Scorsoni i Powers zapunktowali u mnie za swoją dalekowzroczność. Ruth ubóstwiała ich obu. Jednak nawet jej pełne zachwyty pienia nie przygotowały mnie na

spotkanie z mężczyzną, który przez biurko uściśnął moją dłoń, gdy wreszcie – z czterdziestopięciominutowym poślizgiem – zostałam zaproszona do jego gabinetu.

Charlie Scorsoni był potężnym mężczyzną, ale przez te osiem lat pozbył się nadwagi. Miał gęste, choć nieco przerzedzone na skroniach płowe włosy i mocno zarysowaną szczękę, a jego błękitne oczy wydawały się jeszcze większe za dużymi okularami bez oprawki. Kołnierzyk miał rozpięty, krawat – przekrzywiony, a rękawy podwinięte tak wysoko, jak tylko pozwoliły na to muskularne ramiona. Siedział odchylony do tyłu w fotelu obrotowym, ze stopami swobodnie podpartymi o skraj biurka. Uśmiech, który powoli uformował się na jego ustach, aż kipiał od tłumionej seksualności. Robił wrażenie mężczyzny czujnego i ostrożnego, jakby jeszcze nie wiedział, czego się po mnie spodziewać. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, tak bacznie przyglądając się poszczególnym partiom mojego ciała, że aż było to krępujące. Splótł dłonie na czubku głowy.

– Ruth mówi, że chce mi pani zadać kilka pytań na temat Laurence’a Fife’a. O co właściwie chodzi?

– Jeszcze nie wiem. Prowadzę dochodzenie w sprawie jego śmierci i wydawało mi się, że sensownie będzie zacząć od pana. Mogę usiąść?

Niedbale machnął ręką w stronę krzesła, ale wyraz twarzy mu się zmienił. Usiadłam, a on się wyprostował.

– Słyszałem, że Nikki jest na zwolnieniu warunkowym – powiedział. – Jeśli twierdzi, że go nie zabiła, jest wariatką.

– Nie mówiłam, że pracuję dla niej.

– A kto inny, do cholery, chciałby to na nowo rozgrzebywać?

– Może i nikt. Nie wydaje się pan szczególnie uszczęśliwiony, że śledztwo znowu rusza.

– Niech mnie pani uważnie posłucha. Laurence był moim najlepszym przyjacielem. Poszedłbym za nim w ogień.

Patrzył mi prosto w oczy, a ja wyczuwałam, że tuż pod powierzchnią kryje się coś jeszcze – żal, skierowany na niewłaściwą osobę gniew. Ciężko było go rozgryźć.

– Dobrze znał pan Nikki? – zapytałam.

– Powiedziałbym, że wystarczająco dobrze. – Otaczająca go aura



seksualności, tak intensywna na początku naszego spotkania, teraz traciła swoją moc. Zastanawiałam się, czy potrafi ją włączać i wyłączać, tak jak się włącza i wyłącza na przykład grzejnik. Teraz była od niego czysta nieufność.

– Jak poznał pan Laurence’a?

– Studiowaliśmy razem na uniwersytecie w Denver. Należeliśmy do tego samego bractwa. Laurence był playboyem. Wszystko mu przychodziło łatwo. Po studiach w Denver studiował prawo na Harvardzie. Ja na stanowym uniwersytecie Arizony. Laurence pochodził z zamożnej rodziny. Moja nie miała pieniędzy. Na dobrych kilka lat straciłem go z oczu, a potem usłyszałem, że otworzył własną kancelarię tutaj w mieście. Więc pojawiłem się, powiedziałem, że chciałbym dla niego pracować, a on się zgodził. Dwa lata później zostałem jego współnikiem.

– Był wtedy z pierwszą żoną?

– Tak, z Gwen. Nie wyjechała z miasta, ciągle gdzieś tutaj mieszka, ale radziłbym nie traktować jej zbyt serio. Cholernie zgorzkniała, i słyszałem, że opowiada o nim jakieś paskudne historie. Jeśli to panią interesuje, to prowadzi salon pielęgnacji psów gdzieś na State Street. Osobiście staram się jej unikać.

Przyglądał mi się z niezmaconym spokojem. Odnosiłam wrażenie, że ma dokładnie przemyślane, co może mi powiedzieć – a czego nie.

– A Sharon Napier? Długo dla niego pracowała?

– Dłużej niż ja. Kiedy zacząłem pracować w kancelarii, już tu była. Jednak robiła tak niewiele, że wreszcie zdecydowałem się zatrudnić własną sekretarkę.

– Czy ona i Laurence byli w dobrych stosunkach?

– Z tego co wiem, tak. Pokręciła się jeszcze po okolicy, aż proces dobiegł końca, po czym zabrała się i tyle ją widzieli. Jest mi winna trochę pieniędzy, które wypłaciłem jej jako zaliczkę. Jeżeli się pani na nią natknie, proszę dać mi znać. Wyślę jej rachunek, żeby nie myślała, że zapomniałem o starych długach.

– Czy nazwisko Libby Glass coś panu mówi?

– Kto to?

– Prowadziła księgowość waszej kancelarii w L.A. Pracowała dla

firmy Haycraft i McNiece.

Jego twarz nie wyrażała absolutnie nic. Potrząsnął głową.

– Ale co ona właściwie ma z tym wspólnego?

– Tak samo jak Laurence zginęła otruta oleandrem. Parę dni po nim – wyjaśniłam. Nie wydawał się ani specjalnie poruszony, ani zaniepokojony. Z powątpiewaniem wydał dolną wargę, po czym wzruszył ramionami.

– Po raz pierwszy słyszę, ale skoro pani tak mówi... – powiedział.

– Nigdy jej pan nie poznał osobiście?

– Całkiem możliwe, że ją poznałem. Laurence i ja dzieliliśmy się papierkową robotą, ale to głównie on kontaktował się osobiście z dyrektorami handlowymi. Oczywiście od czasu do czasu spadało to na mnie, więc prawdopodobnie natknąłem się na nią w którymś momencie.

– Słyszałam, że miał z nią romans – zaryzykowałam.

– Nie lubię plotkować o zmarłych – powiedział Scorsoni.

– Ja właściwie też nie, ale to nie tajemnica, że lubił się zabawić – brnęłam dalej. – Nie żebym się czepiała, ale nawet na procesie mówiło o tym wiele kobiet.

Scorsoni uśmiechnął się do kwadratu, który szkicował w brulionie, po czym posłał mi wymowne spojrzenie.

– Cóż, ujmę to tak. Po pierwsze, facet nikogo do niczego nie zmuszał. A po drugie, nie wierzę, żeby się wplątał w biurowy romans. To nie było w jego stylu.

– A klientki? Sypiał z nimi?

– Bez komentarza.

– A czy *pan* by poszedł do łóżka z klientką? – zapytałam niewinnie.

– Moje klientki mają po osiemdziesiąt lat, więc odpowiedź brzmi: nie. Zajmuję się rozporządzeniami majątkowymi po śmierci. Laurence zajmował się rozwodami.

Zerknął na zegarek i odsunął fotel.

– Przykro mi, ale muszę zakończyć naszą pogawędkę. Jest piętnaście po czwartej, a ja muszę przygotować akta.

– Przepraszam, że zajęłam panu tyle czasu. Dziękuję, że zgodził się pan ze mną tak szybko zobaczyć.

Odprowadził mnie do drzwi, miałam wrażenie, że z jego potężnego ciała bije żar. Przytrzymał dla mnie drzwi, lewe ramię opierając wysoko na framudze. W jego oczach znowu kipiała ta sama, ledwo co stłumiona, pierwotna, męska seksualność.

– Powodzenia! – rzekł na pożegnanie. – Podejrzewam, że wiele pani nie odkryje.

Odebrałam odbitki przedstawiające dziurę w chodniku, którą sfotografowałam dla California Fidelity. Sześć zdjęć pokazujących zniszczony beton nie pozostawiało żadnych wątpliwości. Kobieta występująca z roszczeniami, Marcia Threadgill, twierdziła, że została kaleką wskutek potknięcia się o wystającą płytę w chodniku, wypchniętą przez korzenie drzewa i osuwającą się ziemię. Feralna płyta znajdowała się na terenie należącym do właściciela sklepu z drobiazgami, i to właśnie jego Marcia pozywała. Roszczenie – jak to bywa w przypadkach typu „potknął się i upadł” – nie było wielkie. Marcia ubiegała się o jakieś cztery tysiące osiemset dolarów, w tej kwocie zawierały się rachunki lekarskie i odszkodowanie, łącznie ze zwrotem utraconych zarobków. Towarzystwo ubezpieczeniowe raczej miało zamiar zapłacić, ale poproszono mnie, żebym choć pobieżnie przyjrzała się sprawie, na wypadek gdyby roszczenie okazało się fałszywe.

Mieszkanie pani Threadgill znajdowało się niedaleko mojego, w jednym z szeregowców położonych na wzgórzu, z którego roztaczał się widok na plażę. Zaparkowałam nieopodal i sięgnęłam do schowka po lornetkę. Chwilę mi zajęło znalezienie takiej pozycji, żeby mieć w zasięgu wzroku jej taras. Widziałam go wystarczająco dobrze, by się zorientować, że Marcia nie przykłada się do podlewania swoich paproci. Nie znam się za bardzo na roślinach doniczkowych, ale kiedy to, co powinno być zielone, robi się brązowe, wiem, że coś tu nie gra. Jedna z paproci należała do tego paskudnego gatunku wypuszczającego szare, włochate pnącza, które powolutku wypełzają z doniczki. Każdy, kto hoduje taką roślinę, ma według mnie inklinacje do oszustwa, i oczami wyobraźni już widziałam, jak – pomimo rzekomego uszkodzenia kręgosłupa – Marcia podnosi jedenastokilowy wór ściółki. Obserwowałam jej mieszkanie przez półtorej godziny, ale ko-

bieta się nie pojawiła. Jeden z moich kumpli z pracy mawiał, że do śledzenia podejrzanych nadają się wyłącznie mężczyźni, ponieważ siedząc w zaparkowanym samochodzie, mogą dyskretnie siusiać do pojemnika na tenisowe piłki. Kobiety natomiast muszą od czasu do czasu udać się gdzieś za potrzebą i w ten sposób zostawiają obserwowany obiekt samemu sobie. Powoli traciłam zainteresowanie Marcją Threadgill, a jeśli mam być szczerą, to strasznie chciało mi się siusiu, więc odłożyłam lornetkę i podjechałam na najbliższą stację.

Wstąpiłam jeszcze raz do Biura Informacji Kredytowej, gdzie pogadałam z kumplem, który pozwala mi rzucić okiem na akta, które zwykle nie są udostępniane. Poprosiłam, żeby poszukał wszystkiego na temat Sharon Napier; obiecał, że oddzwoni. Podjechałam jeszcze do sklepu na małe zakupy, po czym udałam się do domu. Był to raczej mało satysfakcjonujący dzień, jednak większość moich dni jest taka. Sprawdzanie i weryfikowanie, wypełnianie pustych miejsc. Drobiazgowa robota absolutnie niezbędna dla śledztwa, ale raczej mało spektakularna. Najważniejsze cechy dobrego detektywa to dociekliwa natura i święta cierpliwość. Przypadkowo są to akurat te cechy, które już od najmłodszych lat wdraża się dziewczynkom. Usiadłam przy biurku i na kilku fiszkach spisałam wszystko, co wiedziałam na temat Charliego Scorsoniego. Rozmowa z nim pozostawiła we mnie pewien niedosyt. Czułam, że będziemy musieli jeszcze do niej wrócić.

## 5

Życie w klimacie Santa Teresa przypomina przebywanie w lokalu z włączoną na stałe instalacją świetlną. Światło jest cały czas takie samo – odpowiednio jasne i intensywne – tyle że nie ma cieni, przez co powstaje wrażenie niepokojąco zakłóconej trójwymiarowości. Dni są wypełnione słonecznym światłem. Zwykle jest pogodnie, temperatura oscyluje wokół dwudziestu stopni Celsjusza. Noce zazwyczaj są chłodne. W niektórych miesiącach pada deszcz, ale przez większość roku jeden dzień jest bardzo podobny do drugiego. Czyste, bezchmurne niebo sprawia, że człowiek traci orientację i nie potrafi sobie przypomnieć, jaka jest pora roku. Podobny efekt przynosi przebywanie w pozbawionym okien budynku: podświadome wrażenie, że człowiek się dusi, jakby w powietrzu było za mało tlenu.

Wyszłam z domu o dziewiątej i pojechałam na północ w kierunku ulicy Chapel. Zatrzymałam się i zatankowałam samochód w automacie, jak zawsze czerpiąc prostą i absurdalną przyjemność z faktu, że mogę tego typu rzeczy robić sama. Piętnaście po dziewiątej znalazłam się przed K-9 Korners. Nierzucający się w oczy znak w witrynie informował, że zakład otwierano o ósmej. Salon pielęgnacji psów sąsiedował z gabinetem weterynaryjnym na State Street, dokładnie w miejscu, gdzie wyginała się ona w szeroki łuk. Budynek pomalowany był na różowo, w drugim skrzydle mieścił się sklep z ekwipunkiem obozowym. W witrynie wisiał śpiwór, a manekin w stroju biwakowym spoglądał pustym wzrokiem na stelaż namiotu.

Weszłam do K-9 przy akompaniamencie szczekania wielu psów. Ja i psy nie żyjemy ze sobą najlepiej. One zawsze bezceremonialnie wpychają pyski prosto między moje nogi, a niektóre dodatkowo próbują przylgnąć do mojego uda, jakby chciały odtańczyć jakiś taniec na tylnych łapach. Czasami robię dobrą minę do złej gry i próbuję jak gdyby nigdy nic iść dalej, ignorując przyklejonego do nogi psa, gdy tymczasem właściciel daremnie wymachuje rękami i wrzeszczy: „Hamlet,

chodź tu! Co się z tobą dzieje?”. Po czymś podobnym ciężko jest takiemu psu spojrzeć w oczy, więc staram się trzymać z daleka od całego psiego rodu.

Wewnątrz znajdowała się szklana gablota pełna produktów do pielęgnacji zwierząt, a na ścianie przyczepiono mnóstwo zdjęć przedstawiających psy i koty. Po prawej były drzwi podzielone w poziomie na dwie połówki, przez górną otwartą część mogłam zobaczyć niewielkie biuro oraz kilka pomieszczeń do pielęgnacji psów. Zajrzałam tam i zobaczyłam kilka psów poddawanych różnego rodzaju zabiegom pielęgnacyjno-upiększającym. Większość drżała, wywracając żałośnie oczami. Jednemu właśnie umieszczano na czubku głowy pomiędzy uszami czerwoną kokardkę. Na stole obok psa leżały małe brązowe bobki. Nietrudno było zgadnąć, co to jest i skąd się tam wzięło. Kobieta zajmująca się psem podniosła głowę i spojrzała na mnie pytająco:

– Czym mogę służyć?

– Pies właśnie wdepnął w to brązowe coś – zauważyłam.

Spojrzała na stół.

– Och, Dashiell, znowu! Proszę chwilę poczekać.

Trzęsący się Dashiell został na swoim miejscu, podczas gdy ona sięgnęła po papierowe ręczniki i wprawnym ruchem zgarnęła ze stołu jego mały, wstydlivy sekret. Przygodę Dashiella potraktowała z dobroduszną wyrozumiałością. Miała około czterdziestu pięciu lat, wielkie brązowe oczy i związane na karku apaszką, sięgające ramion siwe włosy. Była wysoka i szczupła, ubrana w bordowy fartuch.

– Szukam Gwen.

Zerknęła na mnie z przelotnym uśmiechem:

– Już pani znalazła. To ja.

– Jestem Kinsey Millhone, prywatny detektyw.

Gwen się roześmiała:

– Boże święty, o co chodzi?

Wyrzuciła ręcznik papierowy, podeszła do drzwi i zaprosiła mnie dalej.

– Proszę do środka. Zaraz wracam.

Wzięła Dashiella ze stołu i zaniósła go do znajdującego się zaraz po

lewej pomieszczenia na zapleczu. Kolejne psy dołączyły do ogólnego szczekania i usłyszałam, że ktoś wyłączył wentylator. Powietrze było gęste od gorąca, przesycone zapachami wilgotnej sierści, syropu na pchły i psich perfum. Na podłodze z brązowych płytek PCV walała się sierść niczym resztki ściętych włosów u fryzjera. W pomieszczeniu obok widziałam, jak jakaś młoda dziewczyna kąpie właśnie psa w znajdującej się na podwyższeniu wannie. Po lewej kilka przystrojonych wstążkami psów czekało w klatkach na swoich właścicieli. Inna młoda kobieta strzygła pudła stojącego na drugim stole. Zerknęła na mnie z zaciekawieniem. Po chwili Gwen wróciła z małym, szarym pieskiem pod pachą.

– To jest Wuffles – przedstawiła, próbując unieruchomić pyszczek psa. Jednak Wuffles udało się liznąć ją kilka razy prosto w usta. Gwen ze śmiechem odrzuciła głowę do tyłu, po czym skrzywiła się.

– Jeśli nie ma pani nic przeciwko, w międzyczasie zajmę się psem. Proszę usiąść – powiedziała życzliwie, wskazując mi stojący obok metalowy stółek. Usiadłam. Żałowałam, że muszę wspomnieć Laurence’a Fife’a. Z tego, co mówił Charlie Scorsoni, wzmianka o nim zepsuje kobiecie humor.

Gwen zajęła się obcinaniem Wuffles pazurów, przyciskając ją mocno do siebie, żeby nie wykonywała gwałtownych ruchów.

– Jest pani z Santa Teresa, tak? – zapytała.

– Tak. Mam biuro w centrum miasta. I proponuję, byśmy mówiły sobie po imieniu. – Odruchowo wyciągnęłam identyfikator i przytrzymałam na wysokości jej oczu, żeby mogła przeczytać. Jednak Gwen tylko rzuciła okiem, najwidoczniej nie żywiła żadnych większych podejrzeń ani obaw co do mojej tożsamości czy profesji. Zawsze mnie zaskoczyła, gdy ludzie wierzą mi na słowo.

– Rozumiem, że byłaś żoną Laurence’a Fife’a, Gwen – zaryzykowałam.

– Tak, byłam. Czy chodzi o niego? Przecież nie żyje od lat!

– Wiem. Sprawa jego śmierci została na nowo otwarta.

– A to ciekawe. Kto cię wynajął, Kinsey?

– Oczywiście Nikki – wyjaśniłam. – Jeśli to dla ciebie coś zmienia, to w wydziale zabójstw wiedzą, że prowadzę dochodzenie i obiecali

pomoc. Czy mogę zadać ci parę pytań?

– Jasne – odpowiedziała. W jej głosie wyczułam ostrożność, ale również nutkę zainteresowania, jakby pomysł z nowym śledztwem uważała za dziwaczny, ale niekoniecznie zły.

– Nie robisz wrażenia zaskoczonej – zauważyłam.

– Jestem zaskoczona. Nie sądziłam, że ktoś będzie do tego wracał.

– Hm... Dopiero zaczynam prowadzić dochodzenie i być może odkryję coś nowego. Jeśli wolisz porozmawiać gdzie indziej, nie ma sprawy. Nie chcę przeszkadzać ci w pracy.

– Wolę zostać tutaj, jeśli nie masz nic przeciwko przyglądaniu się, jak strzygę psy. Dzisiaj naprawdę nie mogę sobie pozwolić na przerwę, czeka mnóstwo psów. Poczekaj chwilę... – przerwała. – Kathy, czy mogłabyś mi podać spray na pchły? Chyba kilka przeczyłyśmy.

Ciemnowłosa dziewczyna zostawiła pudła, żeby sięgnąć po spray na pchły i podać go Gwen.

– Jak się już dowiedziałas, to jest Kathy – wyjaśniła Gwen. – A ta w mydlinach to Jan.

Gwen zajęła się spryskiwaniem Wuffles. Odwracała twarz, żeby nie wdychać oparów.

– Przepraszam. Mów dalej.

– Jak długo byłaś żoną Fife'a?

– Trzynaście lat. Poznaliśmy się na studiach, on był na trzecim roku, a ja na pierwszym. Przedtem znałam go z widzenia przez jakieś, niech pomyślę, pół roku.

– Dobre lata? Złe lata?

– Dopiero dojrzewam do myślenia o naszym związku w ten sposób – odparła. – Przedtem uważałam, że to wszystko nie było nic warte. Teraz nie jestem już taka pewna. Znałaś Laurence'a osobiście?

– Spotkałam go parę razy – wyjaśniłam. – To była raczej powierzchowna znajomość.

Gwen się skrzywiła:

– Potrafił być czarujący, gdy tylko chciał, ale tak naprawdę był z niego kawał sukinsyna.

Kathy zerknęła na Gwen z uśmiechem. Gwen się roześmiała:



– Obie słyszały tę historię ze sto razy – wyjaśniła. – Żadna z nich nie była nigdy mężatką, więc odgrywam przed nimi rolę adwokata diabła. Ale wracając do tematu. W tamtych czasach byłam spełniającą swoje obowiązki żoną. Mam na myśli, że odgrywałam swoją rolę z poświęceniem, na jakie nie każdego byłoby stać. Przygotowywałam eleganckie potrawy. Sporządzałam listy. Sprzątałam dom. Wychowywałam dzieci. Nie mówię, że było w tym coś wyjątkowego, no, może tylko to, że ja naprawdę w to wierzyłam. Upinałam włosy wysoko w gładki koczek, każda szpilka musiała być na swoim miejscu, i miałam mnóstwo ciuchów, które mogłam na okrągło wkładać i zdejmować, jakbym była lalką Barbie.

Przerwała i roześmiała się na myśl o tamtym wcieleniu samej siebie, a następnie wykonała gest, jakby zaciskała sobie na szyi sznur.

– Cześć, jestem Gwen. Jestem idealną żoną – zaskrzeczała przez nos jak papuga. Jednak robiła to wszystko w tak dobronudzny sposób, jakby opowiadała o przyjaciółce, która dawno zmarła. Trochę zerknęła na mnie, trochę czesała i strzygła psa na stole, ale cały czas robiła wrażenie osoby życzliwie nastawionej do świata. Nie była zgorzkniała ani zamknięta w sobie, jak się tego spodziewałam.

– Kiedy bajka się skończyła, czułam się dosyć wściekła. Nie tyle na niego, ile na siebie samą, za branie udziału w całym tym przedstawieniu. To znaczy, nie zrozum mnie źle. Dobrze się czułam w roli perfekcyjnej pani domu i pasował mi taki model małżeństwa. Nie wiedziałam jednak, że żyję pod szklanym kloszem, izolowana od prawdziwego świata, prawdziwego życia. Kiedy małżeństwo się rozpadło, nie byłam gotowa do zmierzenia się z rzeczywistością. W naszym domu to on się zajmował pieniędzmi. On pociągał za sznurki. On podejmował najważniejsze decyzje, zwłaszcza gdy chodziło o dzieci. Ja je kąpałam, ubierałam i karmiłam, a on kształtował ich życie. Wtedy nie zdawałam sobie z tego sprawy, bo byłam zbyt zaaferowana kręceniem się w kółko, cała niespokojna, czy uda mi się go tym razem zadowolić, co nie było łatwym zadaniem. Teraz, kiedy o tym na spokojnie myślę, widzę, że cały ten układ był naprawdę nieźle popieprzony.

Zerknęła na mnie, żeby sprawdzić, czy ostatni zwrot zrobił na mnie jakieś wrażenie, ale ja się tylko do niej uśmiechnęłam.

– Wiem, gadam teraz jak wszystkie kobiety, które się rozwiodły w tamtym okresie. Owszem, trochę marudzimy, gdy schodzimy na ten temat, ale to dlatego że byliśmy traktowane przedmiotowo.

– Powiedziałaś, że jesteś teraz bardziej dojrzała – przypomniałam. – Jak ci się to udało?

– Sześć tysięcy dolarów zainwestowane w terapię – powiedziała po prostu.

Uśmiechnęłam się.

– Dlaczego wasze małżeństwo się rozpadło?

Jej policzki delikatnie się zarumieniły, ale spojrzenie pozostało szczere:

– Jeśli cię to naprawdę interesuje, wołałabym dokończyć rozmowę później.

– Jasne, nie ma sprawy – zgodziłam się. – Nie chciałam ci przeszkadzać.

– Nie mogę powiedzieć, żeby wina leżała wyłącznie po stronie Laurence'a – przyznała – ale również nie po mojej. A on w czasie rozwodu odebrał mi wszystko. Pozwoliłam mu się pokonać.

– W jaki sposób?

– W każdy możliwy. Byłam przerażona i naiwna. Marzyłam tylko o tym, żeby Laurence zniknął z mojego życia, i byłam gotowa zapłacić za to każdą cenę. Chciałam tylko zatrzymać dzieci. Walczyłam o nie zębami i pazurami, ale jakie miałam szanse? Przegrałam. To był cios, po którym tak naprawdę nigdy nie doszłam do siebie.

Miałam ochotę dowiedzieć się czegoś więcej na temat tej walki o opiekę nad dziećmi, ale wyczułam, że to drażliwy temat. Lepiej teraz odpuścić i wrócić do tematu później, przy lepszej okazji.

– Pewnie odzyskałaś dzieci po jego śmierci. Szczególnie, że druga żona poszła do więzienia.

Gwen wprawnym ruchem odgarnęła z twarzy kosmyk siwych włosów:

– Kończyli już wtedy liceum. Gregory skończył szkołę jesienią, a Diane rok później. Tyle że w międzyczasie Laurence zdążył zniszczyć ich psychikę. Krótco ich trzymał. Nie mam mu za złe, że dbał o dyscyplinę, bo sama uważam, iż dzieci tego potrzebują. Ale on je

kontrolował na każdym kroku, nigdy nie okazywał emocji, miał agresywny stosunek do ludzi, zwłaszcza do własnych dzieci. Nic dziwnego, że po pięciu latach życia w takim reżimie obydwójce stali się wycofani i zamknięci w sobie. Przyjęli postawę obronną, trudno się było z nimi porozumieć. Z tego, co wiem, jego relacja z nimi oparta była na ciągłym atakowaniu i oskarżeniach, całkiem jak to robił ze mną. Oczywiście widywałam dzieci co drugi weekend i tak dalej, odwiedzały mnie też zawsze w lecie. Jednak nie zorientowałam się, jak głęboki miał na nie wpływ. Jego śmierć była dla nich jak kopniak w głowę, jak ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Za dużo sprzecznych emocji, nie potrafili sobie z nimi poradzić. Diane od razu poszła na terapię. Gregory też bywa u terapeuty, choć nie są to regularne spotkania.

Zamilkła na moment:

– Brzmi to, jakbym ci opisywała przypadki choroby.

– Wcale nie. Dziękuję za szczerość – powiedziałam. – Czy dzieci też mieszkają tu w mieście?

– Greg przeniósł się na południe od Palm Springs. Mieszka w łodzi nad jeziorem Salton Sea.

– Pracuje gdzieś?

– Cóż, nie musi. Laurence zadbał o zabezpieczenie finansowe dzieci. Nie wiem, czy już sprawdzałaś jego polisę ubezpieczeniową, ale podzielił majątek równo pomiędzy całą trójkę: Grega, Diane i syna Nikki, Colina.

– A co z Diane? Gdzie mieszka?

– W Claremont, uczy się. Jest w trakcie robienia następnego dyplomu. Zajmuje się nauczaniem niesłyszących dzieci i chyba jest w tym dobra. Na początku się martwiłam, bo wydawało mi się, że czuje się za to wszystko w jakiś sposób odpowiedzialna – za mój rozwód, za związek Laurence'a z Nikki, za niepełnosprawność Colina – chociaż oczywiście nie miała na to żadnego wpływu.

– Czekał chwilę. Niepełnosprawność? – Czuję, że nie jestem w temacie.

Gwen spojrzała na mnie, zaskoczona:

– Myślałam, że już rozmawiałaś z Nikki?

– Hm... Tylko raz – przyznałam.

– Nie powiedziała ci, że Colin nie słyszy? Jest głuchy od urodzenia. Nie pamiętam już, co było przyczyną, ale chyba nie dało się nic na to poradzić. Diane była tym bardzo poruszona. Miała jakieś trzynaście lat, kiedy się urodził, i pewnie nie przepadała za małym intruzem. Nie jestem zwolenniczką rozkładania wszystkiego na czynniki pierwsze, ale akurat do tego doszła w czasie terapii i ta hipoteza wydaje mi się trafna. Diane sama otwarcie o tym mówi, więc nie zdradzam teraz jej tajemnic.

Spośród mniej więcej dwudziestu szpilek wiszących na kołeczkach na ścianie ponad stołem wybrała kilka wstążek. Przyłożyła niebieską i pomarańczową do łebka Wuffles:

– Jak myślisz, Wuf? Niebieska czy pomarańczowa?

Wuffles podniosła oczy i radośnie zasapała, a Gwen w jej imieniu zdecydowała się na pomarańczową wstążkę. Trzeba przyznać, że był to dobry wybór – pomarańczowy kolor wyglądał wesoło na srebrzystoszarej, kudłatej główce. Suczka była łagodna i ufna, z zachwytem obserwowała każdy ruch Gwen, choć ta – zajęta również rozmową ze mną – nie poświęcała jej całej swojej uwagi.

– Gregory na moment wpadł w narkotyki – ciągnęła Gwen konwersacyjnym tonem. – Moje pokolenie bawiło się w dom, a jego, najwyraźniej, uciekało w narkotyki. Ale to dobry chłopak i myślę, że już wyszedł na prostą. Na tyle, na ile to w jego przypadku możliwe. Jest szczęśliwy, a to dużo więcej, niż większość z nas może o sobie powiedzieć. To znaczy ja *jestem* szczęśliwa, ale znam wielu ludzi, którzy nie są.

– Nie znudzi mu się życie na łodzi?

– Oby jak najszybciej – odparła lekko Gwen. – Greg może sobie pozwolić na robienie tego, co chce. Jeśli pewnego dnia uzna, że ma już dość obijania się, znajdzie sobie jakieś pożyteczne zajęcie. To bardzo bystry i zdolny chłopak, choć teraz całymi dniami zbija bąki. Czasami mu zazdroszczę, że go na to stać.

– Myślisz, że mogę z nimi porozmawiać? Nie chcę im namieszać w głowach.

Pytanie zaskoczyło Gwen, po raz pierwszy wydawała się zbita z tro-

pu.

– Porozmawiać o ich ojcu?

– Być może w pewnym momencie będę musiała – wyjaśniłam. – Nie chciałabym tego robić wbrew twojej woli, ale nie ukrywam, że taka rozmowa mogłaby mi bardzo pomóc.

– Wydaje mi się, że są gotowi na taką rozmowę – powiedziała Gwen, ale w jej głosie wyczułam powątpiewanie.

– Możemy zastanowić się nad tym później. Być może w ogóle nie będzie takiej potrzeby.

– Och, to dobrze. Nie wydaje mi się, żeby spotkanie z tobą mogło im zaszkodzić. Choć z drugiej strony zupełnie nie rozumiem, po co rozgrzebywać tę sprawę.

– Żeby sprawdzić, czy sprawiedliwości stało się zadość, jak sądzę – powiedziałam. – Brzmi patetycznie, ale naprawdę o to chodzi.

– Sprawiedliwości względem kogo? Laurence’a czy Nikki?

– A jak myślisz? Zakładam, że ty i państwo Fife’owie nie pałaliście do siebie sympatią. Czy sądzisz, że Laurence dostał to, na co zasłużył?

– Pewnie, że tak! Jeśli chodzi o nią, to sama nie wiem... W końcu miała sprawiedliwy proces, więc skoro wyrok był, jaki był, to musiała być winna. Ja sama nieraz miałam ochotę to zrobić. Gdybym tylko miała pomysł, jak...

– Czyli nawet jeśli go zabiła, nie winiłabyś jej za to?

– Ani ja, ani wielu innych. Laurence zraził sobie tylu ludzi – rzuciła niedbale. – Moglibyśmy stworzyć klub i wydawać co miesiąc biuletyn. Ciągle ktoś do mnie podchodzi i mówi ukradkiem: „Chwała Bogu, że on nie żyje”. Dosłownie tak. Cedzą te słowa kącikiem ust.

Gwen znowu się roześmiała.

– Może nie powinno się tak mówić o zmarłych, ale uwierz, on nie był miłym facetem!

– Kto dokładnie tak mówi?

Gwen oparła rękę na biodrze i posłała mi znużone spojrzenie:

– Daj mi godzinę, to sporządzę listę – powiedziała.

Roześmiałam się. Humor jej dopisywał, a może po prostu tak reagowała na stres. Rozmowa z prywatnym detektywem często sprawia, że ludzie robią się nerwowi.

Gwen włożyła Wuffles do pustej klatki, po czym przeszła do drugiego pomieszczenia, z którego wróciła z dużym owczarkiem angielskim. Najpierw uniosła jego przednie łapy i ułożyła je na blacie, a następnie podniosła tylne i wpackowała wielkoluda na stół. Pies w tym czasie skamlał niespokojnie.

– No dalej, Duke – przywołała go do porządku. – Ale z ciebie tchórz!

– Może spotkamy się wieczorem, żeby dokończyć rozmowę? – zaproponowałam.

– Jasne, z miłą chęcią. Zamykam o szóstej. Jeśli masz czas, możemy skoczyć na drinka. Pod koniec dnia po prostu muszę się napić.

– Ja też. W takim razie do zobaczenia – rzekłam.

Podniosłam się ze stołka i wyszłam z salonu. Kiedy zamykałam drzwi, ona już gawędziła z psem. Zastanawiałam się, co jeszcze wiedziała i ile z tego miała zamiar mi powiedzieć. Miałam również cholerną nadzieję, że za dziesięć lat będę wyglądać równie dobrze jak ona.

## 6

Zatrzymałam się przy automacie telefonicznym i zadzwoniłam do Nikki. Odebrała po trzecim sygnale.

– Nikki? Mówi Kinsey. Mam prośbę. Czy dałoby się załatwić, żebym mogła odwiedzić dom, w którym mieszkałaś z Laurence’em?

– Jasne. Ciągle należy do mnie. Akurat wybieram się do Monterey po Colina, ale dom mam po drodze. Możemy się tam spotkać, jeśli chcesz.

Podawała mi adres i powiedziała, że będzie tam za jakieś piętnaście minut. Odłożyłam słuchawkę i wróciłam do samochodu. Nie byłam pewna, czego szukam, ale chciałam poznać ten dom, pochodzić po nim, poczuć jego atmosferę i wyobrazić sobie życie, jakie wiedli w nim Laurence i Nikki. Dom położony był w Montebello, dzielnicy, o której mówi się, że liczba milionerów na kilometr kwadratowy jest tam większa niż gdziekolwiek indziej w kraju. Większości domów nie widać z ulicy, tylko od czasu do czasu mignie ukryty w gęstwinie drzew oliwnych i dębów wirginijskich dach. Wiele parceli ogrodzonych jest oplecionymi dziką różą i nasturcją murkami z ręcznie ciosanych kamieni. Po obu stronach ulic rosną szeregi strzelistych eukaliptusów, pomiędzy którymi od czasu do czasu trafia się przypominająca hiszpański wykrzyknik palma.

Dom Fife’ów stał na rogu dwóch uliczek, osłonięty przed wzrokiem ciekawskich przechodniów przez trzymetrowy żywopłot, który w pewnym miejscu rozdzielał się, by zrobić miejsce dla wąskiego, wyłożonego kostką podjazdu. Dom był masywny – jednopiętrowy, pokryty szarym tynkiem z białym obramowaniem. Fasada domu zwyczajna, bez żadnych ozdób, nieprzykuwająca wzroku. Z jednej strony znajdował się ganek. Również teren wokół domu pozbawiony był jakichkolwiek upiększeń, z wyjątkiem rabat pełnych kwitnących maczków kalifornijskich, mieniających się barwami brzoskwiniową i żółtą, złotą i różową. Za domem dostrzegłam podwójny garaż, a nad

nim pomieszczenie, pewnie stróżówkę. Trawa była równo przycięta, dom zaś – choć w widoczny sposób nikt w nim nie mieszkał – nie robił wrażenia zaniedbanego. Zaparkowałam samochód w miejscu, gdzie podjazd miękko wyginał się w pętlę, dzięki czemu łatwo było stamtąd wyjechać. Mimo pokrytego czerwoną dachówką dachu dom wyglądał raczej na francuski niż hiszpański – okna pozbawione gzymsów, a drzwi na tym samym poziomie, co podjazd.

Wysiadłam z samochodu i przeszłam się kawałek w prawo. Bładoróżowa kostka całkowicie tłumiała dźwięk moich kroków. Za domem dojrzałam zarys basenu i po raz pierwszy odczułam jakiś wewnętrzny chłód, ogarnęło mnie wrażenie, że coś tu jest nie tak. Basen wypełniony był po brzegi przez błoto i śmieci. Zarośnięte chwastami aluminiowe krzesło ogrodowe zapadło się do połowy w miękką ziemię. Pod trampoliną rozciągała się nierówna tafla ściętej trawy i zwiędłych liści, jak gdyby woda zageściła się i zmieniła w brudną maź. Drabinka z uchwytami ginęła w odmętach śmieci, a otaczająca basen betonowa plaża upstrzona była ciemnymi plamami.

Odruchowo ruszyłam w stronę basenu widma. Nagle z zamyślenia wyrwało mnie złowieszcze syczenie. Dwie ogromne, białe gęsi pędziły w moim kierunku z prędkością światła, kołysząc się z boku na bok. Głowy miały wyrzucone do przodu, z szeroko otwartych dziobów wystawały języki i wydawały ten mrozący krew w żyłach dźwięk. Nie mogłam powstrzymać zduszonego krzyku i zaczęłam się wycofywać w stronę samochodu. Poruszałam się tyłem, bojąc się spuścić je z oka. Jednak bestie tak szybko zmniejszyły dystans między nami, że musiałam zacząć biec. Były tuż za mną, ledwo zdążyłam dopaść samochodu. Szarpnęłam drzwi, a następnie zatrzasnęłam je za sobą w panice, jakiej nie doświadczyłam od lat. Zablokowałam drzwi z obu stron, jakby się obawiając, że złośliwe ptaki będą walić w okna, aż je rozbiją w drobny mak. Przez moment próbowały złapać równowagę – z szyjami wyciągniętymi do góry, trzepoczącymi skrzydłami i czarnymi oczami lśniącej nienawiścią. Ich syczące głowy były na poziomie mojej twarzy. Nagle przestały się mną interesować. Tak po prostu. Odeszły, kołysząc się z boku na bok, krzycząc, sycząc i zawzięcie skubiąc trawę. Do tej pory nie przyszło mi do głowy, żeby na liście tego,



czego się boję, umieścić szalone gęsi, a tu nagle poszybowały one wprost do pierwszej trójki, obok robali i karaluchów.

Nikki wjechała na posesję i zaparkowała za moim samochodem. Wsiadła – spokojna i opanowana – i podeszła do mnie. Opuściłam szybę. Obie gęsi ponownie wyjrzały zza domu i swoim kolebiącym krokiem ruszyły prosto w stronę łydek Nikki. Ta od niechcienia rzuciła na nie okiem, po czym się roześmiała. Gęsi ponownie wystrzeliły w górę, bezradnie zatrzepotały krótkimi skrzydełkami i zupełnie nagle zamieniły się w uosobienie łagodności. Nikki miała ze sobą papierową torebkę z chlebem, z której rzucała im okruchy.

– Do jasnego czorta, co to za bestie!? – Ostrożnie wysunęłam się z auta, ale żadna z gęsi nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi.

– To Jaś i Małgosia – wyjaśniła Nikki przyjaźnie. – Gęsi emdeńskie.

– Tyle akurat zauważyłam. Ale co tutaj robią? Kazałaś je wytresować na zawodowych zabójców?

– Dzięki nim dzieciaki nie kręcą się po posesji – wyjaśniła. – Wejść do środka.

Przekręciła klucz w zamku i drzwi się otworzyły. Nikki pochyliła się, żeby podnieść ulotki, wrzucone przez otwór na listy.

– Listonosz daje im krakersy – powiedziała, wracając do tematu gęsi. – Zjedzą wszystko.

– Kto miał klucze do tego domu? – zapytałam. Zauważyłam panel systemu alarmowego, teraz najwyraźniej wyłączzonego.

Wzruszyła ramionami.

– Laurence i ja. Greg i Diane. Nikt inny nie przychodzi mi do głowy.

– Ogrodnik? Pokojówka?

– Teraz oboje mają klucze, ale wydaje mi się, że wtedy nie mieli. Zatrudnialiśmy wówczas gospodynię, panią Voss. Prawdopodobnie miała komplet kluczy.

– A system alarmowy był już założony?

– Kazałam go założyć dopiero cztery lata temu. Już dawno powinnam była sprzedać ten dom, ale nie chciałam podejmować takich decyzji, kiedy byłam w więzieniu.

– Musi być sporo wart.

– O tak. Jego wartość wzrosła trzykrotnie, a zapłaciliśmy za niego siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów. To Laurence go wybrał. Zapiisał dom na mnie z powodów prawnych, jednak mnie się on nigdy zbyt nie podobał.

– Kto go urządził? – zapytałam.

Nikki uśmiechnęła się nieśmiało.

– Ja. Laurence pewnie nigdy się o tym nie dowiedział, ale to była moja subtelna zemsta. Uparł się, żebyśmy kupili właśnie ten dom, więc ja pozbawiłam go kolorów.

Pomieszczenia były wielkie, sufity wysokie, do środka wpadało mnóstwo światła. Podłoga ciemna, zrobiona metodą na pióro i wpust. Układ pomieszczeń robił wrażenie bardzo konwencjonalnego: duży salon po prawej, jadalnia po lewej, a dalej kuchnia. Za salonem znajdował się niewielki salonik oraz długa, ciągnąca się przez całą długość domu oszklona weranda. W domu panowała dziwna atmosfera – pewnie dlatego że nikt tu od lat nie mieszkał – jakby nie był to prawdziwy dom, a ekspozycja niezwykle eleganckiego wyposażenia w domu towarowym. Meble tkwiły nieruchomo na swoim miejscu, nigdzie ani pyłka kurzu. Żadnych roślin, czasopism, żadnego znaku, że coś się tutaj dzieje. Nawet w spowijającej wszystko ciszy pobrzmiwał jakiś głuchy ton, była jałowa i pozbawiona życia.

Całe wnętrze urządzono w neutralnych odcieniach: szarościach i złamanych bielach, kolorach orzechowym i cynamonowym. Sofy i fotele o zaokrąglonych poręczach były miękkie i wyściełane, obłożone ciężkimi poduchami w stylu art déco, ale bez tych wszystkich ozdóbek. Elementy nowoczesne w przyjemny dla oka sposób mieszały się ze staroświeckimi. Nie ma co, Nikki wiedziała, co robi, nawet jeśli zrobiła to całkowicie od niechcienia.

Na piętrze było pięć sypialni, każda wyposażona w kominek, przestronną łazienkę, głęboką szafę ścienną, garderobę i wyłożona grubym, płowym, kudłatym, wełnianym dywanem.

– To pokój pana domu?

Nikki kiwnęła głową. Poszłam za nią do łazienki. Koło umywalki leżała sterta grubych, barwy czekolady ręczników. Była tam również wbudowana w podłogę wanna, otaczające ją ceramiczne płytki miały

odcień bladej tabaki. Osobno stała oszklona kabina prysznicowa, pełniąca również funkcję sauny. Mydło, papier toaletowy, chusteczki higieniczne.

– Mieszkasz tutaj? – zapytałam, gdy zeszyliśmy na dół.

– Na razie nie, ale kto wie... Raz na dwa tygodnie dom jest gruntownie sprzątny, no i, oczywiście, na miejscu cały czas jest ogrodnik. Ja mieszkam na plaży.

– Masz tam drugi dom?

– Tak. Matka Laurence'a mi go zostawiła.

– Dlaczego tobie, a nie jemu?

Uśmiechnęła się lekko.

– Laurence i jego matka nie byli w najlepszych stosunkach. Napijesz się herbaty?

– Myślałam, że musisz ruszać w drogę?

– Mam chwilę.

Zaprowadziła mnie do kuchni. Na środku pomieszczenia stała wyspa z wielkim miedzianym okapem nad palnikami, ogromnym blatem kuchennym oraz wszelkimi możliwymi rodzajami rondelków, koszyków i kuchennych przyborów, wiszących na okrągłej metalowej ramie przymocowanej do sufitu. Pozostałe blaty kuchenne były wyłożone białymi ceramicznymi kafelkami, w jeden z blatów zatopiony był podwójny zlew z nierdzewnej stali. W kuchni znajdowały się również: tradycyjny piekarnik, piekarnik z termoobiegiem, kuchenka mikrofalowa, lodówka, dwie zamrażarki oraz imponująca spiżarnia.

Nikki nastawiła wodę i przycupnęła na drewnianym taborecie. Ja usiadłam na stołku naprzeciwko i siedziałyśmy tak obie na środku pomieszczenia, które równie dobrze mogło być nowoczesnym laboratorium chemicznym lub spełnionym marzeniem każdego kucharza.

– Z kim już zdążyłaś porozmawiać? – zapytała Nikki.

Zdałam relację ze swojej rozmowy z Charliem Scorsonim.

– Moim zdaniem dziwna z nich była para przyjaciół – zauważyłam.

– Laurence'a pamiętam jak przez mgłę, ale zawsze robił na mnie wrażenie eleganckiego intelektualisty. A Scorsoni to sama cielesność. Mógłby zagrać w reklamie piły łańcuchowej.

– Och, Charlie to człowiek walki. Z tego, co słyszałam, wszystko

w życiu zdobył własną ciężką pracą. Parł do przodu jak burza, pokonując kolejne przeszkody. Całkiem jak czasem piszą na okładce z tyłu książki: „Szedł po trupach tych, których kochał”. Może Laurence’owi to imponowało. Zawsze mówił o Charliem z szacunkiem, ale i z pewną zazdrością, bo sam miał wszystko podane jak na tacy. Oczywiście Charlie uważał Laurence’a za chodzący ideał.

– Nadal tak uważa – zgodziłam się. – Charlie chyba nie miał motywu, żeby zabić przyjaciela. Brałaś go kiedyś pod uwagę?

Nikki uśmiechnęła się. Wstała, wyciągnęła filiżanki, spodeczki i torebki herbaty.

– Miałam dużo czasu, zastanawiałam się nad każdym. Jednak nie wydaje mi się, żeby to Charlie zabił. Z pewnością nie zyskał na śmierci Laurence’a ani finansowo, ani zawodowo.

Naląła wrzątku do filiżanek.

– A przynajmniej nic nam na ten temat nie wiadomo – dodałam, zannurzając torebkę herbaty w wodzie.

– Cóż, to prawda. Myślę, że mógł mieć w tym wszystkim jakąś ukrytą korzyść, ale przecież w ciągu ośmiu lat musiałyby to w którymś momencie wyjść na jaw.

– Pewnie tak.

Następnie zrelacjonowałam rozmowę z Gwen. Policzki Nikki leciutko się zaróżowiły.

– Muszę przyznać, że nie byłam wobec niej w porządku – powiedziała. – Kiedy się rozwodzili, Laurence naprawdę jej nienawidził, a ja dolewałam oliwy do ognia. On nigdy nie poczuwał się do odpowiedzialności za rozpad małżeństwa, całą winę zrzucił na Gwen i postanowił surowo ją ukarać. A ja go w tym utwierdzałam. Najpierw naprawdę wierzyłam we wszystko, co o niej mówił. Osobiście uważałam ją za wartościową osobę i wiedziałam, że kiedy byli razem, Laurence był od niej bardzo zależny, więc sądziłam, że bezpieczniej będzie odciągnąć go od niej, podsycać jego złe uczucia. Wiesz, co mam na myśli? W pewien sposób żarliwa nienawiść, którą w nim wzbudzała, niewiele się różniła od gorącej miłości, ale ja czułam, że moja pozycja się umacnia, gdy są coraz bardziej skłóceny. Teraz się tego wstydzę. Kiedy przestałam go kochać, a on zwrócił się przeciwko mnie, nagle

zrozumiałam, przez co musiała przejść Gwen.

– Myślałam, że ich związek rozpadł się tak naprawdę przez ciebie – powiedziałam, przyglądając się jej uważnie przez obłoczek pary unoszący się z mojej filiżanki.

Nikki zatopiła palce obu rąk we włosach, podniosła je do góry, a następnie pozwoliła im znowu opaść, lekko odrzucając głowę.

– Och, nie – zaprzeczyła. – Romans ze mną był zemstą. Nieważne, że przez lata zdradzał ją na lewo i na prawo. Kiedy odkrył, że Gwen kogoś ma, przygruchał sobie mnie. Niezły facet, co? Dowiedziałam się o tym wszystkim wiele lat później, ale wiem na pewno, że tak właśnie było.

– Poczekaj chwilę. Niech się upewnię, że dobrze zrozumiałam – poprosiłam. – Odkrył, że żona ma romans, więc nawiązał romans z tobą, a następnie się z nią rozwiódł. Z tego, co wiem, w czasie rozwodu rozniósł ją w drobny pył.

– O, tak. Dokładnie tak zrobił. Romansował ze mną, żeby udowodnić, iż wcale mu na niej nie zależy. Dzieci i pieniądze zabrał jej za karę. Laurence był bardzo mściwy. Między innymi dlatego był takim dobrym adwokatem. Gorąco współczuł każdemu, kto został oszukany. Walczył jak oszalały o każdą najmniejszą rzecz i nie ustawał, dopóki nie zmiotł przeciwnika z powierzchni ziemi. Był bezlitosny. Absolutnie bezlitosny.

– Z kim Gwen miała romans?

– O to już musisz zapytać ją. Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek to wiedziałam. Z pewnością Laurence nigdy nie poruszał tego tematu.

Zadałam Nikki pytanie o noc, kiedy umarł jej mąż, a ona wyczerpująco uzupełniła moje informacje.

– Na co miał alergię?

– Na sierść. Głównie psią, ale kocią też. Długo nie tolerował zwierząt w domu, ale kiedy Colin miał dwa lata, ktoś nam poradził, żebyśmy sprawili mu psa.

– Podobno Colin nie słyszy.

– Jest głuchy od urodzenia. Dowiedzieliśmy się o tym zaraz po jego urodzeniu podczas standardowego badania słuchu noworodka. Nic się nie dało zrobić. Prawdopodobnie przeszłam łagodny przypadek

różyczki, zanim nawet zorientowałam się, że jestem w ciąży. Na szczęście nic innego mu nie dolega. Mieliśmy szczęście, mogło być gorzej.

– Więc sprawiliście sobie psa ze względu na niego? Miał nad nim czuwać, tak?

– Tak. Nie da się mieć dziecka na oku dzień i noc. Dlatego też zdecydowaliśmy się zasypać basen. Pomoc Bruna była nieoceniona.

– To owczarek niemiecki?

– Tak – odparła Nikki, po czym lekko się zawahała. – Już nie żyje. Na drodze przed domem potrącił go samochód. Był wspaniałym psem. Inteligentnym, kochającym, opiekuńczym wobec Colina. Laurence widział, ile dla Colina znaczy taki pies jak Bruno, więc zaczął zażywać leki antyalergiczne. Naprawdę kochał Colina. Miał swoje wady i to całkiem sporo, ale możesz mi wierzyć, kochał swojego synka.

Jej uśmiech powoli zgasł, a twarz uległa dziwnej przemianie. Jakby nagle stała się nieobecna, jakby jej myśli zabłąkały się gdzieś daleko. Oczy miała puste, a spojrzenie, które na mnie zwróciła, pozbawione było jakichkolwiek emocji.

– Przepraszam, Nikki. Przykro mi, że musimy do tego wszystkiego wracać.

Dopiłyśmy herbatę i wstałyśmy. Nikki wzięła ze stołu filiżanki i spodeczki i włożyła je do zmywarki. Kiedy znowu spojrzała na mnie, jej oczy były chłodne i szare jak metaliczny połysk broni.

– Mam nadzieję, że odkryjesz, kto go zabił. Nie będę szczęśliwa, dopóki się nie dowiem.

Coś w jej głosie sprawiło, że przeszedł mnie zimny dreszcz. W jej oczach był błysk dokładnie taki sam jak ten, który widziałam w oczach gęsi – pełen skrywanej nienawiści, szalony. Trwał zaledwie ułamek sekundy, po czym nagle zniknął.

– Chyba nie będziesz próbowała się zemścić, co?

Odwróciła wzrok.

– Nie. W więzieniu często o tym myślałam, ale teraz, kiedy jestem na wolności, zemsta nie wydaje mi się aż tak ważna. W tym momencie jedyne, czego pragnę, to odzyskać syna. Chcę leżeć na plaży, popijać wodę Perrier i mieć na sobie własne ciuchy. Chodzić do restaura-

cji albo samodzielnie gotować. Spać do późna i kąpać się w wannie pełnej pachnących bąbelków...

Przerwała i zaśmiała się sama z siebie, po czym wzięła głęboki wdech:

– Odpowiedź brzmi: nie. Nie będę ryzykować własnej wolności.

Nasze oczy się spotkały, uśmiechnęłam się w odpowiedzi na te słowa.

– Na ciebie już chyba czas – zakończyłam rozmowę.

## 7

Postanowiłam skorzystać, że jestem w okolicy, i zatrzymałam się przy aptece na Montebello. Aptekarz – zgodnie z identyfikatorem, Carroll Sims – był mężczyzną po pięćdziesiątce, średniego wzrostu, z łagodnymi brązowymi oczami, spoglądającymi zza szkieł w łagodnych rogowych oprawkach. Właśnie był w trakcie szczegółowego wyjaśniania leciwej klientce, jak działa lekarstwo i w jaki sposób powinno być przyjmowane. Paniusia zdawała się zarówno zaintrygowana, jak i rozdrażniona jego tłumaczeniami, ale Sims pozostał taktowny i odpowiadał na jej dociekliwe pytania z cierpliwą życzliwością. Oczami wyobraźni widziałam, jak ludzie ufnie pokazują mu swoje kurczaki i ślady po ugryzieniu kota, opisują bóle w klatce piersiowej i problemy z pęcherzem. Kiedy nadeszła moja kolej, żałowałam, że nie mam jakiejś dolegliwości, o której mogłabym mu opowiedzieć. Zamiast tego pokazałam identyfikator.

– W czym mogę pomóc?

– Zastanawiam się, czy przypadkiem nie pracował pan tu osiem lat temu, kiedy został zamordowany Laurence Fife?

– Owszem, pracowałem. Jestem właścicielem tej apteki. Był pani przyjacielem?

– Nie – odparłam. – Wynajęto mnie, żebym jeszcze raz przyjrzała się tej sprawie. Pomyślałam, że logicznym krokiem będzie zacząć od miejscowej apteki.

– Obawiam się, że niewiele będę mógł pomóc. Mogę pani powiedzieć, jakie lekarstwa zażywał, w jakich dawkach, ile buteleczek brał zawsze na zapas i który lekarz wypisywał mu recepty. Ale nie potrafię wyjaśnić, w jaki sposób w kapsułce znalazła się trucizna. To znaczy potrafię zrozumieć, jak mogło do tego dojść, ale nie wiem, kto to zrobił.

Nie dowiedziałam się od niego wiele nowego. Laurence zażywał lek odczulający o nazwie histadril, leczył się nim od lat. Mniej więcej raz



na rok odwiedzał alergologa, a przez resztę roku jego recepty były automatycznie przedłużane. Jedyna ciekawa rzecz, jaką usłyszałam od Simsa, dotyczyła histadrilu. Lek został ostatnio wycofany z rynku ze względu na potencjalne działanie rakotwórcze.

– Innymi słowy, gdyby Fife przyjmował to lekarstwo jeszcze kilka lat dłużej, być może i tak by umarł, tyle że na raka.

– Być może – potwierdził aptekarz. Przez chwilę patrzyliśmy sobie prosto w oczy.

– Pewnie nie domyśla się pan, kto zabił Fife'a – zaryzykowałam.

– Nie.

– W takim razie chyba już nie mam więcej pytań. Był pan na procesie?

– Tylko wtedy, gdy składałem zeznanie. Rozpoznałem buteleczkę na lek jako jedną z naszych. Niedługo przed śmiercią przyszedł uzupełnić lek, pogadaliśmy sobie przy okazji. Zażywał histadril od tak dawna, że nie musiałem mu nic tłumaczyć.

– Pamięta pan, o czym rozmawialiście?

– Hm... O niczym szczególnym. Wydaje mi się, że mniej więcej w tym czasie było wiele pożarów na przedmieściach, chyba o tym rozmawialiśmy. Wielu alergików martwiło się wzrostem zanieczyszczenia powietrza.

– On też się martwił?

– Wszyscy się trochę przejmowali, ale nie pamiętam, żeby on jakoś bardziej niż pozostali.

– To chyba wszystko – powiedziałam. – Dziękuję za poświęcony mi czas. Zadzwoń pan do mnie, jeśli przyjdzie panu do głowy coś jeszcze? Mój numer znajdzie pan w książce telefonicznej.

– Jasne, zadzwonię – zapewnił.

Nie było jeszcze godziny piętnastej, a ja byłem umówiona z Gwen na osiemnastą. Czułam się niespokojna i rozdrażniona. Powoli kompletowałam najistotniejsze informacje, ale jak na razie sprawa w ogóle nie ruszyła z miejsca. Doświadczenie mi mówiło, że na tym etapie śledztwo może utknąć na dobre. Stan Kalifornia dopilnował, żeby sprawiedliwość zatriumfowała. I tylko Nikki Fife wiedziała, że tak się nie stało. Ona oraz bezimienny, zamaskowany zabójca Lauren-

ce'a Fife'a, który spędził na wolności osiem lat, który przez osiem lat bezkarnie grał na nosie wymiarowi sprawiedliwości. Teraz ja mu miałam to wszystko odebrać. Wiedziałam, że wcześniej czy później nastąpię mu na odcisk, a on wcale nie będzie z tego powodu zadowolony.

Postanowiłam zająć się obserwacją Marcii Threadgill. Kiedy potknęła się o wystającą płytę w chodniku, wychodziła właśnie ze sklepu z drobiazgami, gdzie zakupiła rzeczy niezbędne do wykonania drewnianego kuferka pokrytego muszlami. Pewnie była jedną z tych osób, które metodą decoupage'u ozdabiają skrzynki po pomarańczach i produkują upiększone plastikowymi liliami wiszące ozdoby z opakowań po jajkach. Marcia Threadgill miała dwadzieścia sześć lat i cierpiała na przypadłość zwaną chronicznym brakiem dobrego gustu. Właściciel sklepu z drobiazgami wyczerpująco opowiedział mi o jej projektach; w ten sposób przekonałam się, że typ Marcii to wypisz-wymaluj typ mojej ciotki. Marcia Threadgill była po prostu skąpa. Zwykle śmiecie przerabiała na prezenty gwiazdkowe. Jestem zdania, że właśnie ludzie o takiej mentalności oszukują towarzystwa ubezpieczeniowe i korzystają z każdej, nawet nieuczciwej okazji, żeby oszczędzić parę centów. Na przykład piszą do rozlewni Pepsi, że znaleźli mysz w puszcze, by załapać się na darmową skrzynkę tego napoju.

Zaparkowałam niedaleko jej mieszkania i wyjęłam lornetkę. Siedziałam w aucie, bez zbytniego zaciekawienia obserwując jej taras. Nagle wyprostowałam się jak struna.

– A niech mnie! – szepnęłam do siebie.

Miejsce paskudnej, uschniętej paproci zajęła teraz gigantycznych rozmiarów roślina, która musiała ważyć jakieś dziesięć kilogramów. Pytanie: jak Marcia zdołała ją podnieść i zamocować na haku wiszącym wysoko nad jej głową? Czy pomógł jej sąsiad? A może chłopak? Czy może dokonała tego sama? Widziałam nawet cenę przyczepioną z jednej strony do doniczki. Kupiła roślinę w supermarkecie Gateway i zapłaciła za nią dwadzieścia dziewięć dolarów dziesięćdziesiąt pięć centów, czyli całkiem dużo, jak na szpetne siedlisko muszek owocówek.

– Kurczę pieczone – zakląłam pod nosem. Czemu mnie tu nie było, kiedy wciągała na górę tę ślicznotkę? Dziesięć kilogramów lśniącej zieleni oraz wilgotnej ziemi na łańcuchu zawieszonym ponad jej głową. Czy stanęła na krześle? Pojechałam prosto do najbliższego Gatedwaya, z tyłu sklepu znalazłam dział z roślinami doniczkowymi. Było tam pięć czy sześć podobnych do tej z tarasu Marcii – cholerstwa nazywały się kapryśnice albo obraźalskie, mniejsza z tym, jak. Podniosłam jedną z nich. O mój Boże! Było gorzej, niż sądziłam! Doniczka z rośliną była niewygodna i ciężka, nie sposób było sobie z nią poradzić bez pomocy. Kupiłam film w kasie ekspresowej i natychmiast załadowałam go do aparatu. „Marcia, słonko ty moje – zagruchałam słodko. – Mam zamiar nieźle cię udupić!”.

Pojechałam z powrotem pod jej dom i znowu sięgnęłam po lornetkę. Ledwo się wygodnie usadowiłam ze szklami skierowanymi na jej taras, gdy panna Threadgill pojawiła się tam we własnej osobie, ciągnąc za sobą jeden z tych długich, plastikowych węży, pewnie podłączony do kranu wewnątrz mieszkania. Zwilżyła, spryskała i podlała swój nowy nabytek, pogrzebała palcem w ziemi, a następnie poszła do stojącej na balustradzie innej rośliny i zerwała żółknący liść. Podręcznikowy przykład nerwicy natręctw, pomyślałam, gdy tak metodycznie sprawdzała od spodu liście, szukając tam Bóg wie jakich szkodników. Przyjrzałam się uważnie jej twarzy. Miałam wrażenie, że załapała się dziś na darmowy pokaz makijażu w jakimś domu towarowym, po którym wydała jakieś czterdzieści pięć dolarów na tandetne kosmetyki. Mokka i karmel na powiekach. Malina na policzkach. Czekoladowa szminka. Paznokcie długie i pomalowane na kolor wiśniowych marmoladek, takich, w które najpierw ochoczo się wgryzasz, a za chwilę tego żałujesz.

Tymczasem na tarasie piętro wyżej pojawiła się staruszka w nylonowej podomce. Sąsiadki wdały się w wymianę zdań. Domyśliłam się, że starsza pani ma o coś pretensje, bo obie panie wyglądały na niezadowolone, a skończyło się na tym, że oburzona Marcia pospiesznie wróciła do mieszkania. Starowinka wrzasnęła – nawet w wersji bez głosu wyglądało to na stek przekleństw. Wzięłam podkładkę do pisania i plik kartek, po czym wysiadłam z samochodu i zamknęłam

drzwi.

Z listy lokatorów na klatce dowiedziałam się, że Marcia zajmuje mieszkanie numer 2C. Mieszkanie powyżej należało do niejkiej Augusty White. Minęłam windę i ruszyłam na górę po schodach, zatrzymując się najpierw przed drzwiami Marcii. Słuchała puszczonego na cały regulator albumu Barry'ego Manilowa. Kiedy tam stałam, podkreśliła jeszcze głośność. Pokonałam jeszcze jedno piętro i zapukałam do drzwi Augusty. Otworzyła błyskawicznie i wystawiła głowę przez szczelinę w drzwiach jak pekińczyk. Podobieństwa dopełniały wyłupiaste oczy, zmarszczony nos oraz pokaźna bródka.

– Co tam? – warknęła. Oceeniłam ją na co najmniej osiemdziesiąt lat.

– Proszę pani, mieszkam w budynku obok – wyjaśniłam grzecznie.  
– Mieszkańcy skarżą się na dobiegający stąd hałas i zarządca poprosił, żebym się zajęła tą sprawą. Czy mogę zająć pani chwilę? – Żeby wzmocnić swoją wiarygodność, uniosłam oficjalnie wyglądającą podkładkę.

– Chwila.

Odeszła od drzwi i poczłapała do kuchni po miotłę. Słyszałam, jak kilka razy uderzyła nią w kuchenną podłogę. W odpowiedzi z dołu doszło potężne łupnięcie, jakby Marcia Threadgill walnęła w sufit wojskowym butem.

Augusta White przyczłapała z powrotem, łypiąc na mnie okiem przez szczelinę w uchylonych drzwiach.

– Na moje oko, to wygląda pani jak pośrednik handlu nieruchomościami – powiedziała podejrzliwie.

– Hm... Nie zajmuję się nieruchomościami. Naprawdę.

– W każdym razie wygląda pani na pośrednika, więc proszę się wywnosić ze swoimi papierami. Znam wszystkich ludzi z budynku obok, pani na pewno tam nie mieszka.

Zatrzasnęła mi drzwi przed nosem i ostentacyjnie zasunęła rygiel.

No i tyle. Misja zakończona. Wzruszyłam ramionami i zesłam po schodach na dół. Gdy byłam na zewnątrz, przyjrzałam się uważnie budynkowi. Tarasy na każdym kolejnym piętrze były mniejsze, co w efekcie nadawało fasadzie budynku kształt piramidy. Oczyma wy-

obraźni zobaczyłam siebie, wspinającą się niczym włamywacz dachowiec po kolejnych tarasach, żeby przyjrzeć się poczynaniom Marcii Threadgill z bliska. Jeszcze przed momentem miałam szczerą nadzieję, że uda mi się zdobyć sojusznika, który dostarczy mi raport z pierwszej ręki na temat panny Threadgill, ale chwilowo musiałam porzucić ten zamysł. Z samochodu zrobiłam parę zdjęć wiszącej doniczki, łudząc się, że niedługo zgniją jej korzenie i uschnie. A ja akurat będę tu z aparatem, kiedy na jej miejsce Marcia będzie wieszala następną.

Wróciłam do siebie i zrobiłam kilka notatek. Za piętnaście piąta przebrałam się w ciuchy do biegania: szorty i stary bawełniany golf. Nie to, żebym należała do grona bezkrytycznych wyznawców sprawności fizycznej. Tak naprawdę w dobrej formie byłam może raz w życiu, mianowicie kiedy miałam egzaminy do akademii policyjnej. Jednak w bieganiu jest coś, co odpowiada masochistycznej stronie mojej natury. Wszystko mnie boli i nie jestem szybka, ale mam dobre buty i lubię zapach własnego potu. Zwykle biegnę dwa i pół kilometra po deptaku koło plaży, powietrze jest lekko wilgotne i bardzo czyste. Wzdłuż szerokiego trawnika pomiędzy deptakiem a piaskiem rosną palmy. Zawsze spotykam innych miłośników joggingu; większość z nich wygląda o niebo lepiej niż ja.

Przebiegłam trzy kilometry, po czym uznałam, że tyle na dziś wystarczy. Bolały mnie łydki, a klatka piersiowa płonęła. Zgięta w pas, sapałam i dyszałam, wyobrażając sobie wszelkiego rodzaju toksyny, wypompowywane właśnie z mojego ciała wszystkimi porami i parą płuc. Zbawienne oczyszczenie. Byłam w połowie drogi do domu, kiedy usłyszałam klakson. Spojrzałam w tamtym kierunku. Charlie Scorsoni wyglądał z zaparkowanego przy krawężniku bladobłękitnego mercedesa 450, w którym było mu bardzo do twarzy. Podwiniętym rękawem golfa otarłam spływający po twarzy pot i podeszłam do samochodu.

- Nabrała pani rumieńców – zauważył.
- Po paru kilometrach zawsze wyglądam, jakbym właśnie miała atak. Dziś i tak nie jest najgorzej. Co pana tutaj sprowadza?
- Poczucie winy. Wczoraj potraktowałam panią obcesowo. Zapro-

szam.

– Nie ma mowy – roześmiałam się, ciągle z trudem łapiąc oddech. – Jestem cała spocona. Nie chcę panu zmoczyć tapicerki.

– Mogę za panią jechać? Nie wiem, gdzie pani mieszka.

– Mówi pan poważnie?

– Jasne – zapewnił. – Pomyślałem, że jeśli się postaram i użyję swojego nieodpartego uroku osobistego, to nie wciągnie mnie pani na listę podejrzanych.

– Bez szans. Dla mnie wszyscy są podejrzani.

Skończyłam brać prysznic i wyrzesałam z za drzwi łazienki. Scorsoni przeglądał stertę książek na biurku.

– Zdążył pan przeszukać szuflady? – zapytałam.

Uśmiechnął się łagodnie:

– Są zamknięte na klucz.

Odwzajemniłam uśmiech i zamknęłam drzwi łazienki, żeby się ubrać. Nie mogłam nie zauważyć, że się ucieszyłam na jego widok, i wcale mi się to nie spodobało. Jeśli chodzi o facetów, to twarda ze mnie sztuka. Rzadko trafia się czterdziestoosmiolatek, o którym myślałabym w kategoriach przystojniaka, ale tym razem tak właśnie się stało. Był potężnym mężczyzną, a jego włosy ładnie się kręciły. Błękitne oczy lśniły niesamowicie z za okularów bez oprawki. Dołek w brodzie również nie przeszkadzał.

Wyszłam z łazienki i bosy ruszyłam w stronę niewielkiej kuchni.

– Napije się pan piwa? A może mówmy sobie na ty?

Siedział na sofie, kartkując książkę o kradzieżach samochodowych.

– Z przyjemnością się napiję. Masz dobry gust literacki, Kinsey – powiedział. – A co byś powiedziała, gdybym zaprosił cię na drinka?

– Mam spotkanie o szóstej – wyjaśniłam.

– W takim razie niech będzie piwo.

Podałam mu otwartą butelkę, a sama usiadłam na drugim końcu sofy, podwijając pod siebie stopy.

– Musiałeś się wcześniej urwać z kancelarii. Pochlebiasz mi.

– Wrócę tam wieczorem. Na parę dni wyjeżdżam z miasta, więc muszę spakować walizkę i zostawić Ruth wskazówki dotyczące toczących się spraw.

– Trzeba było sobie nie przerywać.  
Scorsoni posłał mi zagadkowy, lekko zirytowany uśmiech.

– Boże, zawsze w defensywie. Trzeba było nie wzbudzać mojej ciekawości. Skoro Nikki nie zabiła Laurence’a, to tak samo jak wszyscy chciałbym się dowiedzieć, kto to zrobił. Tyle.

– Ale ty nie wierzysz, że jest niewinna.

– Wierzę, że ty w to wierzysz – wyjaśnił.  
Uważnie mu się przyjrzałam.

– Nie mogę ci udzielić żadnych informacji. Mam nadzieję, że to rozumiesz. Jeśli masz jakieś podejrzenia, chciałabym, żebyś mi o nich powiedział. Ale to nie będzie działać w obie strony.

– Właśnie próbujesz wyjaśnić prawnikowi, czym jest tajemnica zawodowa. Dobry Boże, Millhone, wyluzuj.

– Dobra, zapędziłam się. Przepraszam – wycofałam się szybko. Spojrzałam na jego wielkie dłonie, a następnie przeniosłam wzrok na twarz. – Po prostu nie chcę, żebyś mnie wypytywał, to wszystko. Rozluźnił się i nawet pozwolił sobie na leniwy uśmiech.

– Przecież mówiłaś, że nic jeszcze nie masz – przypomniał. – Więc o co niby miałbym cię wypytywać? Zawsze tak zrzedzisz?  
Uśmiechnęłam się.

– Tak naprawdę to nie wiem, jakie mam szanse na rozwiązanie tej sprawy. Jeszcze jej do końca nie wyczułam. Na tym etapie zwykle jestem nerwowa.

– Taaa... A pracujesz nad nią, policzmy, dwa dni?

– Mniej więcej.

– To daj sobie więcej czasu i przestań panikować.  
Pociągnął łyk piwa, po czym odstawił butelkę na stolik. Szkło brzęknęło przy zetknięciu z blatem.

– Wczoraj nie byłem z tobą do końca szczerzy – powiedział.

– Co masz na myśli?

– Libby Glass. Wiedziałem, kim była, i podejrzewałem, że Laurence jest z nią w jakiś sposób związany. Po prostu wydawało mi się, że wtykasz nos w nie swoje sprawy.

– Nie bardzo rozumiem, jaki ma sens lojalność wobec nieżyjącego od ośmiu lat przyjaciela.

– Doszedłem do tego samego wniosku. Kto wie, może ta informacja zmieni bieg śledztwa? Chyba po śmierci Laurence’a uznałem go za cnotliwszego człowieka, niż naprawdę był za życia. Tak naprawdę romansował na prawo i lewo. Tyle że zwykle interesowały go zamożne kobiety. Starsze od niego, szczupłe elegantki. Najlepiej żony arystokratów.

– Jaka była Libby?

– Nie znałem jej dobrze. Spotkałem się z nią tylko parę razy, kiedy zajmowała się rozliczaniem naszych podatków. Wydawała się miła. I młoda. Nie mogła mieć więcej niż dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć lat.

– Czy Laurence ci powiedział, że ma z nią romans?

– Z zasady nie rozmawiał o swoich romansach. Był dyskretny w tych sprawach.

– Prawdziwy dżentelmen.

Scorsoni posłał mi ostrzegawcze spojrzenie.

– Daruj sobie ironię – rzekł pospiesznie. – Nie miał w zwyczaju opowiadać wszystkim o swoich kobietach. Tylko to miałem na myśli.

– Umiał dochować tajemnicy.

– Taaa... Takie miał zasady. Pod tym względem był godny zaufania. Nigdy nie odkrywał swoich kart. Nigdy nie wysyłał depesz. Jednak pół roku przed śmiercią zaczął zachowywać się dziwnie, jakby coś ukrywał. Czasami wydawało mi się, że nie czuje się dobrze, ale nie chodziło o jakąś fizyczną dolegliwość. Cierpiał na jakiś rodzaj, przepraszam za górnolotne wyrażenie, psychicznego bólu.

– Tamtego wieczoru wypiliście razem kilka drinków, prawda?

– Byliśmy na kolacji w restauracji Bistro. Nikki gdzieś wyszła, a my graliśmy w racquetballa, a potem wyskoczyliśmy coś przekąsić. Nie zauważyłem, żeby coś mu wtedy dolegało.

– Czy miał ze sobą lekarstwo na alergię?

Scorsoni potrząsnął głową.

– W ogóle nie przepadał za pigułkami. Brał tylenol, kiedy bolała go głowa, ale nie zdarzało się to często. Nawet Nikki przyznała, że wzięła kapsułkę na alergię po powrocie do domu. Musiał za tym stać ktoś, kto miał dostęp do lekarstwa.



- Czy Libby Glass tutaj bywała?
- Z tego, co wiem, na pewno nie w sprawach zawodowych. Mogła przyjeżdżać do niego, ale nigdy mi o tym nie mówił. Dlaczego pytasz?
- Nie wiem. Przyszło mi do głowy, że ktoś mógł zatruć ich lekarstwa w tym samym czasie. Libby umarła dopiero cztery dni później, ale to w tym wypadku bez znaczenia. Po prostu później trafiła na feralną kapsułkę.
- Sprawa jej śmierci nie była nagłośniona. Chyba nawet nie było wzmianki w naszych gazetach. Tym niemniej powinnaś wiedzieć, że jakieś półtora tygodnia przed śmiercią Laurence był w Los Angeles.
- To ciekawe. I tak się tam wybierałam. Może uda mi się dowiedzieć na ten temat czegoś więcej.
- Rzucił okiem na zegarek.
- Nie zatrzymuję cię dłużej – powiedział, podnosząc się. Ja też wstałam i wolnym krokiem odprowadziłam go do drzwi. Myśl, że zaraz wyjdzie, była dziwnie niemiła.
- Jak udało ci się schudnąć?
- To masz na myśli? – zapytał, klepiąc się po brzuchu. Pochylił się lekko w moją stronę, jakby właśnie miał zamiar zdradzić mi sekret jakiejś niewiarygodnej diety, polegającej na połączeniu ostrej głodówki z intensywnym onanizmem.
- Przestałem wcinać batoniki. Przedtem trzymałem je w szufladzie biurka – szepnął konspiracyjnie. – Snikersy i batony Three Musketeers, czekoladki Hershey's Kisses, wiesz, te w srebrnych papierkach ze śmiesznym chwaścikiem na górze? Przedtem wcinałem jakieś sto na dzień...
- Czułam, że zaraz nie wytrzymam i wybuchnę śmiechem. Mówił to pieszczotliwym tonem i ściszył głos, jakby właśnie przyznawał się, że kiedy jest sam, lubi paradować po domu w rajstopach. Poza tym miałam świadomość, że jeśli teraz odwrócę twarz, to znajdę się bliżej niego, niż – jak mi się wydawało – w tym momencie byłoby wskazane.
- Marsy? Batoniki Baby Ruth? – podpowiedziałam.
- Nie mogłem się im oprzeć – odparł. Niemal czułam żar bijący z jego twarzy i wreszcie odważyłam się zerknąć na niego kątem oka.

Wtedy roześmiał się ze swojego dowcipu i czar prysnął. Jego oczy zatrzymały się na moich tylko ułamek sekundy dłużej, niż powinny.

– Do zobaczenia – powiedział.

Podaliśmy sobie ręce na pożegnanie. Nie wiem, po co – może był to tylko pretekst, żeby poczuć swój dotyk. Nawet tak niewinny kontakt sprawił, że włoski na przedramieniu stanęły mi dęba. Mój system wczesnego ostrzegania rozdzwonił się jak szalony, a ja nie byłam pewna, co o tym wszystkim myśleć. Podobnie czuję się, kiedy otwieram okno na dwudziestym piętrze – myśl o poszybowaniu na dół nie wiadomo czemu wydaje mi się nagle niezwykle kusząca. Między kolejnymi związkami robię sobie długie przerwy. Może właśnie nadszedł czas na następny? Niedobrze, pomyślałam, niedobrze.

## 8

Kiedy o szóstej zatrzymałam się przed K-9, Gwen właśnie zamykała lokal. Opuściłam szybę i przechyliłam się przez fotel pasażera:

– Jedziemy moim wozem?

– Wolę pojechać za tobą – powiedziała. – Wiesz, gdzie jest restauracja Palm Garden? Możemy się tam wybrać?

– Jasne, w porządku.

Poszła na parking i chwilę potem zobaczyłam, jak wyjeżdża jaskrawożółtym saabem. Restauracja była tylko kilka przecznic dalej, na parking wjechałyśmy równocześnie i zatrzymałyśmy się obok siebie. Zrzuciła fartuch i energicznie strzepnęła przód spódnicy.

– Wybacz Kinsey, że cała jestem w psiej sierści – powiedziała. – Zwykle od razu po pracy wskakuję do wanny.

Restauracja Palm Garden znajduje się w samym sercu Santa Teresa, na tyłach centrum handlowego. Stoliki stoją na zewnątrz, podobnie jak obowiązkowe w kalifornijskiej knajpie palmy w wielkich drewnianych skrzyniach. Usiadłyśmy przy usytuowanym na uboczu małym stoliku, ja zamówiłam białe wino, a Gwen – wodę Perrier.

– Nie pijesz? – zapytałam.

– Niewiele. Przestałam po rozwodzie. Przedtem wlewałam w siebie hektolitry szkockiej. Jak tam śledztwo?

– Na tym etapie trudno coś powiedzieć – odparłam oględnie. – Od kiedy zajmujesz się pielęgnacją psów?

– Wydaje mi się, że od zawsze – powiedziała, śmiejąc się.

Przez chwilę gawędziłyśmy o tym i o owym. Potrzebowałam chwili, żeby uważnie jej się przyjrzeć. Chciałam dociec, co takiego Gwen i Nikki mają ze sobą wspólnego. Musiało je coś łączyć, w końcu obie zostały żonami tego samego mężczyzny. Wreszcie Gwen przeszła do rzeczy:

– Strzelaj! – powiedziała.

Podobało mi się, że jest taka bezpośrednia. Ułatwiała mi zadanie,

na co nie liczyłam:

- Nie sądziłam, że będziesz taka chętna do współpracy.
- Rozmawiałaś z Charliem Scorsonim – przeszła do rzeczy.
- Wydawało mi się, że logicznym krokiem będzie zacząć właśnie od niego – wyjaśniłam, wzruszając ramionami. – Masz go na liście?
- Na liście podejrzanych o zabicie Laurence’a? Nie. Raczej nie. A on mnie podejrzewa?

Potrząsnęłam głową.

– To dziwne – powiedziała.

– Dlaczego?

Przechyliła lekko głowę, była teraz poważna:

– Uważa mnie za zgorzkniałą. Słyszałam to od wielu osób. To małe miasto. Jeżeli cierpliwie poczekaasz, w końcu dotrze do ciebie wszystko, co ktoś powiedział na twój temat.

– Nie byłoby niczym dziwnym, gdybyś po tym wszystkim trochę zgorzkniała.

– Poradziłam sobie z tym dawno temu. Tak przy okazji, tutaj masz namiary na Grega i Diane. Jeśli nadal jesteś zainteresowana. – Wyjęła z torebki karteczkę, na której były zapisane dwa nazwiska, adresy i numery telefonów.

– Dziękuję. Doceniam, że to robisz. Poradzisz mi, jak zacząć? Kiedy mówiłam, że nie chcę im namieszać w głowach, naprawdę miałam to na myśli.

– Nie, nie. Oboje są bardzo bezpośredni. Obawiam się, że mogą ci się nawet wydać *zbyt* otwarci.

– Rozumiem, że nie utrzymywali kontaktu z Nikki.

– Prawdopodobnie nie, a szkoda. Było, minęło. Wolałabym, żeby puścili to wszystko w niepamięć. Nikki była dla nich bardzo dobra.

Sięgnęła do tyłu i ściągnęła apaszkę, po czym potrząsnęła lekko głową, żeby włosy swobodnie opadły. Były długie do ramion, w interesującym popielatym odcieniu, który – dałabym głowę – był całkowicie naturalny. Szare włosy i brązowe oczy tworzyły miły dla oka kontrast. Miała mocno zarysowane kości policzkowe, łagodne zmarszczki wokół ust, ładne zęby i opaleniznę, będącą wynikiem raczej zdrowego trybu życia niż wylegiwania się na słońcu.

– Co myślisz o Nikki? – zdecydowałam się zapytać, skoro już byliśmy przy tym temacie.

– Tak naprawdę to sama nie wiem. Wtedy byłam na nią wściekła jak diabli, ale teraz czasem miałabym ochotę z nią porozmawiać. Myślę, że całkiem nieźle byśmy się zrozumiały. Chcesz wiedzieć, czemu za niego wyszłam?

– Chętnie posłucham.

– Miał dużego kutasa – powiedziała z szelmowskim błyskiem w oku, po czym wybuchła śmiechem. – Przepraszam, nie mogłam się powstrzymać. Tak naprawdę był beznadziejny w łóżku. Prawdziwa seksmaszyna. Idealna sprawa, jeśli lubisz czuć się jak rzecz.

– Nie przepadam – odrzekłam zwięźle.

– Ja też nie byłam zachwycona, kiedy odkryłam, że do tego to się sprowadza. Przed ślubem byłam dziewicą.

– Jezu! – powiedziałam. – Średniowiecze.

– W tamtych czasach robiło to jeszcze bardziej średniowieczne wrażenie, ale ja tak zostałam wychowana. Zawsze mi się wydawało, że to przeze mnie nasz seks jest porażką... – zamilkła, a jej policzki delikatnie się zaróżowiły.

– Ale potem przekonałaś się... – zaryzykowałam.

– Chyba też powinnam napić się wina – powiedziała i dała znak kelnerce. Skorzystałam z okazji i zamówiłam drugi kieliszek. Gwen zwróciła się do mnie:

– Kiedy skończyłam trzydzieści lat, miałam romans.

– Czyli jednak miałaś coś w głowie.

– Hm... I tak, i nie. Trwał tylko jakieś sześć tygodni, ale było to najlepszych sześć tygodni w moim życiu. Kiedy się skończył, w pewien sposób czułam się nawet zadowolona. To wszystko było takie intensywne, że gdyby trwało, wywróciłoby moje życie do góry nogami. Nie byłam na to gotowa.

Przerwała. Widziałam, że musi przetrwać to, co właśnie powiedziała.

– Laurence bez przerwy mnie krytykował, a ja wierzyłam, że na to zasługuję. Nagle poznałam mężczyznę, dla którego byłam chodzącym ideałem. Z początku się opierałam. Wiedziałam, co do niego czuję, ale

zdradzanie męża było niezgodne z moimi zasadami. Wreszcie się poddałam. Nawet przez chwilę wmawiałam sobie, że to dobrze wpłynie na mój związek z Laurence'em. Nieoczekiwanie los zafundował mi coś, czego od dawna mi brakowało, i dzięki temu stałam się wobec męża bardziej wyrozumiała. Jednak okazało się, że wcale nie jest tak łatwo prowadzić podwójne życie. Oszukiwałam Laurence'a tak długo, jak mogłam, ale w końcu zaczął coś podejrzewać. Doszło do tego, że nie mogłam znieść jego dotyku – zbyt dużo napięcia, zbyt dużo kłamstwa. Zbyt dużo dobrych rzeczy gdzie indziej. Musiał wyczuć tę zmianę, bo zaczął dopytywać i drażnić. Chciał wiedzieć, gdzie spędzam każdy dzień, minuta po minucie. Po południu dzwonił o różnych godzinach, ale mnie oczywiście nie zastawał w domu. Nawet kiedy spędzałam czas z Laurence'em, tak naprawdę byłam nieobecna. Zagroził, że się ze mną rozwiedzie, a ja się przestraszyłam i do wszystkiego przyznałam. To był największy błąd mojego życia, bo i tak się ze mną rozwiódł.

– Za karę.

– Tylko Laurence Fife wiedział dlaczego. Nikt inny.

– Co się z nim teraz dzieje?

– Z moim kochankiem? Dlaczego pytasz?

Nagle jej głos stał się ostrożny, a spojrzenie – czujne.

– Laurence musiał wiedzieć, kto to był. Jeżeli ukarał ciebie, czemu nie miałby ukarać również jego?

– Nie chcę go w to mieszać – powiedziała. – To by było podłe z mojej strony. Nie miał nic wspólnego ze śmiercią Laurence'a. Masz na to moje słowo.

– Skąd ta pewność? Osiem lat temu wielu ludzi myliło się co do wielu rzeczy, a zapłaciła za to Nikki.

– Hej! – powiedziała ostro. – Nikki wynajęła najlepszego adwokata w Kalifornii. Może po prostu miała pecha, a może naprawdę była winna. Jednak zwalanie winy na kogoś, kto nie miał z tym nic wspólnego, nie ma sensu.

– Nie próbuję na nikogo zwalić winy. Chcę tylko znaleźć w tym wszystkim jakiś punkt zaczepienia. Nie mogę cię zmusić, żebyś mi powiedziała, kto to był...

– No właśnie. I myślę, że cholernie trudno ci będzie dowiedzieć się tego od kogoś innego.

– Posłuchaj, Gwen. Nie chcę się z tobą kłócić. Przepraszam. Na razie zostawmy ten temat.

Na jej karku pojawiły się dwie czerwone plamy. Próbowwała opanować gniew i odzyskać kontrolę nad sobą. Przez chwilę myślałam, że po prostu wstanie i ucieknie.

– Nie będę naciskać – zapewniłam. – Ty i ten facet to całkiem odrębna sprawa. Jestem tu, żeby z tobą porozmawiać. Nie chcesz o czymś mówić, nie ma sprawy.

Ciągle robiła wrażenie gotowej do ucieczki, więc zamknęłam się, by mogła spokojnie dojść do siebie. Wreszcie zobaczyłam, że trochę się rozluźniła. Wtedy zorientowałam się, iż też jestem spięta. Była dla mnie zbyt cennym kontaktem, żebym mogła ją stracić.

– Wróćmy do Laurence’a. Opowiedz mi o nim – poprosiłam. – Dlaczego zdradzał?

Zaśmiała się, wyraźnie zawstydzona swoim wybuchem, po czym upiła łyk wina.

– Przepraszam, że straciłam nad sobą panowanie. Zaskoczyłaś mnie.

– Taaa... Tak bywa od czasu do czasu. Czasami sama siebie zaskakuję.

– Wydaje mi się, że Laurence w gruncie rzeczy nie lubił kobiet. Zawsze podejrzewał, że go oszukują. Czekają, by go puścić kantem. Dlatego wolał zrobić to pierwszy, a przynajmniej tak mi się wydaje. Podejrzewam, że każdy romans był dla niego próbą sił. I to on musiał być zwycięzcą.

– Wykop dołek pod bliźnim, zanim on wykopie dołek pod tobą.

– Właśnie tak.

– Jednak kogo mógł aż tak rozwścieczyć? Kto go mógł do tego stopnia nienawidzić?

Wzruszyła ramionami. Widziałam, że już się zupełnie uspokoiła.

– Myślałam o tym całe popołudnie. To dziwne, ale kiedy dochodzę do punktu „Kto go zabił”, nie jestem pewna. Nastąpił na odcisk wielu osobom. Adwokaci zajmujący się rozwodami zawsze mają wrogów,

ale jednak większość z nich nie ginie w ten sposób.

– Morderstwo mogło nie mieć nic wspólnego z jego pracą – zauważyłam. – To wcale nie musiał być wściekły mąż, wkurzony o alimenty przyznane żonie i dzieciom. Motyw mógł być zupełnie inny. Może zabiła go porzucona kobieta?

– Och, wiele ich było. Tyle że odniosłam wrażenie, iż Laurence potrafił bardzo zręcznie to rozgrywać. Zresztą może to kobiety, gdy mijało pierwsze zauroczenie, dostrzegały bezsens tego związku i nie były już zainteresowane? Miał okropny romans z żoną lokalnego sędziego. Nazywała się Charlotte Mercer i gdyby tylko miała okazję, bez pardonu rozniosłaby go na strzępy. Przynajmniej tak słyszałam. Nie była kobietą, którą można bezkarnie porzucić.

– Skąd o tym wiesz?

– Zadzwoiła do mnie, kiedy z nią zerwał.

– To było przed waszym rozwodem czy po?

– Och, niestety po. Pamiętam to dobrze, bo żałowałam, że nie zadzwoniła wcześniej. Poszłam na rozprawę z niczym.

– Nie rozumiem – zdziwiłam się. – Przecież w niczym by ci to nie pomogło. I tak nie oskarżyłabyś go o zdradę, bo sąd i tak nie wzięłby tego pod uwagę.

– Och, on też formalnie nie mógł oskarżyć mnie o zdradę. Jednak gdybym wiedziała, że też mnie zdradził, byłaby to dla mnie motywacja do walki. Tymczasem czułam się tak bardzo winna, że nawet się nie broniłam. Zdobyłam się tylko na to, by zawalczyć o dzieci, a i wtedy mnie pokonał. Jeśli Charlotte Mercer zechciałaby zostać moim sprzymierzeńcem, razem mogłybyśmy narobić mu kłopotów. Laurence cieszył się dobrą reputacją, nie chciałby jej stracić. Zresztą może Charlotte Mercer więcej ci opowie.

– Cudownie. Zwłaszcza jak jej powiem, że jest moim numerem jeden na liście podejrzanych.

Gwen się roześmiała.

– Możesz się na mnie powołać, jeśli będzie chciała wiedzieć, kto cię przysłał. Przynajmniej tyle mogę zrobić.

Kiedy Gwen odjechała, poszukałam adresu Charlotte w książce tele-



fonicznej koło automatu za restauracją. Okazało się, że razem z sędzią mieszka na wzgórzach górujących nad Santa Teresa w – jak się okazało – rozłożystym parterowym budynku ze stajniami po prawej, otoczonym suchą jak pył ziemią i niskimi krzakami. Słońce właśnie zaczęło chylić się ku zachodowi. Widok zapierał dech w piersiach – ocean wyglądał jak szeroka lawendowa wstęga okalająca różowobłękitne niebo.

Zadzwoiłam do drzwi, otworzyła mi gospoia w czarnym mundurku. Zostawiła w przestronnym, chłodnym holu, gdy tymczasem sama poszła po panią. Po chwili usłyszałam lekkie kroki, ktoś nadchodził z dalszej części domu. W pierwszej chwili myślałam, że mam przed sobą nie Charlotte, a jej nastoletnią córkę (o ile taka istniała).

– Słucham, o co chodzi?

Głos był niski, chrapliwy i niemiły. Początkowe wrażenie, że mam do czynienia z młodą osobą, szybko się ulotniło.

– Charlotte Mercer?

– Tak, to ja.

Była drobniutka, mogła mieć jakieś sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów wagi. Sandały, koszulka na ramiączkach, białe szorty, opalone i kształtne nogi. Twarz bez jednej zmarszczki. Włosy koloru popielaty blond, krótko ścięte, delikatny makijaż. Musiała mieć jakieś pięćdziesiąt pięć lat i było kompletnie niemożliwe, by wyglądała tak dobrze bez pomocy sztabu profesjonalistów. W stanowczej linii jej podbródka było coś sztucznego, a policzki miały ten gładki, napięty wygląd, który w jej wieku mógł być tylko efektem liftingu. Szyję jednak miała pomarszczoną, a dłonie żylaste, i tylko te dwie cechy nie pasowały do wizerunku szczupłej, atrakcyjnej dziewczyny. Bładobłękitnym oczom dodawała barwy umiejętnie zaaplikowana maskara oraz cień do powiek w dwóch odcieniach szarości. Na jednym nadgarstku pobrzękiwały złote bransoletki.

– Nazywam się Kinsey Millhone – przedstawiłam się. – Jestem prywatnym detektywem.

– Gratuluje. Co panią do mnie sprowadza?

– Zajmuję się sprawą śmierci Laurence'a Fife'a.

Jej uśmiech zbladł. Przedtem wyrażał przynajmniej odrobinę uprzejmości, teraz przerodził się w okrutny grymas.

– Mam nadzieję, że to nie zajmie długo – powiedziała i obejrzała się za siebie. – Chodźmy na taras, zostawiłam tam drinka.

Ruszyłam za nią w głąb domu. Pokoje, które po drodze mijałyśmy, były przestronne, eleganckie i nigdy nieużywane. Nieskazitelne szyby w oknach, puszyste bładoniebieskie dywany pokryte równymi śladami po odkurzaniu, świeżo ścięte, profesjonalnie ułożone kwiaty na lśniących blatach. Na wszystkich tapetach i zasłonach powtarzał się ten sam niebieski kwiecisty nadruk, wszystko pachniało cytrynowym pronto. Zastanawiałam się, czy go użyła, żeby ukryć dyskretny zapach burbona z lodem, który się unosił jej śladem. Gdy mijałyśmy kuchnię, poczułam zapach pieczonej jagnięciny szpikowanej czosnkiem.

Taras był ocieniony przez kratkę ogrodową. Meble z białej wikliny wyściełały obleczone w jasnozielone płótno poduchy. Charlotte wzięła drinka ze stolika zrobionego ze szkła i kutego żelaza, po czym opadła na wyściełane krzesło. Machinalnie sięgnęła po papierosa i smukłą złotą zapalniczkę Dunhill. Wydawała się rozbawiona, jakbym zjawiła się tutaj wyłącznie po to, by jej dostarczyć rozrywki, podczas gdy ona będzie sobie powoli saczyć drinka.

– Kto cię tutaj przysłał? – Bez żadnego wstępu przeszła na ty. – Nikki czy mała Gwen? – Jej spojrzenie powędrowało gdzieś w bok. Wyglądało na to, że nie oczekuje odpowiedzi. Zapaliła papierosa, przysuwając sobie do połowy zapełnioną popielniczkę. Machnęła w moją stronę ręką:

– Siadaj.

Zdecydowałam się na stojące obok wyściełane krzesło. Za krzewami okalającymi taras widać było basen o jajowatym kształcie. Charlotte zauważyła moje spojrzenie.

– Może masz ochotę zrobić sobie przerwę i wskoczyć do basenu, co?

Postanowiłam nie brać tego do siebie. Miałam wrażenie, że robienie sarkastycznych uwag przychodzi jej całkowicie naturalnie, że to w jej przypadku automatyczna reakcja jak chroniczny kaszel palacza.

– No więc, kto cię tu przysłał? – powtórzyła pytanie. Była to druga

wskazówka, że wypięła już zbyt dużo, nawet biorąc pod uwagę późną porę.

– Ludzie plotkują.

– A pewnie, że tak! – prychnęła, wyrzucając z siebie obłoczek dymu. – Powiem ci jedno, serduszek. Byłam dla niego kimś więcej niż kolejną dupą. Nie byłam pierwsza ani nie ostatnia, ale, do kurwy nędzy, byłam najlepsza!

– I dlatego z tobą zerwał?

– Nie bądź taką suką – syknęła, rzucając mi krótkie, ostre spojrzenie, ale jednocześnie zaśmiała się głębokim, gardłowym śmiechem. Miałam wrażenie, że właśnie u niej zapunktowałam. Grała ostro i szybko, ale nie przeszkadzało jej, że od czasu do czasu oberwała, jeśli tylko gra była uczciwa.

– A pewnie, że to on ze mną zerwał. Dlaczego teraz, po tylu latach, miałabym z tego robić tajemnicę? Zabawiliśmy się trochę, zanim się rozwiódł z Gwen, a potem przypomniał sobie o mnie kilka miesięcy przed śmiercią. Był jak stary kocur, zawsze węszył wokół tej samej werandy.

– Co się wydarzyło za drugim razem?

Posłała mi znudzone spojrzenie, jakby nie miało to najmniejszego znaczenia.

– Znalazł sobie inną. Ścisłe tajna sprawa. Gorąca laska. Pieprzyć go, wyrzucił mnie jak wczorajsze majtki.

– Dziwne, że nie byłaś podejrzana – zauważyłam.

Jej brwi poszybowały do góry.

– Ja? – parsknęła śmiechem. – Żona prominentnego sędziego? Nawet nie zeznawałam, a cholernie dobrze wiedzieli, że miałam z nim romans. Gliny chodziły wokół mnie na paluszkach, jakbym była nieznośnym bachorem, który właśnie uciął sobie drzemkę. Myślisz, że ich o to prosiłam? Powiedziałabym im wszystko. Do diabła, miałam to wszystko w dupie. Poza tym mieli już swoją podejrzaną.

– Nikki?

– A pewnie, że Nikki – przytaknęła z pewnością w głosie. Była teraz odprężona, dłoń trzymająca papierosa leniwie się kołysała w rytm jej słów. – Jeśli chcesz znać moje zdanie, to za bardzo zadzierała nosa,

by kogokolwiek zabić. Nie to, żeby kogoś interesowało, co o tym sądzę. Ja jestem tylko Pani Pyskata i Zalana. Co ona wie? Kto by tam chciał jej wysłuchać? Mam coś do powiedzenia o każdym z tego miasta, ale kogo to obchodzi? A wiesz, jak zdobywam informacje? Powiem ci. Powinno cię to zainteresować, bo twoja praca polega na zdobywaniu informacji o ludziach, prawda?

– Mniej więcej – wymamrotałam, starając się jej nie przerywać, skoro tak się rozgadała. Charlotte Mercer była typem osoby, która rozpędziwszy się, traciła wszelkie zahamowania – pod warunkiem że się jej nie przerywało. Głęboko zaciągnęła się papierosem, wypuszczając dym nosem w dwóch strużkach. Zniosła się kaszlem, potrząsając głową.

– Wybacz, jeśli w międzyczasie wypluję sobie płuca – zaczęła, po czym przerwała, żeby znowu zanieść się kaszlem. – Zdradzasz sekrety – podjęła w miejscu, w którym przedtem przerwała. – Sprzedajesz im najbrudniejsze świństwa, jakie znasz, i dziewięć na dziesięć razy uda ci się w ten sposób złowić coś jeszcze gorszego. Możesz sama spróbować. Mówię cokolwiek. Opowiadam historie o samej sobie tylko po to, żeby się przekonać, co dostanę w zamian. Jeśli szukasz plotek, skarbie, to trafiłaś w odpowiednie miejsce.

– Co w trawie piszczy na temat Gwen? – zaryzykowałam, delikatnie badając grunt.

Charlotte się roześmiała.

– Z tobą nie robię interesów – powiedziała. – Nie masz nic na wymianę.

– Hm... To prawda. Nie utrzymałabym się długo w tej branży, gdybym nie umiała trzymać języka za zębami.

Znowu się roześmiała. Najwyraźniej takie postawienie sprawy spodobało jej się. Znałam ten typ. Czowała się ważna, trzymając w zandrze spory zbiór plotek i miejscowych brudów. Miałam nadzieję, że będzie się chciała odrobinę przede mną popisać. Może słyszała o romansie Gwen? Nie mogłam spytać wprost, bez odkrywania swoich kart, więc postanowiłam wziąć ją na przeczekanie. Może w międzyczasie dowiem się czegoś interesującego.

– Gwen to największa idiotka, jaką ziemia nosiła – powiedziała bez

większego zainteresowania. – Mnie osobiście ten typ całkowicie nie odpowiada i nie wiem, jak zdołała tak długo się przy nim utrzymać. Laurence Fife był zimnym draniem. Właśnie dlatego tak za nim szalałam, jeśli jeszcze się tego nie domyśliłaś. Nie znoszę mężczyzn, którzy się *przymilają*, wiesz, co mam na myśli? Nie znoszę mężczyzn, którzy się przede mną płaszczą. On był z tych, którzy biorą cię na podłódze, a potem nawet na ciebie nie spojrzą, gdy zapinają rozporek.

– Brzmi to dość obcesowo – zauważyłam.

– Bo taki jest seks! I właśnie dlatego wszyscy myślimy tylko o tym, i właśnie dlatego tak dobrze do niego pasowałam! Był obcesowy i podły, to cała prawda o nim. Nikki była dla niego zbyt delikatna, typowa lalunia z dobrego domu. Tak samo Gwen.

– Może pociągały go skrajności – podsunęłam.

– Pewnie tak. Najprawdopodobniej. Może żenił się z tymi laluniąmi, a uganiał za kobietami z krwi i kości.

– A Libby Glass? Coś ci to mówi?

– Nie. Po raz pierwszy słyszę. Interesuje cię ktoś jeszcze?

Boże, przy tej kobiecie żałowałam, że nie mam ze sobą listy! Musiałam myśleć szybko, korzystać z jej dobrego humoru. Czułam, że nie potrwa to długo i skończy się równie szybko, jak się zaczęło.

– Sharon Napier. – Całkiem jakbyśmy grały w zgadywanke.

– O, tak. Osobiście ją sprawdziłam. Kiedy tylko zobaczyłam tę małą zmijkę, od razu wiedziałam, że coś jest na rzeczy.

– Myślisz, że miał z nią romans?

– O, nie. Nie z nią. Jeszcze lepiej – z jej *matką*. Wynajęłam detektywa, żeby to sprawdził. Laurence zrujnował jej życie, a Sharon o wszystkim wiedziała. Dlatego po latach hop, wyskoczyła jak królik z kapelusza i przyssała się do niego. Jej rodzice rozstali się przez niego i mamusia przeszła załamanie nerwowe, a może zaczęła pić, a może jeszcze coś innego. Nie znam szczegółów, wiem tylko, że wszystkim dokładnie spierdolił życie, i Sharon korzystała z tego przez lata.

– Szantażowała go?

– Nie, nie brała od niego pieniędzy. Wymagała, żeby zapewnił jej sposób na życie. Przecież ona nawet nie umiała pisać na maszynie!

Z trudem literowała własne nazwisko. Pragnęła zemsty, więc codziennie zjawiała się w kancelarii, robiła tam, na co akurat miała ochotę, i grała mu na nosie. A on potulnie jadł jej z ręki.

– Czy mogła go zabić?

– Pewnie, czemu nie? Może ta zabawa jej się znudziła, a może branie od niego cotygodniowej pensji przestało jej wystarczać.

Zamilkła. Zaciągnęła się parę razy papierosem, ale wiele jej to nie dało, bo pozostał już z niego tylko niedopałek. Uśmiechnęła się do mnie chytrze:

– Nie chcę być niegrzeczna – powiedziała, zerkając znacząco w stronę drzwi – ale wykład dobiegł końca. Mój szanowny małżonek, znakomity sędzia, będzie tu lada moment, a ja nie mam zamiaru spędzić całego wieczoru na wyjaśnianiu mu, co robiłaś w moim domu.

– Rozumiem – odrzekłam. – Nie musisz mnie odprowadzać. Bardzo mi pomogłaś.

– A pewnie, że tak!

Podniosła się i odstawiła drinka na stolik. Szklanka z głośnym trzaskiem uderzyła o szklany blat, który niebezpiecznie zadrżał, ale na szczęście nic złego się nie stało. Charlotte Mercer odetchnęła z widoczną ulgą.

Szybkim spojrzeniem otaksowała moją twarz:

– Za kilka lat będziesz musiała zrobić sobie oczy. Na razie wyglądasz całkiem nieźle – oświadczyła.

Roześmiałam się.

– Podobają mi się zmarszczki – wyjaśniłam. – Zapracowałam na swoje. Ale dzięki za radę.

Zostawiłam ją na tarasie i okrążyłam dom, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie zaparkowałam samochód. Nie czułam się komfortowo, prowadząc tę rozmowę, i ulżyło mi, że mam ją już za sobą. Charlotte Mercer była sprytna i nie zdziwiłabym się, gdyby udawała bardziej pijaną, niż była. Może mówiła prawdę, a może nie. Rewelacje na temat Sharon Napier chyba zbyt dobrze pasowały, takie rozwiązanie zagadki było zbyt gładkie, zbyt oczywiste. Z drugiej strony, gliniarze czasem mają rację. Zabójstwa zwykle nie są subtelne, a w większości

przypadków sprawcy nie trzeba daleko szukać.

## 9

Ustalenie adresu Sharon Napier zajęło mi półtora dnia. Nie będę wdawać się w szczegóły, ale udało mi się zajrzeć do komputera wydziału komunikacji, skąd dowiedziałam się, że jej prawo jazdy wygasło jakieś sześć lat temu. Następnie zrobiłam sobie krótką wycieczkę do centrum, gdzie w wydziale rejestracji pojazdów dowiedziałam się, że na jej nazwisko zarejestrowano ciemnozielonego karmanna ghia. Podany był ten sam miejscowy adres, który znałam jako ostatnie miejsce jej pobytu, ale z boku była adnotacja, że dowód rejestracji przeniesiono do Nevady. Prawdopodobnie oznaczało to, iż Sharon wyjechała z Kalifornii.

Zadzwoiłam do Boba Dietza, śledczego z Nevady, którego nazwisko znalazłam w ogólnokrajowej książce telefonicznej. Wyjaśniłam, jakich informacji potrzebuję, a on obiecał, że oddzwoni, co też zrobił tego samego popołudnia. Sharon Napier starała się o prawo jazdy w Nevadzie i otrzymała je, figurował na nim adres w Reno. Jednak ludzie Boba Dietza w Reno donieśli mu, iż w marcu ubiegłego roku musiała brać nogi za pas ze względu na kolejkę wierzycieli, czyli czternaście miesięcy temu po prostu przepadła bez wieści. Podejrzewał, że prawdopodobnie nie opuściła stanu, więc jeszcze trochę w tej sprawie powęszył. Okazało się, iż starała się o pożyczkę w małym towarzystwie kredytowym w Carson City, a potem w Las Vegas. Obstawiałam, że znajdę ją w tym ostatnim. Podziękowałam Bobowi Dietzowi za pomoc i zaproponowałam zapłatę za poświęcony czas. Jednak powiedział, że woli mieć u mnie dług wdzięczności i w swoim czasie zgłosi się po przysługę. Upewniłam się więc, czy ma mój adres i telefon. Następnie zadzwoniłam do biura numerów w Las Vegas, ale Sharon nie było w wykazie, więc zatelefonowałam do przyjaciela mieszkającego w tym mieście, który obiecał się za nią rozejrzeć. Powiedziałam, że na początku przyszłego tygodnia wybieram się do Los Angeles i dałam mu swój numer, by mógł się ze mną skontaktować, gdy-



by odszukanie jej zajęło mu dłuższą chwilę.

Następnego dnia była niedziela, więc postanowiłam zrobić sobie wolne od pracy i zająć się swoimi sprawami: zrobiłam pranie, wysprzątałam dom, pojechałam na zakupy. Nawet ogoliłam nogi, tylko po to, by sobie przypomnieć, że ciągle jestem damą. W poniedziałek rano zajęłam się pracą biurową. Napisałam na maszynie raport dla Nikki i zadzwoniłam do miejscowego Biura Informacji Kredytowej, żeby potwierdzić informacje na temat Sharon Napier. Wszystko się zgadzało, opuściła miasto, zostawiając za sobą masę długów i mnóstwo wściekłych ludzi. Mieli tylko jej adres w Santa Teresa, więc podzieliłam się z nimi tymi danymi, które zdobyłam. Następnie odbyłam długą rozmowę z California Fidelity na temat Marcii Threadgill. Towarzystwo ubezpieczeniowe było niemal gotowe wypłacić jej te cztery tysiące osiemset i zapomnieć o całej sprawie. Musiałam użyć całego swojego sprytu, aby ich przekonać. W końcu moja pomoc przy tej sprawie nie kosztowała ich ani grosza, wkurzało mnie, że chcą przymknąć oko na jawną nieuczciwość Marcii. Zależało mi tak bardzo, iż powołałam się na zasady, co zawsze jest ryzykownym posunięciem w przypadku pertraktacji z kierownikiem do spraw roszczeń.

– Robi wam koło dupy – powtarzałam w kółko, ale on tylko potrząsał głową, jak gdyby były to sprawy, których taka idiotka jak ja po prostu nie jest w stanie pojąć. Poprosiłam, aby pogadał z szefem, i zapowiedziałam, że wrócę zapytać, jak poszło.

O drugiej po południu byłam już w drodze do Los Angeles. Kolejny element układanki stanowiła Libby Glass, chciałam się dowiedzieć, jaka była jej rola w tym wszystkim. Dotarłam do L.A. i zameldowałam się w motelu Hacjenda w dzielnicy Wilshire, niedaleko ulicy Bundy. Hacjenda ani trochę nie przypominała prawdziwej hacjendy – to jednopiętrowy budynek w kształcie litery L z zatłoczonym parkingiem i basenem, otoczonym zamkniętym na kłódkę ogrodzeniem z metalowej siatki. Kierowniczką i zarazem recepcjonistką jest tu tłuścioszka o imieniu Arlette. Stojąc przy recepcji, można zajrzeć wprost do jej mieszkania. Jest urzędzone – pochwaliła mi się – za pieniądze, które zarobiła, sprzedając naczynia Tupperware, taka mała fucha na boku. Arlette gustuje w meblach w stylu śródziemnomorskim, tyle że obi-

tych czerwonym pluszem.

– Grube jest piękne, Kinsey – zwierzyła mi się familiarnie, gdy wypełniałam kartę meldunkową. – Tylko popatrz.

Popatrzyłam. Wyciągnęła rękę, żebym mogłam podziwiać solidny zwis nadprogramowego ciała.

– Nie byłabym taka pewna, Arlette – rzekłam z powątpiewaniem. – Sama próbuję raczej nie przytyć.

– Tylko zastanów się, ile czasu i energii ci to zabiera – nie poddawała się. – Problem leży w naszym społeczeństwie, które nie akceptuje grubasów. Otyli są mocno dyskryminowani. Bardziej niż niepełnosprawni. Oo, ci to w porównaniu z nami mają lekkie życie! Gdziekolwiek się ruszysz, widzisz specjalne znaki. Parking dla niepełnosprawnych. Kibelek dla niepełnosprawnych. Wszędzie te małe ludziki na wózkach inwalidzkich. A gdzie międzynarodowy znak oznaczający otyłych? Nam się też coś od życia należy!

Miała okrągłą jak księżyc twarz, okoloną dziewczęcymi złotymi loczkami. Z policzków nie schodził rumieniec, jakby tkanka tłuszczowa niebezpiecznie uciskała tętnice.

– To takie niezdrowe, Arlette – zauważyłam. – Nie martwisz się o wysokie ciśnienie, zawał serca...?

– W dzisiejszych czasach wszystko jest na swój sposób niebezpieczne. Tym bardziej powinniśmy być odpowiednio traktowani.

Podaliśmy jej kartę kredytową, a ona zrobiła odbitkę i wręczyła mi klucz do pokoju numer dwa.

– To tutaj blisko – powiedziała. – Wiem, jak nie lubisz pokojów z tyłu.

– Dzięki.

Była to moja mniej więcej dwudziesta wizyta w pokoju numer dwa. Zawsze robi na mnie tak samo ponure wrażenie, ale czuję się w nim dobrze. Dwuosobowe łóżko. Podłoga zasłana zniszczoną, popielatą wykładziną. Kulawe krzesło obite pomarańczowym plastikiem. Na biurku lampa w kształcie kasku do futbolu i napisem „UCLA”. Łazienka jest mała, a mata pod prysznic – papierowa. Ten rodzaj miejsca, w którym nie zdziwisz się, gdy pod łóżkiem znajdziesz czyjeś majtki.

Kosztuje mnie jedenaście dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów plus podatek od pomieszczenia poza sezonem. Cena zawiera tak zwane śniadanie kontynentalne, czyli kawę rozpuszczalną i pączki z galaretką, z których większość zjada sama Arlette. Kiedyś o północy przed moimi drzwiami usiadł jakiś pijak i hałasował dobre półtorej godziny, dopóki gliny nie przyjechały, żeby go zgarnąć. Nocuję tu, ponieważ nie lubię przepłacać.

Położyłam walizkę na łóżku i wyjęłam z niej ciuchy do biegania. Szybkim krokiem przeszłam z Wilshire do San Vicente, a następnie skierowałam się na zachód i przebiegłam truchtem aż do Dwudziestej Szóstej Ulicy, gdzie klepnęłam znak stopu. Potem zawróciłam i pobiegłam do Westgate, a stamtąd z powrotem do Wilshire. Tak naprawdę najtrudniejsze są dwa pierwsze kilometry. Po powrocie byłam porządnie zasapana. Biorąc pod uwagę ilość spalin, których się nałykałam na bulwarze ciągnącym się wzdłuż jeziora San Vicente, można by mnie nazwać chodzącym odpadem toksycznym. W pokoju numer dwa wzięłam prysznic, ubrałam się i przejrzałam notatki. Następnie zadzwoniłam w parę miejsc. Najpierw do ostatniego znanego miejsca pracy Lyle'a Abernathy'ego, czyli piekarni Wonder Bread w Santa Monica. Co było do przewidzenia, już tam nie pracował, a w kadrach nie mieli pojęcia, gdzie go szukać. Rzut oka do lokalnej książki telefonicznej i już wiedziałam, że nie ma go na liście. Na szczęście Raymond Glass nadal mieszkał w dzielnicy Sherman Oaks; potwierdziłam adres znaleziony w aktach policyjnych w Santa Teresa. Kolejny telefon wykonałam do mojego przyjaciela w Vegas. Był już na tropie Sharon Napier, ale powiedział, że dokładne zlokalizowanie jej zajmie mu jeszcze jakieś pół dnia. Uprzedziłam Arlette, że może być do mnie telefon z Vegas, podkreślając, żeby *dokładnie* zapisywała wiadomości do mnie. Wyglądała na nieco urażoną przypuszczeniem, że mogłaby nie poradzić sobie z przekazaniem wiadomości. Jednak prawda jest taka, że poprzednim razem zrobiła to niedbale i w rezultacie straciłam mnóstwo czasu, zanim zorientowałam się, o co naprawdę chodzi.

Zadzwoniłam do Nikki do Santa Teresa, żeby jej powiedzieć, gdzie i w jakim celu jestem. Następnie sprawdziłam serwis telefoniczny.

Dzwonił Charlie Scorsoni, ale nie zostawił numeru zwrotnego. Pomyślałam, że jeżeli to coś ważnego, zadzwoni jeszcze raz. Podałam numer, pod którym aktualnie jestem osiągalna. Po załatwieniu tych kilku spraw poszłam do pobliskiej restauracji, która z każdym moim pobytem tutaj zmienia narodowość kuchni. Poprzednio serwowano tam jedzenie meksykańskie, czyli bardzo gorące naczynia pełne jasnobrązowej mazi. Tym razem menu było greckie, czyli na talerzu wylądowały kawałki do złudzenia przypominające psie odchody zawinięte w liście. Na miejskich trawnikach widywałam podobne, które wyglądały mniej więcej tak samo apetycznie. Zakończyłam kolację szklanką wina o smaku płynu do zapalniczek, psychota. Była siódma piętnaście, a ja nie miałam nic do roboty. Telewizor w moim pokoju okazał się zepsuty. Poszłam do biura pooglądać telewizję z Arlette, która w międzyczasie zjadła paczkę karmelowych aydsów, słodczy wspomagających odchudzanie.

Rano pojechałam do dzielnicy San Fernando Valley. Ze szczytu wzgórza, gdzie autostrada San Diego zaczyna opadać w stronę Sherman Oaks, zobaczyłam warstwę smogu. Rozpościerała się jak miraż, migocząca mgiełka bladożółtego dymu, przez którą zdołało się przebić kilka wysokich budynków, jakby w poszukiwaniu świeżego powietrza. Rodzice Libby zajmowali jedno z czterech mieszkań w budynku przycupniętym w łuku pomiędzy autostradami San Diego i Ventura – niezgrabnym, otynkowanym klocku z wybałuszonymi oknami wykuszowymi od frontu. Budynek przecięty był na pół otwartym korytarzem, drzwi do mieszkań na parterze znajdowały się na zewnątrz. Po prawej była klatka schodowa wiodąca do mieszkań na piętrze. Budynek nie reprezentował żadnego konkretnego stylu, prawdopodobnie zbudowany został w latach trzydziestych minionego wieku, zanim ktokolwiek wpadł na pomysł, że kalifornijska architektura powinna naśladować południowe rezydencje i włoskie pałacyki. Na zewnątrz rozciągał się blady trawnik, z rozpoznawalnymi gatunkami trawy: palusznikiem oraz trawą kuśa. Krótki podjazd po lewej prowadził do garaży, obok których stały cztery plastikowe kontenery na śmieci przymocowane do drewnianego ogrodzenia. Krzewy jałowca przed

budynkiem wyrosły tak wysoko, że zasłaniały okna mieszkań na parterze. Najwyraźniej były właśnie w trakcie dziwnego procesu utraty szpilkowatych liści, ponieważ niektóre zmieniły kolor na brązowy, a pozostałe całkowicie opadły. Wyglądały jak przecenione choinki, odwrócone gorszą stroną do przodu. Czas świętowania i radości ta okolica miała już dawno za sobą.

Mieszkanie numer jeden znajdowało się po lewej. Zadzwoiłam do drzwi; dzwonek brzmiał jak przeciągłe „wrrrrrrr” budzika o poranku. Kobieta, która otworzyła drzwi, miała usta pełne szpilek. Podskakiwały w górę i w dół, kiedy mówiła. Bałam się, że którąś połknie.

– Tak?

– Pani Glass?

– Owszem.

– Nazywam się Kinsey Millhone. Jestem prywatnym detektywem. Pracuję w Santa Teresa. Czy możemy porozmawiać?

Wyjęła szpilki z ust, jedną po drugiej, i zgrabnie wbiła je w poduszeczkę do szpilek, którą nosiła owiniętą wokół nadgarstka jak najeżoną bransoletkę. Podałam jej identyfikator, a ona uważnie mu się przyjrzała, obracając go na wszystkie strony, jakby z tyłu, małym druczkiem mogła być wydrukowana jakaś ważna informacja. Ja w tym czasie dokładnie jej się przyjrzałam. Miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Krótkie, jedwabiste brązowe włosy były niedbale uczesane, z niesfornymi kosmykami zatkniętymi za uszy. Brązowe oczy, zero makijażu, gołe nogi. Miała na sobie portfelową dżinsową spódnicę, spraną bluzkę z lekkiej bawełny w rzucik i pantofle z materiału, takie, jakie widywałam w celofanowych opakowaniach w supermarketach.

– Chodzi o Elizabeth – powiedziała, zwracając mi identyfikator.

– Tak.

Zawahała się, ale w końcu zrobiła krok do tyłu, robiąc mi przejście. W salonie usiadłam na jedynym krześle, które nie było zawalone zwojami materiału i wykrojami. Obok okna wykuszowego stała deska do prasowania. Żelazko było włączone i pikało, kiedy temperatura rosła. Na drugim końcu pod ścianą pokoju zobaczyłam maszynę do szycia, a koło niej wieszak, na którym wisiały gotowe ubrania. W powietrzu

unosił się zapach krochmalu i rozgrzanego metalu.

W ozdobionym łukiem przejściu prowadzącym do jadalni siedział na wózku inwalidzkim potężnie zbudowany mężczyzna po sześćdziesiątce z twarzą pozbawioną wszelkiego wyrazu, rozpiętymi spodniami i wielkim, sterczącym brzuchem. Kobieta przeszła przez pokój i odwróciła jego wózek w ten sposób, że mężczyzna ustawiony był teraz twarzą do telewizora. Założyła mu na uszy słuchawki, które następnie podłączyła do odbiornika. Włączyła obraz; czy mu się to podobało, czy nie, mężczyzna oglądał teraz teleturniej. Chłopak i dziewczyna na ekranie byli przebrani za parę kurczaków. Nie miałam pojęcia, czy dobrze im idzie.

– Jestem Grace – przedstawiła się kobieta. – A to ojciec Elizabeth. Miał wypadek samochodowy, wiosną minęły trzy lata. Nie mówi, ale dobrze słyszy. Każda wzmianka o Elizabeth wyprowadza go z równowagi. Proszę poczęstować się kawą.

Na stoliku stała ceramiczna kafeteria podłączona do przedłużacza, którego sznur znikał pod kanapą. Wyglądało na to, że wszystkie urządzenia w tym pokoju podłączone są do tego samego źródła zasilania. Grace uklękła. Na drewnianej podłodze rozpościerały się przed nią jakieś cztery metry ciemnozielonego jedwabiu, do którego przypinała właśnie ręcznie zrobiony wykrój. Podała mi czasopismo otwarte na stronie ze zdjęciem sukni z głębokim rozcięciem z jednej strony i z wąskimi rękawami, zaprojektował ją sławny projektant. Nalałam sobie filiżankę kawy i patrzyłam, jak pracuje.

– Szyję tę suknię dla kobiety, która jest żoną telewizyjnej gwiazdy – powiedziała miękkim głosem. – Długo był tylko asystentem, potem z dnia na dzień został gwiazdą. Żona mówi, że jest rozpoznawany nawet w myjni samochodowej. Ludzie proszą go o autograf. Poprawia sobie twarz. On, nie ona. Podobno przez piętnaście lat ledwo wiązali koniec z końcem, a teraz chadzają na wszystkie przyjęcia w Bel Air. Szyję dla niej kreacje. On kupuje ubrania na Rodeo Drive. Ona też by mogła, ale mówi, że krępuje się wydawać pieniądze męża. Jest od niego o wiele sympatyczniejsza. Czytałam w jakimś brukowcu w ploteczkach towarzyskich, że „wpadł na stek do Stelliniego” z jakąś kobietą. Gdyby kto chciał znać moje zdanie, to mądrze by zrobiła, kom-

pletując sobie naprawdę drogą garderobę, zanim on ją rzuci.

Wydawało się, że Grace mówi sama do siebie – roztargniony ton, uśmiech od czasu do czasu ożywiający jej zmęczoną twarz. Wzięła nożyczki do wycinania ząbków i zaczęła ciąć wzdłuż prostego brzegu, stukając nimi o drewnianą podłogę. Przez dłuższą chwilę milczałam. W jej pracy było coś hipnotyzującego, nie odczuwało się presji, aby coś powiedzieć. Obraz telewizyjny zamigotał, kątem oka zobaczyłam, jak przebrana za kurczaka dziewczyna podskakuje w górę i w dół, z dłońmi uniesionymi do twarzy. Widziałam, że publiczność zachęca ją, by coś zrobiła – wybrała, podała, zamieniła pudełka, zdecydowała się na nagrodę ukrytą za kotarą, oddała kopertę – a wszystko to się działo w całkowitej ciszy. Ojciec Libby obojętnie przyglądał się widowisku ze swojego wózka inwalidzkiego. Pomyślałam, że dziewczyna powinna zapytać o radę swojego chłopaka kurczaka, ale on tylko stał bez ruchu, zażenowany jak dziecko, które wie, że jest za duże, by paradować w kostiumie na Halloween. Bibułka, z której zrobiony był wykrój, zaszeleściła, kiedy Grace ją odsunęła i starannie złożyła przed odłożeniem na bok.

– Kiedy Elizabeth była mała, szylałam dla niej wszystkie ubrania – wyjaśniła. – Jednak odkąd się wyprowadziła, to, oczywiście, zaczęły ją interesować tylko ubrania ze sklepu. Sześćdziesiąt dolarów za spódnicę uszytą z wełny wartej najwyżej dwanaście! Jednak miała gust i mogła sobie pozwolić na kupowanie tego, czego chciała. Chciałaby pani zobaczyć jej zdjęcie?

Oczy Grace odnalazły moje, uśmiech błakający się po ustach był smutny.

– Tak, chciałabym.

Najpierw jednak zajęła się jedwabiem – zebrała materiał z podłogi i położyła na desce do prasowania. Kiedy przechodziła koło żelazka, sprawdziła jego temperaturę, przykładając pośliniony palec. Żelazko zasyczało, więc zmniejszyła temperaturę do poziomu „wełna”. W podwójnej ramce na parapecie stały dwa portreciki Libby; zanim mi je podała, sama uważnie im się przyjrzała. Na pierwszym Libby stała przodem do aparatu. Przechyliła głowę i uniosła prawą dłoń, jakby chciała zasłonić twarz. Słońce ładnie rozświetlało pasemka jasnych

włosów. Tak jak matka, nosiła krótką fryzurkę, ale włosy były ścienowane koło uszu. Miała rozbawione błękitne oczy i szeroki, nieco zawstydzony uśmiech, jakby czuła się zażenowana, że ktoś robi jej zdjęcie. Ciekawe czemu. Nigdy nie widziałam dwudziestoczterolatki, która by wyglądała tak młodo i świeżo. Na drugim zdjęciu dopiero zaczynała się uśmiechać, zza rozchylnych ust błyszczały perełki białych zębów, a koło kącika ust tworzył się dołeczek. Cerę miała jasną, muśniętą złotem. Ciemne rzęsy delikatnie podkreślały jej oczy.

– Jest śliczna – powiedziałam. – Naprawdę.

Grace stała przy desce do prasowania. Ostrożnie muskała koniuszkiem żelazka zwoje jedwabiu; żelazko żeglowało po azbestowej desce jak łódź po nieruchomym, ciemnozielonym morzu. Skończyła prasować i szybkim ruchem wytarła ręce o spódnicę, a następnie wzięła kawałki jedwabiu i zaczęła je razem spinać.

– Nazwałam ją na cześć królowej Elżbiety – powiedziała, po czym zaśmiała się cichutko. – Urodziła się czternastego listopada, tak samo jak księżę Karol. Gdyby była chłopcem, dostałaby na imię Karol. Raymond uważał, że to głupie, ale nie zwracałam na to uwagi.

– Nigdy nie nazywała jej pani Libby?

– Och, nie. Sama zaczęła tak na siebie mówić w podstawówce. Już jako dziecko miała silny charakter. Wiedziała, kim jest i jak będzie wyglądać jej życie. Lubiła porządek – nie była przesadnie pedantyczna, ale schludna. Wykładała szuflady na ubrania ładnym papierem do pakowania w kwiatki i wszystko równiutko tam układała. Z tego samego powodu lubiła księgowość. W matematyce panuje porządek i sens. Jeśli się dobrze zastanowisz, zawsze znajdziesz odpowiedź. Przynajmniej tak mówiła.

Podeszła do fotela na biegunach i usiadła w nim, kładąc sobie jedwab na kolanach. Zajęła się fastrygowaniem zaszewek.

– Rozumiem, że pracowała jako księgowa dla Haycraft i McNiece. Jak długo?

– Mniej więcej półtora roku. Przedtem prowadziła księgowość w firmie ojca – zajmował się reperowaniem niewielkich sprzętów domowych – jednak praca dla niego tak naprawdę jej nie interesowała. Była ambitna. Zdała egzaminy na dyplomowaną księgową, kiedy



miała dwadzieścia dwa lata. Potem zapisała się też na kilka kursów komputerowych w szkole wieczorowej. Dostawała bardzo dobre oceny. W firmie miała pod sobą dwóch młodszych księgowych.

– Dobrze się tam czuła?

– Na pewno tak – zapewniła Grace. – W pewnym momencie mówiła nawet o studiowaniu prawa. Podobało jej się zarządzanie przedsiębiorstwem i finanse. Lubiła zajmować się rachunkami i wiem, że imponowało jej, iż firma reprezentuje bardzo bogatych ludzi. Jej zdaniem, na podstawie tego, jak ktoś wydaje pieniądze, co i gdzie kupuje, można się wiele dowiedzieć o charakterze tej osoby. Czy ktoś nie żyje ponad stan, tego typu rzeczy. Mówiła, że to studium ludzkiej natury.

Grace opowiadała o córce z dumą. Trudno mi było sobie uzmysłwić, że rzeczowa dyplomowana księgowa z opowieści Grace i dziewczyna na fotografiach – ładna, pełna życia, nieśmiała i raczej słodka – to ta sama osoba. Libby z fotografii wcale nie wyglądała na skierowaną na sukces, twardo stąpającą po ziemi kobietę.

– A jeśli chodzi o jej byłego chłopaka? Wie pani może, co porabia?

– Kto, Lyle? Och, zaraz tu będzie.

– Tutaj?

– No, tak. Codziennie w południe wstępuje, żeby mi pomóc z Raymondem. To kochany chłopak. Z pewnością już pani wie, że Elizabeth zerwała zaręczyny kilka miesięcy przed... swoim odejściem. Chodziła z Lyle'em przez całe liceum, a potem razem studiowali w Santa Monica, dopóki on nie przerwał studiów.

– Czy to wtedy zaczął pracować dla Wonder Bread?

– Och, nie. Lyle pracował w wielu miejscach. Kiedy rzucił szkołę, Elizabeth mieszkała już we własnym mieszkaniu i nie zwierzała mi się szczególnie, ale wyczuwałam, że jest nim rozczarowana. Miał zostać prawnikiem, a potem po prostu zmienił zdanie. Powiedział, że prawo jest zbyt nudne, a poza tym on nie lubi babrać się w szczegółach.

– Czy mieszkali razem?

Policzki Grace delikatnie się zaróżowiły:

– Nie. Może się to pani wydać dziwne i Raymond uważał, że źle robię, ale zachęcałam ich, by razem zamieszkali. Czułam, że się od

siebie odsuwają, i wydawało mi się, że zamieszkanie razem może im pomóc. Raymond był, podobnie jak Elizabeth, zawiedziony, iż Lyle rzucił studia. Mówił córce, że stać ją na lepszego chłopaka. Ale Lyle ją uwielbiał. Wydawało mi się, że to się powinno liczyć. Przecież wyszedłby na prostą, potrzebował tylko czasu. Jak wielu chłopców w jego wieku, nie mógł sobie znaleźć miejsca. Ale z czasem poszedłby po rozum do głowy, tak jej powiedziałam. Był nieodpowiedzialny. Elizabeth mogła mieć na niego bardzo dobry wpływ, bo sama była bardzo odpowiedzialna. Ale ona oświadczyła, że nie chce z nim mieszkać, i na tym sprawa się skończyła. Umiała przeprowadzić swoją wolę, kiedy jej na czymś zależało. Nie mówię tego, żeby ją skrytykować. Była idealną córką. Naturalnie chciałam, żeby spełniły się jej marzenia, ale nie mogłam patrzeć na cierpienie Lyle'a. To taki kochany chłopak. Sama pani zobaczy, kiedy go pozna.

– A czemu właściwie się rozstali? Czy mogła się zaangażować w inny związek?

– Ma pani na myśli tego adwokata z Santa Teresa... – odgadła moje intencje Grace.

– Prowadzę śledztwo w sprawie jego śmierci – wyjaśniłam. – Czy kiedykolwiek o nim wspominała?

– Dowiedziałam się o nim dopiero wtedy, gdy zjawili się tu policjanci z Santa Teresa, żeby z nami porozmawiać. Elizabeth zwierzała mi się ze swoich spraw osobistych, ale nie wierzę, by zakochała się w żonatym mężczyźnie – powiedziała Grace. Była poruszona, zajęte jedwabiem ręce drżały. Zamknęła oczy i przycisnęła dłoń do czoła, jakby chciała sprawdzić, czy nie dostała nagłego ataku gorączki.

– Przepraszam. Czasem zapominam. Czasem udaję, że zachorowała. Wzdrygam się na myśl o tym, co się naprawdę stało, na myśl o tym, że ktoś mógł jej to zrobić, że ktoś mógł ją tak bardzo nienawidzieć. Tutejsza policja nic nie robi. Nie rozwiązali sprawy, odłożyli ją do lamusa, więc ja po prostu... ja po prostu wmawiam sobie, że zachorowała i zabrali ją do szpitala. Jak ktoś mógł jej to zrobić?

Oczy kobiety wypełniły się łzami. Matczyne cierpienie zalało przestrzeń między nami jak fala słonej wody i poczułam, że, jakby w geście solidarności, moje oczy również są pełne łez. Wyciągnęłam

dłoń i wzięłam ją za rękę. Chwyliła moje palce i przez moment kurczowo je trzymała, ale potem się opanowała i cofnęła dłoń.

– To jak ciężar, który przytłacza moje serce. Nigdy się go nie pozbędę. Nigdy.

Kolejne pytanie sformułowałam bardzo ostrożnie.

– Czy to mógł być wypadek? Ten mężczyzna – Laurence Fife – zginął, bo ktoś wsypał oleander do jego kapsułek na alergię. Powiedzmy, że spotkali się w sprawach zawodowych, przeglądali rachunki albo coś takiego. Może Elizabeth kichnęła albo skarżyła się na zatka-ny nos, a on zaproponował jej własne lekarstwo. Ludzie często tak robią.

Przez moment rozważała to niespokojnie.

– Przecież policja mówiła, że ten adwokat zmarł wcześniej. Kilka dni wcześniej.

– Mogła jednak zostawić sobie kapsułkę na później – wzruszyłam ramionami. – W takich przypadkach nigdy nie wiadomo, kiedy ofiara połknie zatruty lek. Może wrzuciła kapsułkę do torebki i zażyła ją po paru dniach, nie zdając sobie sprawy z grożącego jej niebezpieczeństwa. Czy była na coś uczulona? Czy mogła się przeziębic?

Grace zaczęła szlochać, wydawała z siebie cichy, miauczający dźwięk:

– Nie pamiętam. Nie sędzę. Nie miała kataru siennego ani nic takiego. Nawet nie wiem, kogo by można było o to zapytać, teraz, po tylu latach.

Grace spojrzała na mnie swoimi wielkimi, ciemnymi oczami. Miała ładną twarz, prawie dziecinną, z małym noskiem i słodkimi usteczkami. Wzięła chusteczkę higieniczną i wytarła policzki.

– Chyba już nie mam siły o tym rozmawiać. Niech pani zostanie na lunch. Pozna pani Lyle'a. Może on będzie mógł pani pomóc.

## 10

Przycupnęłam na taborecie w kuchni i przyglądałam się, jak Grace przyrządza sałatkę z tuńczyka na lunch. Doszła już do siebie, jakby właśnie obudziła się z krótkiej, ale krzepiącej drzemki. Następnie założyła fartuch i sprzątnęła ze stołu w jadalni resztę przyborów do szycia. W pracę wkładała całe serce. Kiedy przygotowywała podkładki i serwetki, jej ruchy były spokojne i dostojne. Nakryłam do stołu, czując się jak grzeczne dziecko. W tym czasie ona opłukała i osuszyła sałatę, po czym przyozdobiła kilkoma listkami, jak serwetką, każdy talerz. Cieniutko obrała skórę z kilku pomidorów, potem zrobiła z niej zgrabne różyczki. Wybrała po jednej dorodnej pieczarce na każdy talerz i wyłobiła w nich artystyczne rowki. Dodała po dwa smukłe pędy szparagów, w rezultacie dekoracja talerzyka na sałatkę wyglądała jak kwiatowa aranżacja. Uśmiechnęła się do mnie nieśmiało, wyraźnie zadowolona, że stworzyła coś tak ładnego:

– Pani gotuje?

Potrząsnęłam głową.

– Ja też nie mam zbyt wielu okazji, chyba że przychodzi Lyle. Raymond i tak nic by nie zauważył, a dla siebie samej mi się nie chce.

Podniosła głowę.

– Już jest.

Nie słyszałam, jak ciężarówka wjeżdża na podjazd, Grace musiała być wyczulona na dźwięk zwiastujący przybycie Lyle'a. Jej ręka nieświadomie powędrowała do niesfornego kosmyka włosów, który uparcie nie chciał tkwić za uchem. Lyle skierował się do środka przez pomieszczenie użytkowe znajdujące się po lewej. Zatrzymał się za rogiem, pewnie zdejmował buty. Usłyszałam, jak o podłogę łupnęły dwa ciężkie przedmioty.

– Hej, malutka! Co upichciłaś na lunch?

Wszedł do jadalni, szeroko się uśmiechając, i głośno cmoknął ją w policzek. Kiedy mnie zauważył, zastygł w bezruchu, ożywienie to

pojawiało mu się na twarzy, to znikало, aż wreszcie odpłynęło na dobre. Spojrzał niepewnie na Grace.

– To pani Millhone – przedstawiła mnie.

– Kinsey – dodałam, podając mu rękę. W odpowiedzi wyciągnął swoją i odruchowo odwzajemnił mój uścisk, lecz nurtujące go pytanie nadal pozostawało bez odpowiedzi. Czułam, że zakłóciłam niezmienny od lat rytuał.

– Jestem prywatnym detektywem z Santa Teresa – wyjaśniłam.

Lyle podszedł do Raymonda, nie zaszczycając mnie kolejnym spojrzeniem.

– Hej, staruszk! Jak się dzisiaj miewasz? Wszystko w porządku?

Wyraz twarzy starego człowieka nie zmienił się ani na jotę, ale w jego oczach coś drgnęło. Lyle zdjął mu słuchawki, wyłączył również telewizor. Zmiana, która przed momentem nastąpiła w Lyle'u, była tak nagła, że czułam się, jakbym właśnie zobaczyła dwie różne osobowości ukryte w jednym ciele – jedną radosną, a drugą ostrożną. Nie był o wiele wyższy ode mnie, szczupły, choć szeroki w barach. Koszulę miał rozpiętą, wyciągniętą ze spodni. Klata nie wyglądała może imponująco, ale mięśnie były ładnie uformowane, jak u kogoś, kto podnosi ciężary. Na oko nie dałabym mu więcej lat, niż mam sama. Jego włosy, długie i jasne odznaczały się lekko zielonkawym odcieniem, pewnie wskutek działania chlorowanej wody w basenie i słońca. Oczy miał bladobłękitne, zbyt jasne przy opalonej cerze, rzęsy – odbarwione, a podbródek zbyt wąski w stosunku do szerokich policzków. Ogólnie jego twarz robiła dziwne wrażenie – był prawie przystojny, ale coś w tej twarzy raziło, gdzieś pod powierzchnią wyczuwało się jakąś niewidoczną skazę. Jakiś tajemniczy wstrząs spowodował, że kości minimalnie się przesunęły i dwie połowy twarzy nie całkiem do siebie pasowały. Miał na sobie sprane dżinsy opuszczone nisko na biodrach; można było dostrzec jedwabistą linię ciemnych włosów, wskazującą niby strzała na krocze.

Zajmował się Raymondem, gawędził z Grace, a mnie całkowicie ignorował. Podała mu ręcznik, który podłożył Raymondowi pod podbródek. Namydlił go i ogolił maszynką, opłukując ja potem starannie w miseczce z nierdzewnej stali. Grace wyjęła butelki piwa i prze-

łała do szklanek w kształcie tulipana, po czym rozstawiła po jednej przy każdym nakryciu. Raymond nie był uwzględniony. Kiedy zabieg golenia dobiegł końca, Lyle przeczesał rzednące białe włosy Raymonda, a następnie nakarmił go jedzeniem dla niemowląt ze słoiczka. Grace rzuciła mi zadowolone spojrzenie. Widzi pani, jaki kochany z niego chłopak? Na mnie Lyle robił wrażenie starszego brata, który zajmuje się młodszym, żeby zadowolić mamę. No i udało się, była zadowolona. Przyglądała się z zachwytem, jak Lyle zagłębieniem łyżki zbiera z podbródka Raymonda oślinioną warzywną papkę, aby ją z powrotem wpakować do jego bezwładnych ust. W międzyczasie z przodu spodni Raymonda pojawiła się gwałtownie rosnąca plama.

– Hej, nie przejmuj się, staruszkule – wymamrotał wyrozumiale Lyle.  
– Umyjemy cię zaraz po lunchu. Co ty na to?

Czułam, jak twarz mi tężeje z obrzydzenia.

W czasie lunchu Lyle szybko połykał jedzenie, nie odzywając się do mnie wcale i bardzo rzadko do Grace.

– Czym się zajmujesz, Lyle?

– Kładę cegły.

Spojrzałam na jego ręce. Długie palce pokryte były zaprawą murarską, która wniknęła głęboko w bruzdy. Nawet z tej odległości czułam intensywny zapach potu, przez który przebijała się delikatna woń trawki. Zastanawiałam się, czy Grace zwróciła na to uwagę. Może myślała, że to woda po goleniu o egzotycznym zapachu?

– Jadę teraz do Vegas – powiedziałam Grace – ale chciałabym tu wpaść w drodze powrotnej do Santa Teresa. Czy ma pani jakieś rzeczy, które należały do Libby?

Byłam prawie pewna, że miała.

Grace rzuciła Lyle'owi szybkie spojrzenie, jakby chciała zapytać go o zgodę, ale on utkwiał wzrok w swoim talerzu.

– Chyba tak. W piwnicy są jakieś pudła, prawda, Lyle? Książki i papiery Elizabeth?

Starzec wydał jęk, gdy wymieniłam imię córki. Lyle wytarł usta, odrzucił serwetkę i wstał. Wywiózł Raymonda do przedpokoju.

– Bardzo przepraszam. Nie powinnam była wspominać Libby – powiedziałam.

– Nic się nie stało – uspokoiła mnie Grace. – Proszę zadzwonić albo wpaść, kiedy będzie pani z powrotem w Los Angeles. Na pewno nic się nie stanie, jeśli przejrzy się rzeczy Elizabeth. Nie jest tego dużo.

– Lyle chyba nie jest w najlepszym humorze – zauważyłam. – Mam nadzieję, że nie uważa mnie za intruza.

– Och, nie. Nigdy dużo nie mówi w towarzystwie ludzi, których nie zna – zapewniła. – Nie wiem, co bym bez niego zrobiła. Raymond jest dla mnie za ciężki, sama bym go nie uniosła. Dwa razy dziennie przychodzi sąsiad, najpierw pomaga mi go przenieść na wózek, a potem z wózka do łóżka. Po wypadku ma całkowicie zmiażdżony kręgosłup.

Powiedziała to lekkim tonem, od którego przeszedł mnie dreszcz.

– Czy mogę skorzystać z toalety? – zapytałam.

– Drugie drzwi po prawej w przedpokoju.

Kiedy mijałam sypialnię, zobaczyłam, że Lyle już przeniósł Raymonda do łóżka. Dwa drewniane krzesła o prostych oparciach zabezpieczały małżeńskie łóżko, żeby nie wypadł. Lyle stał pomiędzy dwoma krzesłami, myjąc gołą pupę Raymonda. Weszłam do łazienki i zamknęłam za sobą drzwi.

Pomogłam Grace sprzątnąć po posiłku, po czym wyszłam i zaparkowałam samochód po przeciwnej stronie ulicy. Nie próbowałam się ukryć ani nie udawałam, że odjeżdżam. Obserwowałam zaparkowanego na podjeździe pickupa Lyle'a. Spojrzałam na zegarek; była za dziesięć pierwsza. Doszłam do wniosku, że jego przerwa na lunch musi już dobiegać końca. I miałam rację, drzwi z boku domu otworzyły się i ukazał się w nich Lyle. Wyszedł na wąską werandę, gdzie zatrzymał się na chwilę, żeby założyć buty. Spojrzał na ulicę, zauważył mój samochód i – jeśli dobrze widziałam – uśmiechnął się do siebie. Duppek, pomyślałam. Wsiadł do auta i szybko wycofał samochód z podjazdu. Przyszło mi do głowy, że może ma zamiar przeciąć tyłem ulicę i wjechać prosto w mój samochód, miażdżąc mnie w środku. Jednak w ostatniej chwili skręcił i wrzucił bieg, odjeżdżając z piskiem opon. Przeleciało mi przez myśl, że może czeka nas mały, spontaniczny wyścig samochodowy, ale okazało się, że nie będzie takiej potrzeby. Przejechał osiem przecznic, po czym zaparkował na podjeździe przy niewielkim domu w dzielnicy Sherman Oaks. Dom był w trakcie re-

montu, polegającego na pokryciu go czerwoną cegłą. Domyśliłam, się, że to swego rodzaju symbol statusu, bo cegła jest bardzo droгим materiałem na Zachodnim Wybrzeżu. W całym Los Angeles nie znajdzie się więcej niż sześć domów z cegły.

Lyle wysiadł z pickupa i leniwym krokiem przeszedł na tyły domu, po drodze wpychając koszulę do spodni. W jego zachowaniu było coś bezczelnego. Zaparkowałam na ulicy i starannie zamknęłam samochód, a następnie ruszyłam za nim. Pomyślałam mimochodem, że może ma zamiar rozwalić mi głowę cegłą, a następnie zamurować ciało w ścianie. Nie był zadowolony z mojego wkroczenia na scenę i wcale się z tym nie krył. Kiedy skręcałam za róg, zobaczyłam, że właściciel domu postanowił ukryć swój niewielki domeczek za zupełnie nową fasadą. Po tym remoncie mały, kalifornijski parterowy domek będzie wyglądał jak niektóre szpitale dla zwierząt na Środkowym Zachodzie, naprawdę kosztowna impreza. Lyle był już zajęty mieszaniami zaprawy murarskiej w taczkach. Droga do niego prowadziła przez stertę desek najeżonych zakrzywionymi, pokrytymi rdzą gwoździami. Dzieciak, który by na nie wpadł, musiałby się przygotować na mnóstwo zastrzyków przeciwtężcowych.

– Może zaczniemy jeszcze raz od początku, Lyle? – zaproponowałam lekko.

Prychnął, wyjmując papierosa, którego następnie wetknął do kącika ust. Zapalił go, osłaniając zapałkę szorstkimi rękami, a następnie wydmuchał pierwszy obłoczek dymu. Miał małe oczy, jedno zezowało na kłębiący się wokół twarzy dym. Przypominał mi Jamesa Deana z wczesnych fotografii – ta sama pełna buntu, przygarbiona sylwetka, krzywy uśmiech, wysunięty podbródek. Zastanawiałam się, czy był cichym wielbicielem powtórek *Na wschód od Ede-  
nu* i czy zarywał noce, żeby je oglądać na badziewnych kanałach nadawanych z Bakersfield.

– Hej, skończmy z tym! Porozmawiaj ze mną – poprosiłam.

– Nie mam ci nic do powiedzenia. Po co na nowo rozgrzebywać to gówno?

– Nie chciałbyś wiedzieć, kto zabił Libby?

Nie spieszył się z odpowiedzią. Podniósł cegłę i trzymał ją pionowo.



Za pomocą kielni pokrył jeden jej bok grubą warstwą zaprawy murarskiej, rozsmarowując miękki cement jak grudkowaty, szary ser. Umieścił ją na sięgającej mu piersi warstwie cegieł, nad którą teraz pracował i kilka razy uderzył w nią młotkiem. Schylił się po kolejną.

Przyłożyłam prawą rękę do ucha:

– Halo? – powiedziałam, jakbym dopuszczała możliwość, że chwilowo straciłam słuch.

Uśmiechnął się krzywo, a papieros zadrgał mu w kąciku ust.

– Uważasz, że taki z ciebie kawał cwaniary, co?

Posłałam mu piękny uśmiech.

– Posłuchaj, Lyle. To nie ma sensu. Nie musisz mi nic mówić. Ale wiesz, co ja mogę zrobić? Znalezienie wszystkiego, co chciałabym wiedzieć na twój temat, nie zajmie mi dziś po południu więcej niż półtorej godziny. Wystarczy, że wykonam sześć telefonów z mojego pokoju motelowego w zachodnim Los Angeles. Ktoś płaci za mój czas, więc dla mnie to naprawdę nie jest nic wielkiego. Szczerze, to nawet będę się dobrze przy tym bawić. Mogę zdobyć twoje akta osobowe, historię kredytową. Mogę się dowiedzieć, czy kiedykolwiek byłeś aresztowany, gdzie pracowałeś, czy przetrzymywałeś książki z biblioteki...

– Możesz grzebać. Nie mam nic do ukrycia.

– Tylko po co nam to wszystko? – powiedziałam. – Jasne, mogę cię posprawdzać na wszystkie strony. Problem w tym, że i tak jutro wrócę. Skoro nie lubisz mnie teraz, to nie będziesz mnie lubił również jutro. A ja mogę już nie być w takim dobrym humorze. Może więc po prostu trochę wyluzujesz?

– Jestem całkiem na luzie – zapewnił.

– Planowałeś studiować prawo?

– Rzuciłem studia – odparł ponuro.

– Może za dużo trawki mąci myśli? – łagodnie wysunęłam przypuszczenie.

– Może się ode mnie odpieprzysz? – warknął. – Czy twoim zdaniem wyglądam na prawnika? Przestało mnie to interesować, okej? To nie jest, kurwa, przestępstwo.

– O nic cię nie oskarżam, Chcę się tylko dowiedzieć, co się stało

z Libby.

Strzepnął popiół i wyrzucił papierosa, a następnie wgniótł go w ziemię czubkiem buta. Usiadłam na stercie cegieł nakrytej plandeką. Lyle przyglądał mi się podejrzliwie spod spuszczonej powiek

– Tak właściwie, to czemu myślisz, że palę trawkę?

Dotknęłam palcem skrzydełka nosa, dając mu do zrozumienia, że wyczułam zapach.

– Poza tym kładzenie cegieł to raczej nudna fucha – dodałam. – Pomyślałam, że jeśli jesteś mądry, to musisz jakoś sobie radzić, żeby nie zwariować.

Spojrzał na mnie, odrobinę mniej spięty niż przed momentem.

– Dlaczego myślisz, że jestem mądry?

Wzruszyłam ramionami.

– Przez dziesięć lat byłeś chłopakiem Libby Glass.

Myślał nad tym przez chwilę

– Nic nie wiem – rzekł w końcu szorstko.

– W tym momencie wiesz więcej niż ja.

Był bliski kapitulacji, choć widziałam, że jego ramiona nadal są spięte. Potrząsnął głową i wrócił do pracy. Wziął do ręki kielnię i zaczął rozsmarowywać wilgotną masę zaprawy murarskiej, jakby to był lukier, w którym porobiły się grudki.

– Rzuciła mnie, kiedy spotkała tego faceta z północy. Tego adwokata...

– Laurence’a Fife’a?

– Taaa... Chyba tak. Nic mi o nim nie mówiła. Zaczęło się od spraw zawodowych, czegoś związanego z rachunkowością. Jego kancelaria właśnie nawiązała współpracę z jej firmą, a ona miała przenieść wszystkie dane na komputer, rozumiesz? Żeby potem łatwiej się pracowało. To było naprawdę skomplikowane, linie telefoniczne rozpalone do czerwoności, mnóstwo roboty. Parę razy tu przyjechał i po pracy poszli razem na drinka, czasem na kolację. Zakochała się. To wszystko, co wiem.

Wziął mały, metalowy zastrzał, ułożył go pod kątem prostym i wbił młotkiem w drewnianą elewację budynku. Przyłożył pokrytą zaprawą cegłę.

– Po co się to robi? – byłam ciekawa.

– Co? A, to. Dzięki temu ściana z cegły nie odpadnie od reszty budynku – wyjaśnił.

Skinęłam głową. Nabierałam ochoty, żeby osobiście zmierzyć się z kładzeniem cegieł.

– I potem z tobą zerwała? – wróciłam do tematu.

– Właściwie to tak. Spotykaliśmy się jeszcze od czasu do czasu, ale to był już koniec i dobrze o tym wiedziałem.

W jego głosie było coraz mniej napięcia, wydawał się teraz bardziej zrezygnowany niż wściekły. Posmarował miękką zaprawą kolejną cegłę, po czym umieścił ją na miejscu. Słońce przyjemnie grzało mi plecy, odchyliłam się do tyłu i oparłam łokcie na plandecę.

– Masz własną teorię? – zapytałam.

Posłał mi przebiegłe spojrzenie.

– Może się zabiła.

– Samobójstwo? – Pomysł wydawał się absurdalny.

– Zapytałaś. Po prostu ci mówię, co wtedy myślałam. Szalała za nim, to na pewno.

– Taaa... Ale czy na tyle, żeby się zabić po jego śmierci?

– Kto wie? – Podniósł jedno ramię, po czym pozwolił mu opaść.

– Jak się dowiedziała o jego śmierci?

– Ktoś zadzwonił i jej o tym powiedział.

– Skąd wiesz?

– Bo do mnie zadzwoniła. Najpierw nie wiedziała, co o tym myśleć.

– Bardzo rozpacziała? Płakała? Była w szoku?

Próbował sobie przypomnieć jej reakcję.

– Nie wiedziała, co o tym myśleć, i była poruszona. Poprosiła, żebym do niej przyjechał, ale kiedy już tam byłem, zmieniła zdanie i nie chciała o tym rozmawiać. Była roztrzęsiona, nie mogła się skupić. Trochę mnie to wkurzyło, że zawraca mi głowę, więc wyszedłem. A potem dowiedziałem się, że nie żyje.

– Kto ją znalazł?

– Zarządca budynku, w którym mieszkała. Nie pokazała się w pracy przez dwa dni i nie dała znać, co się dzieje, więc szef się zaniepokoił i postanowił ją odwiedzić. Zarządca próbował zajrzeć przez okno, ale

zasłony były zaciągnięte. Dobijali się od frontu i z tyłu, aż wreszcie zdecydowali się wejść do środka, otwierając drzwi kluczem uniwersalnym. Leżała w łazience na podłodze. Była w szlafroku. Nie żyła od trzech dni.

– A co z jej łóżkiem? Było pościelone czy nie?

– Nie wiem. Policja tego nie podała.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałam. Wyglądało na to, że mogła zażyć kapsułkę w nocy, tak jak Laurence Fife. Nadal uważałam, że to mogło być to samo lekarstwo – jakaś kapsułka z antyalergenem, który ktoś podmienił na oleander.

– Czy Libby była na coś uczulona? Narzekała na katar albo na coś innego, kiedy się ostatni raz widzieliście?

Wzruszył ramionami.

– Może i tak, nie wiem. Nic takiego nie pamiętam. Widziałem się z nią w czwartek wieczór. W środę albo w czwartek w tym tygodniu, kiedy ten adwokat został zamordowany. Umarła w sobotę późnym wieczorem. Tak napisali w gazetach, kiedy to się stało.

– A ten adwokat, z którym miała romans? Wiesz może, czy coś trzymał u niej w mieszkaniu? Szczoteczkę do zębów? Maszynkę do golenia? Coś w tym stylu? Może zażyła jego lekarstwo?

– Skąd mam wiedzieć? – Był rozdrażniony. – Nie pcham nosa w nie swoje sprawy.

– Czy miała jakąś przyjaciółkę? Kogoś, komu mogła się zwierzyć?

– Może w pracy. Mnie nikt taki nie przychodzi do głowy. Nie miała przyjaciółek.

Wyjęłam notes i zanotowałam numer telefonu do mojego motelu.

– Pod tym numerem możesz mnie łąpać. Zadzwoń, jeśli coś ci jeszcze przyjdzie do głowy?

Wziął karteczkę i wetknął ją niedbale do tylnej kieszeni dżinsów.

– Po co jedziesz do Las Vegas? – chciał wiedzieć. – Czy chodzi o coś związanego ze sprawą?

– Jeszcze nie wiem. Być może jest tam kobieta, która pomoże mi wypełnić kilka luk. Pod koniec tygodnia będę przejeżdżał przez Los Angeles. Może znowu do ciebie zajrzę.

Jednak Lyle już mnie nie słuchał, zajęty wklepywaniem na miejsce

kolejnej cegły oraz zgarnianiem za pomocą kielni nadmiaru zaprawy, która wypłynęła przez szczeliny. Spojrzałam na zegarek. Wciąż było dość czasu, by zajrzeć do firmy, gdzie pracowała Libby Glass. Czułam, że Lyle nie mówi mi całej prawdy, ale nie miałam jak tego sprawdzić. Nie pozostawało nic innego, jak odpuścić – przynajmniej na razie.

## 11

Firma Haycraft i McNiece mieściła się w budynku AVCO Embassy w dzielnicy Westwood, niedaleko mojego motelu. Zatrzymałam się na nieprzyzwoicie drogim parkingu, przylegającym do domu pogrzebowego w Westwood Village, i skierowałam do wejścia obok banku Wells Fargo. W środku wsiadłam do windy i pojechałam na dziesiąte piętro. Firma, której szukałam, znajdowała się zaraz na prawo od wejścia. Popchnęłam masywne drzwi z drewna tekowego z nazwą firmy wypisaną mosiężnymi literami. Rozejrzałam się wokoło. Wypolerowana podłoga z chropowatych czerwonych płytek, lustra od podłogi aż po sufit, panele z surowego szarego drewna oraz wiszące gdzieś tam suszone kolby kukurydzy. Po lewej znajdowała się zagroda, w której siedziała recepcjonistka. Na słupku zagrody wisiała deseczka z wypalonym napisem „Allison. Recepcjonistka”. Podałam jej wizytówkę.

– Zastanawiam się, czy mogłabym porozmawiać ze starszym księgowym – powiedziałam. – Zajmuję się sprawą morderstwa księgowej, która tu pracowała.

– Taaa... Słyszałam o niej – odrzekła Allison. – Chwileczkę.

Miała dwadzieścia kilka lat i długie ciemne włosy. Ubrana była w dżinsy, krawat typu *bolo tie* i kowbojską koszulę, która wyglądała, jakby wypchała ją sianem. Klamra paska była w kształcie wierzącego mustanga.

– Macie tu jakiś park tematyczny, czy co? – zapytałam.

– Że jak?

Nie chciałam drażnić tematu, więc tylko potrząsnęłam głową, a ona wyszła przez drzwi wahadłowe, stukając wysokimi obcasami. Po chwili wróciła.

– Pana McNiece’a nie ma, ale człowiek, z którym prawdopodobnie chciałaby pani porozmawiać, to Garry Steinberg. Przez dwa „r”.

– B-e-r-r-g?

– Nie. G-a-r-r-y.

– Och, jasne. Przepraszam.

– Nie szkodzi – zapewniła. – Wszyscy robią ten błąd.

– W takim razie, czy mogłabym się zobaczyć z panem Steinbergiem? Nie zajmę mu dużo czasu.

– W tym tygodniu jest w Nowym Jorku – powiedziała.

– A pan Haycraft?

– Nie żyje. To znaczy umarł kilka lat temu – sprecyzowała. – Tak naprawdę to teraz firma powinna się nazywać McNiece i McNiece, ale nikomu się nie chce zmieniać nadruków na materiałach biurowych. Ten drugi McNiece jest na spotkaniu.

– Czy pracuje tu jeszcze jakaś osoba, która by mogła ją pamiętać?

– Nie sądzę. Przykro mi.

Oddała mi moją wizytówkę. Odwróciłam ją i zanotowałam numery do mojego motelu oraz na serwis telefoniczny w Santa Teresa.

– Czy może pani przekazać to panu Steinbergowi, kiedy wróci? Prosiłabym o telefon. Może zadzwonić na mój koszt, jeśli nie będzie mnie w motelu.

– Jasne – zapewniła. Usiadła i mogłabym przysiąc, że wrzuciła wizytówkę prosto do kosza. Przyglądałam jej się przez chwilę, aż obdarzyła mnie zmieszonym uśmiechem.

– Może mogłaby pani zostawić wizytówkę na jego biurku i dołączyć notatkę? – zaproponowałam.

Schyliła się lekko, po czym podniosła się z moją wizytówką w rękę. Nabiła ją na złowieszczo wyglądający metalowy szpikulec koło telefonu.

Przyglądałam jej się w milczeniu jeszcze przez chwilę. Wreszcie zdjęła wizytówkę ze szpikulca i wstała.

– Po prostu położę ją na jego biurku – powiedziała i stuk-stuk-stuk ponownie się oddaliła.

– Dobry plan – pochwaliłam.

Wróciłam do motelu i zadzwoniłam w parę miejsc. Ruth z kancelarii Charliego Scorsoniego powiedziała, że szef ciągle jest poza miastem, ale dała mi numer do jego hotelu w Denver. Zadzwoniłam, a ponieważ go nie zastałam, zostawiłam swój numer na recepcji. Zate-

lefonowałam do Nikki, żeby jej opowiedzieć, jak się sprawy mają, po czym sprawdziłam serwis telefoniczny. Nie było żadnych wiadomości. Zmieniłam ciuchy i podjechałam na plażę, żeby pobiegać. Śledztwo nie posuwało się zbyt szybko naprzód. Jak na razie czułam się, jakbym trzymała w ręku garść confetti. Perspektywa ułożenia z nich obrazka wydawała się bardzo odległa. Czas przemielił zdarzenia i fakty jak wielka maszyna, zostawiając tylko strzępy, z których miałam odtworzyć obraz rzeczywistych wydarzeń. Czułam się trochę bezradna i rozdrażniona, potrzebowałam upuścić nieco pary.

Zaparkowałam niedaleko molo w Santa Monica i pobiegłam na południe, wzdłuż promenady, czyli asfaltowego chodnika ciągnącego się obok plaży. Minęłam truchtem pochylonych nad swoimi szachami staruszków; chudych, czarnych chłopaków z niezwykłym wdziękiem wykonujących rozmaite ewolucje na wrotkach, podskakujących w rytm słyszanej tylko przez siebie muzyki w słuchawkach; ludzi grających na gitarze; grupkę ćpunów i niebieskich ptaków, których oczy odprowadziły mnie z pogardą. Ten deptak to ostatnia ostoja kultury narkotykowej z lat sześćdziesiątych. Ciągłe można tu spotkać bosych, spoglądających nieobecny wzrokiem, niechlujnych młodych ludzi, otoczonych aurą mistyki i nieco oderwanych od rzeczywistości. Tyle że niektórzy wyglądają teraz raczej na trzydzieści siedem niż na siedemnaście lat. Jakiś pies postanowił dotrzymać mi towarzystwa – biegł koło mnie z wywieszonym językiem, od czasu do czasu radośnie łypiąc w moją stronę okiem. Miał gęstą, zjeżoną sierść koloru karmelowego popcornu i ogon zwinięty w rulonik jak odpustowy gwizdek. Należał do jednej z tych zmutowanych ras z wielką głową, małym tułowiem i króciutkimi łapami, ale nie wydawał się niebezpieczny. Wspólnie przetruchtaliśmy całą promenadę, mijając ulice Ozone, Dudley, Palona, Sunset, Thornton i Park. Jednak kiedy dotarliśmy do Wave Crest, zdążył stracić zainteresowanie moim towarzystwem i odbił w bok, żeby dołączyć do grających we frisbee plażowiczów. Gdy go widziałam po raz ostatni, właśnie wykonał niesamowity skok, chwytając krążek w powietrzu z pyskiem wyszczerzonym w szerokim uśmiechu. Odwzajemniłam uśmiech. Był jednym z niewielu poznanych przeze mnie w ostatnich latach psów, do których czułam szczerą



sympatię.

Na Venice Boulevard zawróciłam. Przebiegłam większość drogi powrotnej, a pod koniec zwolniłam do kroku spacerowego. Doszłam do molo. Bryza znad oceanu zwilżyła moje ciało, choć byłam zdyszana, prawie się nie spociłam. W ustach miałam sucho, moje policzki płonęły. To nie była długa przebieżka, ale dałam sobie większy niż zwykle wycisk i w płucach czułam prawdziwy pożar, jakby wypełniał je płynny ogień. Biegam z tego samego powodu, z jakiego nauczyłam się prowadzić samochód bez automatycznej skrzyni biegów oraz pić czarną kawę – na wypadek gdyby nadszedł dzień, kiedy w jakiejś absolutnie krytycznej sytuacji te umiejętności mogą się okazać niezbędne. Obecny bieg miał być również aktywnym zakończeniem aktywnego dnia. Już zdecydowałam, że za dobre sprawowanie podaruję sobie wolny dzień; porządny wycisk wieczór wcześniej nie zaszkodzi. Kiedy trochę ochłonęłam, wróciłam do samochodu i pojechałam na wschód do Wilshire, z powrotem do mojego motelu.

Gdy otwierałam drzwi do pokoju, zadzwonił telefon. Był to mój przyjaciel z Las Vegas, miał dla mnie adres Sharon Napier.

– Fantastycznie! – powiedziałam. – Bardzo mi pomogłeś! Jak można cię złapać w Vegas? Kiedy będę na miejscu, wstąpię, żeby uregulować rachunek.

– Wyślij pocztą. Nigdy nie wiem, gdzie mnie poniesie.

– W porządku. Ile się należy?

– Z rabatem będzie pięćdziesiąt baksów. Specjalnie dla ciebie. Nie ma jej w żadnym wykazie ani rejestrze, zadanie nie było proste.

– Daj znać, kiedy będę mogła się odwdziaczyć – odparłam. Dobrze wiedziałam, że tak właśnie zrobi.

– Jeszcze jedno, Kinsey – zatrzymał mnie. – Sharon rozdaje karty do blackjacka w kasynie Fremont, a przy okazji puszcza się na boku. Tak przynajmniej słyszałem. Wczoraj wieczorem widziałem ją w akcji. Jest ostra, ale nikogo nie oszukuje.

– Podpadła komuś?

– Nie, ale jest blisko. Wiesz, w tym mieście nikogo nie obchodzi, co robisz, dopóki nie oszukujesz. Powinna siedzieć cicho i nie zwracać

na siebie uwagi.

– Dzięki za informacje – zakończyłam rozmowę.

– Nie ma sprawy – powiedział i odłożył słuchawkę.

Wzięłam prysznic, założyłam spodnie i koszulę, a potem poszłam do knajpki po drugiej stronie ulicy, gdzie zjadłam utaplane w keczupie smażone krewetki z frytkami. Wypiłam dwa kubki kawy i wróciłam do pokoju. Gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi, telefon ponownie zadzwonił. Tym razem był to Charlie Scorsoni.

– Jak tam Denver? – zapytałam, gdy tylko się przedstawił.

– Nieźle. A jak L.A.?

– W porządku. Dziś wieczorem jadę do Las Vegas.

– Gorączka hazardu?

– Ani trochę. Wpadłam na trop Sharon.

– Wspaniale. Przypomnij jej, że jest mi winna sześćset baksów.

– Taaa... Jasne. Nie zapomnij o odsetkach. Próbuję z niej wyciągnąć, co wie na temat morderstwa, a ty chcesz, żebym ją dręczyła w sprawie starego długu.

– Szkoda, że nie będę miał okazji podręczyć jej w tej sprawie osobiście. Kiedy będziesz z powrotem w Santa Teresa?

– Może w sobotę. W piątek, w drodze powrotnej chcę się zatrzymać w L.A., żeby przejrzeć pudła, w których są rzeczy Libby Glass. Raczej nie zajmie mi to dużo czasu. Dlaczego pytasz?

– Bo chcę ci wreszcie postawić tego drinka – powiedział. – Pojutrze wyjeżdżam z Denver, więc będę w mieście przed tobą. Dasz znać, kiedy wrócisz?

Wahałam się tylko chwilę.

– Tak.

– Chyba że to kłopot – na koniec próbował się ze mną podrażnić.

Roześmiałam się.

– Zadzwonię. Obiecuję.

– Świetnie. W takim razie do zobaczenia.

Odłożyłam słuchawkę, ale głupi uśmiech błąkał się po mojej twarzy o wiele dłużej, niż powinien. Co ten facet ma w sobie?

Las Vegas znajduje się mniej więcej sześć godzin jazdy od L.A.,

więc pomyślałam, że równie dobrze mogę wyruszyć w drogę od razu. Było tuż po siódmej i jeszcze się nie ściemniło, więc wrzuciłam najpotrzebniejsze rzeczy na tylne siedzenie mojego auta i powiedziałam Arlette, że parę dni mnie nie będzie.

- Mam podawać nowy numer, czy jak? – chciała wiedzieć.
- Zadzwoń, kiedy dotrę na miejsce, i podam numer, pod którym można mnie będzie złapać – powiedziałam.

Wyruszyłam na północ autostradą San Diego. Potem odbiłam na Venture i jechałam na wschód, aż przeszła w autostradę Colorado, jedną z niewielu przyjemnych dróg w całym systemie autostrad Los Angeles. Colorado, szeroka i rzadko uczęszczana, przecina północną granicę aglomeracji Los Angeles. Można na niej zmieniać pasy, nie padając ofiarą ostrego ataku nerwicy lękowej, a solidny, betonowy separator, oddzielający samochody jadące na wschód od tych kierujących się na zachód, gwarantuje, że pojazdy jadące w przeciwną stronę nie zjadą nieopatrznie na twój pas, żeby czołowo wbić się w twój samochód. Z autostrady Colorado ostro skręciłam na południe, odbijając na autostradę San Bernardino, a następnie zjechałam zjazdem numer piętnaście na północny wschód, skąd długą i nierówną drogą pędziłam na ukos w kierunku Las Vegas. Jeśli szczęście mi dopisze, porozmawiam z Sharon Napier, a następnie skieruję się na południe, do jeziora Salton Sea, gdzie mieszka Greg Fife. Aby zatoczyć pełne koło, w drodze powrotnej skoczę jeszcze do Claremont, żeby uciąć sobie krótką pogawędkę z jego siostrą, Diane. Na tym etapie nie byłam jeszcze pewna, czy w czasie tej podróży złowię jakieś ważne informacje, ale musiałam zakończyć podstawowy etap śledztwa. A spotkanie z Sharon Napier zapowiadało się interesująco.

Lubię podróżować nocą. Nie ma we mnie nic z typowego turysty, w czasie podróży po kraju do głowy by mi nie przyszło nadkładać drogi, żeby zobaczyć jakieś cuda natury. Nie interesują mnie trzydziestometrowe skały w kształcie dyni pizmowej. Nie przepadam za gapieniem się w dół na wąwozy wyłobione przez wyschnięte już rzeki i nie wzdycham z podziwu nad dziurami w miejscach, gdzie dawno

temu zabłąkane meteory uderzyły w ziemię. Nie robi mi różnicy, gdzie i skąd jadę. Mam przed sobą asfaltową drogę. Obserwuję żółtą linię. Przypatruję się wielkim ciężarówkom i samochodom osobowym ze śpiącymi na tylnym siedzeniu dziećmi. Trzymam stopę na gazie, dopóki nie osiągnę celu podróży.

## 12

Było już dobrze po północy, a ja zdążyłam cała zdrewnieć, kiedy na horyzoncie zaśniły światła Las Vegas. Chciałam ominąć Strip, najbardziej ruchliwy odcinek Las Vegas Boulevard. Najchętniej ominęłabym całe to miasto. Nie uprawiam hazardu – wcale mnie to nie pociąga, a jeszcze mniej ciekawi. Życie w Las Vegas dokładnie odpowiada moim wyobrażeniom na temat życia w podwodnych miastach. Dzień i noc niczym się od siebie nie różnią. Ludzie bezcelowo przyplływają i odpływają, jakby przyciągani przez jakieś niewidzialne prądy termiczne, szybkie i nieprzyjemnie bliskie. Wszystko zrobione z gipsu, wtórne, wykraczające poza życie, całkowicie bezosobowe. Całe miasto przesiąknięte zapachem smażonych krewetek po dolarze osiemdziesiąt dziewięć centów za porcję.

Znalazłam motel Bagdad blisko lotniska, na przedmieściach miasta. Budynek wyglądał jak zrobiony z marcepanu posterunek zagranicznego legionu. Kierownik nocnej zmiany nosił złotą satynową kamizelkę na pomarańczowej satynowej koszuli z bufiastymi rękawami. Na głowie fez z frędzlem. Miał chrapliwy oddech, na jego dźwięk miałam ochotę odchrząknąć.

– Czy jesteście małżeństwem spoza stanu? – zapytał, nie podnosząc wzroku.

– Nie.

– Jeśli jesteście małżeństwem spoza stanu, dostajecie za darmo kupony o wartości pięćdziesięciu dolarów. Tak napiszę. Nikt tego nie sprawdzi.

Podaliśmy mu kartę kredytową. Podczas gdy on robił odbitkę, ja wypełniłam kartę meldunkową. Następnie podał mi klucz i papierowy kubeczek pełen żetonów do automatu stojącego obok drzwi. Zostałam je na ladzie.

Samochód zaparkowałam przed swoim pokojem. Do miasta pojechałam taksówką; wiozła mnie przez rozświetlone – udającym dzien-

ne – sztucznym światłem Glitter Gulch. Na miejscu zapłaciłam taksia-  
rzowi. Potrzebowałam chwili, żeby się zorientować, gdzie jestem.  
Ruch samochodowy na wschodniej części ulicy Fremont Street nie  
ustawał, chodniki były pełne tłoczących się turystów, a jaskrawożółte  
znaki i migające neony oznajmiały nazwy kasyn – The Mint, The Four  
Queens – przy okazji oświetlając zbiór różnego rodzaju naciągaczy:  
alfonsów i prostytutek, kieszonkowców, ogorzałych cwaniaczków ze  
Środkowego Zachodu, którzy tłumnie przybywają do Las Vegas, prze-  
konani, że dzięki swojej przebiegłości i uporowi pokonają system.  
Weszłam do kasyna Fremont.

Z restauracyjki płynęła woń chińszczyzny; zapach kurczaka *chow  
mein* dziwnie mieszał się ze smużką perfum, unoszącą się za kobietą,  
która mnie minęła. Miała na sobie damski garnitur z poliestru, ciem-  
noniebieski we wzór, w którym wyglądała jak kawałek spacerującej  
tapety. Bezmyślnie patrzyłam, jak zaczyna wrzucać ćwierćdolarówki  
do automatu w lobby. Stoły do blackjacka znajdowały się po mojej le-  
wej. Zapytałam jednego z kierowników zmiany o Sharon, powiedział  
mi, że zaczyna pracę o jedenastej rano. Tak naprawdę nie spodzie-  
wałam się już dzisiaj na nią natknąć, po prostu chciałam poczuć at-  
mosferę miejsca, w którym pracuje.

Kasyno szumiało. Krupierzy przy stołach do gry w kości zgarniali  
żetony za pomocą specjalnych grabek, jakby grali w rodzaj stołowego  
shuffleboardu. Byłam kiedyś na wycieczce w fabryce kości do gry  
w Nevadzie. Z zapartym tchem obserwowałam, jak trzydziestokilowe,  
grube na centymetr celulozowe płyty azotanu były cięte na sześciiany  
niewiele większe niż końcowy rozmiar produktu, utwardzane, polero-  
wane i z każdej strony dziurkowane; następnie za pomocą specjalnych  
szczotek dziurki napełniano białą farbą żywiczną. W trakcie tego pro-  
cesu kości wyglądały niczym wiśniowe żelki, które można by zaser-  
wować jako niskokaloryczny deser. Teraz przyglądałam się, jak ludzie  
obstawiają wynik. Zakłady „Pass line”, „Don’t pass line”, „Come”,  
„Don’t come”, „Field”, „Big 6” i „Big 8” stanowiły dla mnie kolejną  
zagadkę i w życiu nie byłabym w stanie rozeznaczyć w tych wszyst-  
kich wygranych, przegranych oraz oczkach, wyrzucanych przy  
dźwięku cichych westchnień, wyrażających intensywną koncentrację

i zaskoczenie. Ponad tym wszystkim wisiała blada chmura papierosowego dymu, przesiąknięta zapachem rozlanej szkockiej. Przyciemnione lustro nad stołami prawdopodobnie były nieustannie sprawdzane przez niezliczone pary oczu, niespokojnie obserwujące klientów w celu wychwycenia choćby najmniejszej próby oszustwa. Nic nie mogło ujść uwagi. Atmosfera jak w sklepach w nowojorskim drapaczu chmur Woolworth Building w Boże Narodzenie, kiedy wiadomo, że wśród tłumu rozgorączkowanych klientów musi znaleźć się kilku, którzy podkradną to i owo. Nawet pracownicy mogą kłamać, oszukiwać i kraść; nic nie może być pozostawione przypadkowi. Przez moment poczułam respekt dla tego zachowującego idealną równowagę systemu, w którym tak wiele pieniędzy swobodnie ulatywało, a tak mało trafiało z powrotem do kieszeni, z których je wyłudzano. Nagle ogarnęło mnie zmęczenie. Wyszłam na zewnątrz i wsiałam do pierwszej z brzegu taksówki.

Bliskowschodni wystrój motelu Bagdad kończył się gwałtownie na progu mojego pokoju. Chodnik był z grubej, ciemnozielonej, bawełnianej dzianiny, a tapeta przedstawiała nachodzące na siebie palmy, upstrzone małymi kępkami, które równie dobrze mogły być daktylami, kiściami bananów albo stadem latających psów; wszystko na zielonkawym tle. Zamknęłam drzwi na klucz, zrzuciłam buty, odsunęłam narzutę z szenili i z ulgą wczółgałam się pod kołdrę. Wykonałam szybki telefon do serwisu telefonicznego, a potem jeszcze jeden, do podpitej Arlette. Podałam jej nazwę motelu, w którym się zatrzymałam, oraz numer telefonu, pod jakim byłam uchwytna.

Obudziłam się około dziesiątej z pierwszymi oznakami bólu głowy – tak jakbym miała kaca, choć przecież nic nie piłam. Vegas tak właśnie na mnie wpływa – wywołuje napięcie połączone ze strachem, na które mój organizm reaguje objawami grypy. Zażyłam dwa tylenole i długo stałam pod prysznicem, usiłując zmyć z siebie uczucie, że zaraz zrobi mi się niedobrze. Czulałam się, jakbym zjadła pięć kilogramów zimnego popcornu z masłem, który następnie popiłam płynem z ogromną ilością sacharyny.

Gdy wyszłam na zewnątrz, oślepiło mnie światło i musiałam zmrużyć oczy. Na szczęście powietrze było rześkie, a miasto za dnia

wydawało się przygaszone i zmałe, przywrócone do właściwych proporcji. Za hotelem rozciągała się pustynia przysłonięta bladą mgiełką, która przy horyzoncie przybierała barwę delikatnie fiołkową. Wiał łagodny i suchy wietrzyk i jedynie lśniąca promienie słońca błyszczące w odległych pustynnych kałużach niosły zapowiedź nadchodzącego upału. Monotonie pozbawionego drzew i okolonego wianuszkami odległych wzgórz pustkowia przełamowały kępki srebrnej od kurzu bylicy.

Wstąpiłam na pocztę, skąd wysłałam przelewem pięćdziesiąt dolarów dla mojego przyjaciela, po czym udałam się pod adres, który od niego dostałam. Sharon Napier mieszkała w jednopiętrowym bloku położonym na obrzeżach miasta. Łososiowy tynk gdzieś odłaził, co wyglądało, jakby nocą podkładały się tu jakieś zwierzęta, żeby obgryzać krawędzie. Dach był prawie płaski, obsypany kamieniami, a żelazna poręcz słała smugi rdzy w dół budynku. Krajobraz ograniczał się do zaledwie trzech elementów: skał, jukki i kaktusów. Na blok składało się dwadzieścia segmentów skupionych wokół basenu w kształcie nerki, oddzielonego od parkingu ciemnobrązowym murem z pustaków. W basenie pluskało się kilkoro dzieciaków, a na podeście stała kobieta w średnim wieku; otwierała kluczem drzwi, przytrzymując papierową torbę z zakupami pomiędzy biodrem a drzwiami. Chłopiec pochodzenia meksykańskiego polewał szlauchem chodniki. Po obu stronach bloku stały jednorodzinne domy. Z tyłu ulicy widoczna była wolna działka budowlana.

Mieszkanie Sharon znajdowało się na parterze, jej nazwisko widniało schludnie wytłoczone na pasku białego plastiku, przymocowanym do skrzynki pocztowej. Zasłony były zasłonięte, ale niektóre haczyki w karniszu trochę się poluzowały, w związku z czym pomiędzy firankami powstała szpara, przez którą zobaczyłam beżowy stół z laminatu oraz dwa beżowe, wyściełane plastikowe krzesła kuchenne. W jednym kącie stołu na stosie papierów stał telefon, a zaraz obok kubek do kawy z odbitym na krawędzi półksiężycem jaskraworóżowej szminki. Na spodku leżał zgaszony papieros, również z różowym śladem. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Szybko pokonałam przejście łączące dziedziniec z tyłami budynku.



Numer mieszkania Sharon był zaznaczony również na drzwiach kuchennych. Znajdowały się tam jeszcze cztery inne wejścia od kuchni, każde z niewielkim prostokątem otoczonym sięgającym ramion murem z pustaków. Zapewne miała to być namiastka tarasu. Przed murem wzdłuż chodnika ustawione były pojemniki na śmieci. W mieszkaniu Sharon firanki w kuchni były zaciągnięte. Wślizgnęłam się na mały taras. Ustawiała na nim sześć doniczek z geranium. Stały również dwa oparte o ścianę składane aluminiowe krzesła, oraz sterta starych gazet przy drzwiach. Po prawej u góry było małe okienko, a dalej większe. Nie wiedziałam, czy znajduje się tam sypialnia Sharon, czy też jej sąsiadów. Przyjrzałam się wolnej działce budowlanej, po czym opuściłam taras. Poszłam chodnikiem w lewo i w ten sposób po chwili znowu znalazłam się na drodze. Wsiadłam do samochodu i ruszyłam do kasyna Fremont.

Czułam się, jakbym nigdy stąd nie wychodziła. Kobieta w ciemnoniebieskim garniturze nadal stała przy do automacie na ćwierćdolarówki, włosy miała spięte w lśniący mahoniowy koczek na czubku głowy. Wokół stołów do gry w kości kłębił się ten sam, jakby przyciągany magnetyczną siłą tłum. Krupier popychał żetony tam i z powrotem swoimi małymi grabkami, jakby porządkował drogocenny bałagan. Kelnerka krążyła z tacą pełną drinków, a krępy mężczyzna, który, jak zgadywałam, był ochroniarzem w cywilu, przechadzał się wolnym krokiem, próbując wyglądać na turystę, któremu przestało dopisywać szczęście. W foyer jakaś wokalistka wykonywała nieco nudny repertuar złożony z wesołych piosenek z broadwayowskich musicali. Mignęła mi przed oczami, gdy tak z uczuciem prezentowała swój występ przed prawie pustą salą. Jej twarz w świetle reflektorów była koloru pudrowego różu.

Z łatwością odnalazłam Sharon Napier. Była wysoka, w butach na obcasach miała co najmniej sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu. Typ kobiety, którą podziwia się od dołu do góry. Długie kształtne nogi wyglądały smukło w czarnych siateczkowych pończochach; krótka czarna spódniczka była rozkloszowana w górnej części ud. Miała wąskie biodra, płaski brzuch, a wypchnięte do przodu piersi tworzyły dwa wzgórciki. Była w czarnej bluzce z głębokim dekoltem

i wyhaftowanym nad lewą piersią imieniem. Włosy w kolorze popielaty blond w świetle halogenów wydawały się bezbarwne, a intensywnie zielone oczy musiały swój fluorescencyjny blask zawdzięczać barwnym szkłom kontaktowym. Skórę miała jasną i nieskazitelną, owal twarzy biały i delikatny jak skorupka jajka. Dorodność pełnych i szerokich ust podkreślała jaskraworóżowa szminka. Robiły wrażenie ust stworzonych do niezgodnych z naturą poczynań. W jej zachowaniu kryła się jakaś obietnica zaimprovizowanego, ale boskiego seksu, który miał swoją cenę i nie była ona niska.

Karty rozdawała automatycznym ruchem, bardzo szybko. Wokół stołu, przy którym pracowała, przycupnęło na stołkach trzech mężczyzn. Żaden nie odzywał się ani słowem. Komunikacja między nimi polegała na prawie niewidocznym uniesieniu ręki – karty odwrócone, zakład postawiony; nieznaczne poruszenie ramieniem – odkrycie karty z wierzchu. Dwie na dół, jedna do góry. Flik, flik. Jeden z mężczyzn skrobął krawędzią karty o stół, co oznaczało, że sprawdza. W drugiej rundzie któryś trafił blackjacka. Wypłaciła mu żetony o wartości dwustu pięćdziesięciu dolarów. Widziałam, jak pożera ją wzrokiem, podczas gdy ona przerzucała, tasowała i rozdawała karty. Był chudy, o wąskiej łysiejącej głowie i ciemnych wąsach. Rękawy koszuli miał podwinięte, pod pachami tworzyły się plamy potu. Oczy mężczyzny wędrowały od jej stóp, poprzez całe ciało, aż do idealnej twarzy – chłodnej i czystej, z błyszczącymi, zielonymi oczami. Nie zwracała na niego szczególnej uwagi, ale miałam przecucie, że tych dwoje może później ubić mały interes na boku. Wycofałam się do innego stolika, skąd mogłam ją obserwować z bezpiecznego dystansu. O wpół do drugiej miała przerwę, zastąpiła ją inna rozdająca. Sharon przeszła przez kasyno i skierowała się do wydzielonego miejsca odpoczynku, gdzie zamówiła colę i zapaliła papierosa. Poszłam za nią.

– Sharon Napier? – zapytałam.

Podniosła wzrok. Jej oczy otoczone były firanką ciemnych rzęs. We fluorescencyjnym świetle ich zieleń przybierała barwę turkusową.

– Chyba się nie znamy – zauważyła chłodno.

– Jestem Kinsey Millhone – przedstawiłam się. – Czy mogę usiąść?

Wzruszyła ramionami, co miało oznaczać, że nie ma nic przeciwko. Sięgnęła do torebki po puderniczkę i sprawdziła makijaż oczu, usuwając niewielką smugę z górnej powieki. Widać było, że jej rzęsy są sztuczne, jednak i tak robiły wrażenie, nadając oczom egzotycznie skośny kształt. Wsunęła mały palec do małego różowego słoiczka i nałożyła na usta świeżą porcję błyszczczyka.

– W czym mogę pomóc? – zapytała, rzucając mi szybkie spojrzenie znad lusterka w puderniczkę.

– Badam sprawę śmierci Laurence’a Fife’a.

Na te słowa zamarła. Przerwała poprawianie makijażu, całkowicie znieruchomiła. Gdybym chciała zrobić jej zdjęcie, to byłby idealny moment. Minęła sekunda i Sharon odzyskała zdolność ruchu. Z głośnym trzaskiem zamknęła puderniczkę i wrzuciła z powrotem do torebki. Podniosła do ust papierosa. Zaciągnęła się głęboko, cały czas nie spuszczać ze mnie wzroku. Strzepnęła popiół.

– Był z niego kawał skurwysyna – powiedziała szorstko, a wraz z każdym słowem z jej ust wylatywał obłoczek dymu.

– Tak właśnie słyszałam, Sharon – odrzekłam. – Długo dla niego pracowałaś?

Na jej ustach zagościł uśmiech.

– Cóż, na pewno dobrze się przygotowałaś do naszej rozmowy. Założę się, że znasz odpowiedź na to pytanie.

– Mniej więcej – przyznałam. – Ale na wiele innych – nie. Za to ty je znasz.

– Czego się chcesz dowiedzieć?

Wzruszyłam ramionami.

– Jaki był w pracy? Co czułaś, kiedy umarł?

– W pracy był zwykłym kutasem. Czułam się świetnie, kiedy umarł – odpowiedziała lakonicznie. – Na wypadek gdybyś się nie domyśliła – nienawidziłam pracy sekretarki.

– Trzeba przyznać, że tutaj bardziej pasujesz – zauważyłam.

– Słuchaj, nie będę się z tobą wdawać w dyskusje – powiedziała stanowczo. – A tak właściwie, to kto cię tu przysłał?

Tym razem postanowiłam zagrać w otwarte karty:

– Nikki.

Wydawała się zaskoczona.

– Przecież ona jest w więzieniu, tak?

Potrząsnęłam głową.

– Już wyszła.

Potrzebowała chwili, żeby to przemyśleć, a potem nagle stała się bardziej chętna do współpracy:

– Nikki jest nadziana, prawda?

– Biedna nie jest, jeśli o to ci chodzi.

Zgasła papierosa, zginając niedopałek w pół i starannie zduszając żarzącą się końcówkę.

– Kończę o siódmej. Wpadnij do mnie do domu, utniemy sobie pogawędkę.

– Może powiesz mi coś już teraz?

– Nie tutaj – powiedziała.

Wyrecytowała swój adres z szybkością karabinu maszynowego, a ja posłusznie zapisałam w notesie. Wtedy spojrzała w lewo. W pierwszej chwili sądziłam, że chce podnieść dłoń w geście powitania, bo zobaczyła kogoś znajomego. Zaczęła się nawet uśmiechać, ale szybko się powstrzymała. Spojrzała na mnie niepewnie i przesunęła lekko, żebym nie mogła zobaczyć, kogo dostrzegła. Odruchowo popatrzyłam w tamtą stronę, ponad jej ramieniem, ale ona sprytnie odwróciła moją uwagę, dotykając mi wierzchu dłoni paznokciem. Spojrzałam na nią. Stała nade mną z nieobecny wyrazem twarzy:

– To był mój szef. Koniec przerwy.

Kłamała w ten sam sposób co ja, z pewną dozą zuchwałej bezczelności, tak jakby rzucała wyzwanie rozmówcy, żeby sprzeciwił się albo zaprzeczył.

– W takim razie do zobaczenia o siódmej – powiedziałam.

– Powiedzmy siódma czterdzieści pięć – odparła lekko. – Potrzebuję czasu, żeby trochę ochłonać po pracy.

Wyrwałam kartkę z notesu i zapisałam na niej swoje nazwisko i nazwę motelu, w którym się zatrzymałam. Sharon złożyła kartkę kilka razy i włożyła zwitek do paczki papierosów, pod celofanowe opakowanie. Odeszła, nie oglądając się za siebie, z wdziękiem kołysząc biodrami.

Ze zduszonego niedopałka nadal unosiła się delikatna smużka dymu. Mój żołądek cichutko zaprotestował. Miałam ochotę trochę się tutaj pokręcić, po prostu by nie tracić jej z oczu, ale ręce mi się spociły i marzyłam tylko o tym, żeby położyć się do łóżka. Nie czułam się dobrze i zaczynało do mnie docierać, że objawy grypy mogą jednak wskazywać na prawdziwą chorobę. Ból głowy, który niepostrzeżenie załagał się w moim karku, teraz rozlewał się aż do czoła. Wyszłam przez hol. Świeże powietrze przyniosło mi ulgę, ale tylko chwilową.

Wróciłam do Bagdadu, gdzie kupiłam puszkę 7Up z automatu. Powinam coś zjeść, ale nie miałam pewności, czy wszystkiego nie zwrócę. Było wczesne popołudnie, a ja umówiłam się dopiero na wieczór. Umieściłam na drzwiach wywieszkę „Proszę nie przeszkadzać!” i wczłogałam się z powrotem do niepościelonego łóżka, ciasno otulając się kołdrą. Zaczynało mnie łupać w kościach. Minęło sporo czasu, zanim poczułam, że jest mi ciepło.

## 13

Przeszywająco ostry dźwięk telefonu gwałtownie wyrwał mnie ze snu. W pokoju było ciemno. Nie miałam pojęcia, która jest godzina, ani w jakim łóżku się znajduję. Byłam spocona i rozgrzana. Zrzuciłam z siebie kołdrę i, oparta na łokciu, po omacku szukałam telefonu. Szybkim ruchem włączyłam światło, osłaniając oczy przed jaskrawym blaskiem.

– Halo?

– Cześć, Kinsey, mówi Sharon. Zapomniałaś o spotkaniu?

Spojrzałam na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Cholera.

– Boże, przepraszam – zajęczałam. – Zasnęłam. Poczekasz na mnie jeszcze chwilę? Już się zbieram.

– Jasne – powiedziała chłodnym tonem, jakby miała ciekawsze plany. – Och, poczekaj chwilę. Ktoś puka do drzwi.

Odkładana słuchawka stuknęła; wyobraziłam sobie, jak leży na twardej powierzchni laminowanego blatu. Cierpliwie czekałam, aż wróci, wsłuchując się w odgłosy z drugiej strony linii. Nie mogłam wręcz uwierzyć, że zasnęłam, i byłam na siebie wściekła za swoją głupotę. Słyszałam, jak Sharon otwiera drzwi i wydaje zduszony okrzyk zaskoczenia. I wtedy dobiegł mnie krótki, głuchy odgłos wystrzału.

Gwałtownie usiadłam, mrużąc oczy. Przycisnęłam ucho do głośnika, a rękę do mikrofonu. Co się tam działo? Po stronie Sharon ktoś podniósł słuchawkę. Spodziewałam się usłyszeć jej głos i już miałam zwrócić się do niej po imieniu, ale jakiś impuls kazał mi trzymać buzię na kłódkę. W słuchawce słyszałam czyjś oddech, stłumione dyszenie jakiegoś mężczyzny lub jakiejś kobiety. Ten ktoś szepnął: „Halo”, a mnie przeszedł lodowaty dreszcz. Zamknęłam oczy, modląc się, żeby udało mi się zachować absolutną ciszę; strach całkowicie sparaliżował mi ciało, w uszach słyszałam dudnienie własnego serca. Po drugiej stronie linii ktoś wydał z siebie cichy, chropowaty śmie-

szek, po czym połączenie zostało przerwane. Trzasnęłam słuchawką i szybko włożyłam buty; już wychodząc, sięgnęłam po kurtkę.

Przyływ adrenaliny sprawił, że przestałam odczuwać ból. Ręce mi się trzęsły, ale przynajmniej byłam już na chodzie. Zamknęłam drzwi na klucz i wskoczyłam do auta; kluczyki dzwoniły, kiedy usiłowałam trafić do stacyjki. Wreszcie odpaliłam i ostro wycofałam, po czym skierowałam się w stronę mieszkania Sharon. Sięgnęłam do schowka po latarkę, by sprawdzić, czy dobrze działa. Światło było mocne. Jechałam, pełna coraz gorszych obaw. Sharon albo próbowała grać ze mną w jakieś gierki, albo była martwa; nie miałam prawie wątpliwości, która z tych dwóch wersji jest prawdziwa.

Zatrzymałam się po drugiej stronie ulicy. Budynek wydawał się spokojny. Nikt się nie kręcił wokół. Nie było tłumu gapiów, samochodów policyjnych zaparkowanych na ulicy ani wycie syren nie zwiastowało ich nadciągania. Na miejscach parkingowych stało wiele samochodów, a w prawie każdym mieszkaniu świeciło się światło. Sięgnęłam na tylne siedzenie, żeby wyjąć parę gumowych rękawiczek z walizki. Przez przypadek dotknęłam lufy mojego małego automatu i rozpaczliwie zapragnęłam włożyć go do kieszeni wiatrówki. Nie wiedziałam przecież, jaką sytuację zastanę w jej mieszkaniu. Nie wiedziałam, kto tam będzie na mnie czekał. Z drugiej strony, myśl o tym, że nakryją mnie z załadowanym pistoletem w mieszkaniu, którego lokatorkę właśnie zastrzelono, wcale mi się nie spodobała. Zostawiłam broń w walizce i wysiadłam. Zamknęłam auto i wrzuciłam kluczyki do kieszeni dżinsów.

Weszłam na znajdujące się przed budynkiem podwórko. Było ciemno, ale wzdłuż chodnika w strategicznych punktach stały wbudowane lampy, a sześć kolejnych – zielonych i żółtych – wyrzucało w niebo snop światła, oświetlając rosnące tu kaktusy. W efekcie było raczej kolorowo niż jasno. W mieszkaniu Sharon nie świeciło się, zasłony były starannie zaciągnięte. Zapukałam do drzwi.

– Sharon?

Mówiłam ściszym głosem, jednocześnie wpatrując się w jej okna. Miałam nadzieję, że pojawi się w nich światło. Nałożyłam gumowe rękawiczki i spróbowałam poruszać gałką. Zamknięte na klucz. Zapu-

kałam jeszcze raz, powtarzając jej imię. Z wewnątrz nie dobiegł mnie żaden dźwięk. Co zrobię, jeśli jednak ktoś tam jest?

Krótkim chodnikiem przeszłam na tyły budynku. W jednym z mieszkań na górze grała muzyka. Łupało mnie w krzyżu, a policzki mi płonęły, jakbym właśnie skończyła biegać. Nie wiedziałam, czy to z powodu grypy, czy ze strachu. Szybko i cicho szłam chodnikiem z tyłu domu. Z pięciu znajdujących się tam kuchni tylko u Sharon było ciemno. Nad wszystkimi drzwiami kuchennymi świeciła się żarówka, rzucając słabe, ale wystarczająco jasne światło na niewielki taras. Potrząsnęłam klamką. Zamknięte. Zapukałam w szybę.

– Sharon?

Nasłuchiwałam, czy z głębi mieszkania nie dochodzą jakieś dźwięki. Jednak panowała tam całkowita cisza. Przyjrzałam się uważnie drzwiom. Jeżeli trzymała na zewnątrz zapasowy komplet kluczy, to musiał on być gdzieś tutaj ukryty. Rzuciłam okiem na szybki w drzwiach. Jeśli nie uda mi się dostać do środka w inny sposób, zawsze mogę rozbić jedną z nich. Przesunęłam palcami po framudze. Za wąska, klucze by się nie zmieściły. Doniczki na oko stały równiutko. Szybko zajrzałam pod każdą z nich, by się przekonać, że nie ma tam nic oprócz brudu. Wycieraczki nie było. Podniosłam stertę starych gazet, potrząsając nimi z lekka, ale nie wypadły z nich klucze. Otaczający mały taras murek zbudowany był z dekoracyjnych pułtaków, z których każdy miał jakieś trzydzieści centymetrów długości i mnóstwo wgłębień – każde z nich było kuszącym, choć może niespecjalnie oryginalnym miejscem na schowanie klucza. Miałam nadzieję, że nie będę musiała ich wszystkich po kolei przeszukać. Jeszcze raz rzuciłam okiem na szybki, zastanawiając się, czy nie byłoby lepiej po prostu wybić jedną z nich owiniętą w jakąś szmatę pięścią. Spojrzałam w dół. W kącie stała oparta o mur zielona plastikowa konewka, a koło niej leżała kielnia. Przykucnęłam i zaczęłam wsuwać prawą rękę w każdy z dekoracyjnych betonowych zawijasów. W jednym był klucz.

Stałam na placach i szybkim ruchem przekręciłam w lewo żarówkę nad kuchennymi drzwiami. Taras zatonął w mroku. Włożyłam klucz do dziurki i uchyliłam drzwi.



– Sharon! – szepnęłam ochryplym głosem. Miałam zamiar nie świecić, ale musiałam się upewnić, czy jestem sama. Chwyciłam latarkę w ten sposób, żeby w razie potrzeby zdzielić nią napastnika w głowę, i po omacku przesuwałam się na prawo, aż natknęłam się na włącznik. Halogen nad zlewem włączył się. Zlokalizowałam włącznik do głównej lampy, był na ścianie naprzeciwko. Przeszłam przez kuchnię i zapaliłam światło, od razu starając się zniknąć z pola widzenia ewentualnego napastnika. Przykucnęłam, oparta o lodówkę, i wstrzymałam oddech. Nasłuchiwałam uważnie. Nic. Miałam cholerną nadzieję, że nie robię z siebie straszliwej idiotki. Może odgłos, który mnie zaniepokoił, był dźwiękiem strzelającego korka od szampana, a Sharon w tej chwili przebywała w zaciemnionej sypialni, w trakcie występnych aktów seksualnych z wykorzystaniem specjalnie tresowanego pieska i pejcza.

Zajrzałam do salonu. Sharon leżała bezwładnie na podłodze w jaskrawym, żółto-zielonym, welurowym szlafrocisku. Mogła nie żyć albo bardzo głęboko spać, a ja ciągle nie miałam pewności, czy ktoś poza mną może być w tym mieszkaniu. Dwa kroki i już byłam w salonie. Stałam przyciśnięta plecami do ściany i odczekałam chwilę, zanim z powrotem wyjrzałam do pograżonego w ciemnościach przedpokoju. Nic nie było widać. Zauważyłam włącznik zaraz po lewej i szybkim ruchem go wcisnęłam. Jaskrawe światło zalało przedpokój; zorientowałam się, że w tej części sypialni, którą widziałam, nie było nikogo. Wymacałam włącznik w sypialni i zapaliłam światło, rozglądając się szybko dookoła. Domyśliłam się, że otwarte drzwi po mojej prawej prowadzą do łazienki. Mieszkanie nie wyglądało na splądrowane. Drzwi szafy przesuwnej były zamknięte i wcale mi się to nie podobalo. Z łazienki dobiegł słaby, metaliczny dźwięk. Zamarłam. Serce skoczyło mi do gardła, kucnęłam. Ja i moja latarka. Cholernie żałowałam, że jednak nie wzięłam ze sobą pistoletu. Cichy metaliczny pisk powtórzył się jeszcze raz i jeszcze raz, i nagle jego stały rytm wydał mi się znajomy. To przekłeta mała myszka biegająca w kółko w swoim kołowrotku. Jej klatka stała na blacie łazienkowym. Włączyłam światło. Łazienka była pusta.

Podeszłam do szafy i rozsunałam drzwi, licząc się z tym, że zaraz

ktoś może roztrzaskać mi głowę. Jednak w obu częściach szafy znajdowały się tylko ubrania. Odetchnęłam i jeszcze raz szybko przeszukałam mieszkanie. Upewniłam się, że kuchenne drzwi są zamknięte na klucz i zaciągnęłam zasłony w oknie nad zlewem. A potem wróciłam do Sharon. Włączyłam światło w salonie i uklękłam obok niej. Dziura po kuli znajdowała się nisko na szyi. Wyglądała jak medalion, w którym zamiast zdjęcia bliskiej osoby było żywe ciało. Krew wsiąkła w dywan pod jej głowę i ściemniała, była teraz koloru surowej wątróbki. We włosach zobaczyłam odpryski kości. Domyśliłam się, że siła uderzenia pędzącego pocisku roztrzaskała jej kręgosłup. Szczęściara. Zero bólu. Prawdopodobnie odrzuciło ją do tyłu. Ramiona zwisały z jednej strony ciała, biodra były lekko przekręcone. Oczy miała półprzymknięte, a ich świetliście zielony kolor wydawał się teraz zgaszony. Blond włosy po śmierci stały się zupełnie szare. Gdybym zjawiała się na czas, być może nie byłaby teraz martwa. Chciałam ją przeprosić za złe maniery, za spóźnienie, za to, że zachorowałam i przyszedłam za późno. Chciałam potrzymać ją za rękę i poprosić, by wróciła do życia, ale dobrze wiedziałam, że to niemożliwe. Wiedziałam również, iż gdybym przybyła na czas, być może teraz również leżałabym martwa.

Uważnie rozejrzałam się po pokoju. Dywan był wytarty ze starości, więc nie odcisnęły się na nim żadne ślady. Podeszłam do okna i poprawiłam zasłony, tak by nie została w nich nawet najmniejsza szparka, przez którą ktoś mógłby zajrzeć do oświetlonego wnętrza. Jeszcze raz szybko obezłam mieszkanie, tym razem zwracając uwagę na szczegóły. Łóżko było rozłożone. Podłoga w łazience zasłana wilgotnymi ręcznikami. Brudne ubrania wylewały się z pojemnika. Na brzegu wanny leżała popielniczka z kilkoma zgiętymi w pół, zduszonymi niedopałkami. Dokładnie tak robiła to Sharon. Mieszkanie składało się właściwie tylko z tych trzech pomieszczeń – salon z dużym stołem w pobliżu okien, kuchnia i sypialnia. Meble wyglądały, jakby były kupione w sprzedaży wysyłkowej, i miałam wrażenie, że niewiele z nich należało do niej. W mieszkaniu panował pewien bałagan, ale raczej zrobiła go sama Sharon – w zlewie walały się brudne naczynia, kosz na śmieci nie był opróżniony. Przejrzałam papiery upchnięte pod tele-

fonem, sporą kolekcję upomnień i niezapłaconych w terminie rachunków. Najwyraźniej jej skłonność do finansowej bez troski nie zmieniła się od czasów w Santa Teresa. Wzięłam cały stosik i włożyłam do kieszeni spodni.

Znowu usłyszałam metalowy pisk. Wróciłam do łazienki przypatrzyć się głupiutkiemu małemu stworzeniu. Było drobne i brązowe, z jaskrawoczerwonymi oczkami. Cierpliwie przebierało łapkami, pokonując swoją drogę donikąd.

– Przepraszam – wyszeptałam i poczułam na ustach słony smak łez. Potrząsnęłam głową. To nie myszkę powinnam przeproszać i dobrze o tym wiedziałam. W jej pojniku było dużo wody, ale plastikowa miseczka na jedzenie była pusta. Napełniłam ją zielonym granulatem, a następnie wróciłam do telefonu i wybrałam numer centrali, gdzie poprosiłam o połączenie z policją z Las Vegas. W głowie kołatało mi się ostrzeżenie porucznika Dolana. Ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebowałam, było, żeby policja z Las Vegas zatrzymała mnie na przesłuchanie. Po dwóch sygnałach w słuchawce odezwał się jeden z tych ochrypłych, nadgorliwych głosów.

– Och, dobry wieczór – powiedziałam. Głos mi drżał, musiałam szybko odchrząknąć. – Ja, eee, chwilę temu usłyszałam jakiś hałas w mieszkaniu sąsiadki, a teraz pukam do niej, a ona nie odpowiada. Martwię się, że coś sobie zrobiła. Czy moglibyście jakoś to sprawdzić?

Miałam wrażenie, że facet uznał zgłoszenie za jedno z tych irytujących i nudnych, ale zapisał adres Sharon i powiedział, że kogoś wyśle.

Spojrzałam na zegarek. Spędziłam w tym mieszkaniu prawie pół godziny, nadszedł czas, by się stąd wynosić. Nie chciałam, żeby zadzwonił telefon. Nie chciałam, żeby ktoś niespodziewanie zapukał do drzwi. Ruszyłam w kierunku kuchennego wyjścia, po drodze gasząc światła i nieświadomie nasłuchując, czy ktoś nie nadchodzi. Nie miałam chwili do stracenia.

Ostatni raz spojrzałam na Sharon. Wolałabym nie zostawiać jej samej, ale nie było sensu dłużej zwlekać. Nie mogłam dopuścić, żeby połączono mnie z jej śmiercią, i nie chciałam być uziemiona w Las Vegas aż do przesłuchania przed koronerem. I z całą pewnością nie

chciałam, by porucznik Dolan dowiedział się, że tu byłam. Może zabiła ją mafia, a może jakiś alfons? Albo ten facet z kasyna, który tak pożądlawie się jej przyglądał, kiedy odliczała jego dwieście pięćdziesiąt dolarów. A może wiedziała coś na temat Laurence'a Fife'a. Coś, czego nie powinna nikomu powtarzać.

Przeszłam obok niej. Martwe palce – każdy zakończony długim, pomalowanym na różowo paznokciem – wydawały się rozluźnione i pełne wdzięku. Raptem wstrzymałam oddech. W kasynie wzięła ode mnie karteczkę z zanotowanym nazwiskiem i nazwą motelu, wsunęła ją do paczki papierosów. Gdzie ta paczka się podziała? Szybko rozejrzałam się dokoła, serce mi waliło. Nie było jej na stoliku, choć leżał tam papieros, którego musiała odłożyć, kiedy poszła otworzyć drzwi. Teraz został z niego tylko idealnie równy słupek popiołu. Paczki papierosów nie było na oparciu kanapy ani na ladzie. Jeszcze raz sprawdziłam łazienkę, nasłuchując, czy policja już nie jedzie. Mogłabym przysiąc, że gdzieś z oddali zaczynał dobiegać przenikliwy dźwięk syreny. Wpadłam w popłoch. Cholera. Musiałam odnaleźć ten przekłety karteluszek. W koszu w łazience znalazłam mnóstwo chusteczek higienicznych, opakowanie z mydła i niedopałki papierosów. Stolik przy łóżku – nic. Komoda – zero. Wróciłam do salonu i niechętnie przyjrzałam się Sharon. W żółtozielonym welurowym szlafrocisku były dwie głębokie kieszenie. Zacisnęłam zęby i ostrożnie je obmacałam. Paczka papierosów była w prawej, zostało w niej może sześć papierosów, a niedbale wyrwana z notesu karteczka z moim nazwiskiem nadal znajdowała się pod celofanem. Pospiesznie schowałam ją do kieszeni kurtki.

Wyłączyłam pozostałe światła, podkradłam się do kuchennych drzwi i uchylłam je odrobinę. Obok mieszkania znajdującego się po prawej brzęknęła pokrywa kontenera na śmieci.

– Lepiej powiedz zarządcy, że przepaliła jej się żarówka – wyraziła swoje zdanie kobieta. Wydawało mi się, że stoi tuż koło mnie.

– Czemu nie powiedziec tego po prostu *jej*? – Mężczyzna wydawał się trochę zirytowany.

– Chyba nie ma jej w domu. Nie świeci się.

– Owszem, jest. Minutę temu się świeciło.

– Sherman, nikogo tam nie ma. W środku jest całkiem ciemno. Musiała wyjść frontowymi drzwiami – powiedziała kobieta. Wycie syreny było już bardzo głośne, dźwięk przypominał zacinającą się płytę.

Serce waliło mi tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z klatki piersiowej. Wymknęłam się na tonący w mroku taras, gdzie zatrzymałam się na chwilę, żeby wrzucić klucze do małej szczeliny za kolumną. Miałam cholerną nadzieję, że w pośpiechu nie dołączyłam własnych kluczyków do samochodu. Dyskretnie opuściłam taras i skręciłam w lewo, zmierzając w kierunku ulicy. Sporo wysiłku mnie kosztowało, żeby spokojnym krokiem przejść koło wozu patrolowego zaparkowanego od frontu. Otworzyłam kluczykiem drzwi i wsiadłam do środka, pospiesznie wciskając blokadę, jak gdyby ktoś mnie gonił. Zrzuciłam gumowe rękawiczki. Głowa mi pękała z bólu, czułam, że jestem cała pokryta lepkiem potem, a do gardła napływa mi fala żółci. Muszę się stąd wydostać. Konwulsyjnie przełknęłam ślinę. Mdłości się wzmogły i poczułam, że jeszcze chwila, a zwymiotuję. Ręce drżały mi tak bardzo, iż miałam trudności z odpaleniem samochodu. Kiedy wreszcie mi się udało, ostrożnie zjechałam z krawężnika i odjechałam.

Kiedy przejeżdżałam koło frontowego wejścia, zobaczyłam policjanta w mundurze, który skradał się na tyły mieszkania Sharon z bronią na biodrze. Wydało mi się to trochę przesadną interwencją, jak na zwykłe sąsiedzkie zgłoszenie. Nagle przeszedł mnie lodowaty dreszcz. Kto wie, być może ktoś inny zadzwonił ze zgłoszeniem i opisał sytuację bardziej precyzyjnie niż ja. Pół minuty dłużej, i zamiast bezpiecznie wymknąć się z mieszkania Sharon, musiałabym się gęsto tłumaczyć. Ta myśl wcale mi się nie podobała.

Wróciłam do motelu Bagdad i spakowałam rzeczy, po czym starannie wytarłam odciski palców. Czułam, że znowu mam stan podgorączkowy. Marzyłam tylko o tym, żeby się z powrotem zawinąć w kołdrę i zasnąć. Głowa mi pękała. Podeszłam do recepcji. Tym razem urzędowała tam żona kierownika nocnej zmiany. Wyglądała jak dziewczę z tureckiego haremu – jeżeli można tu użyć słowa „dziewczę”. Miała jakieś sześćdziesiąt pięć lat, a jej pokryta delikatną siateczką zmarszczek cera przypominała coś, co zbyt długo znajdo-

wało się w suszarce. Na siwych włosach tkwił blady satynowy toczek, z ułożoną w prowokacyjny sposób woalką.

– O piątej rano wyjeżdżam, więc pomyślałam, że ureguluję rachunek dziś wieczór – wyjaśniłam.

Podaliśmy jej numer pokoju, a ona poszperała w segregatorze, żeby odnaleźć moją kartę meldunkową. Byłam niespokojna, zdenerwowana i chora, chciałam jak najszybciej się stąd wynieść. Zamiast tego musiałam swobodnie gawędzić z tą kobietą, która ruszała się jak mucha w smole.

– Gdzie pani teraz zmierza? – zapytała beznamiętnie, podliczając koszty mojego pobytu na kalkulatorze. Pomyliła się i musiała zacząć wszystko od początku.

– Do Reno – skłamałam niemal automatycznie.

– Szczęście dopisało?

– Słucham?

– Dużo pani wygrała?

– O tak, całkiem nieźle na tym wyszłam – odrzekłam niecierpliwie.

– Sama jestem zaskoczona.

– To odwrotnie niż większość gości – zauważyła. – Nie będzie pani dzwoniła pod zamiejscowe numery przed wyjazdem? – Rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie.

Pokręciłam głową.

– Idę prosto do łóżka.

– Powinna się pani przespać – zgodziła się. Wypełniła kwitek pobrania opłaty z karty kredytowej, który podpisałam, i wzięłam swoją kopię.

– Nie wykorzystałam kuponów – powiedziałam. – Może pani je wziąć z powrotem.

Bez słowa włożyła kupony do szuflady.

Nie minęło pięć minut, a ja – cud boski! – mknęłam po autostradzie dziewięćdziesiąt trzy, zmierzając na południowy wschód, w kierunku Boulder City. Tam zjechałam na autostradę dziewięćdziesiąt pięć i pojechałam na południe. Gdy dojechałam do Needles, poczułam, że koniecznie muszę odpocząć. Znalazłam tani motel i zameldowałam się, po czym znowu wczółgałam się pod kołdry i na dziesięć godzin za-

padłam w twardy sen. Nawet w stanie głębokiej nieświadomości  
czułam paraliżujący lęk przed tym, co zostało wprowadzone w ruch,  
i bezsensowne, bolesne poczucie winy z powodu roli – jakakolwiek by  
nie była – którą odegrałam w śmierci Sharon Napier.

Rano obudziłam się całkowicie w formie. Zjadłam wielkie śniadanie w knajpce po drugiej stronie ulicy – bekon, jajecznicą i tost z pieczywa żytniego popite świeżym sokiem z pomarańczy i trzema kubkami kawy. Potem zatankowałam samochód do pełna, sprawdziłam olej i ruszyłam w dalszą drogę. Po Las Vegas jazda przez pustynię była dla mnie przyjemnością. Nieograniczona przestrzeń, przygaszone kolory – łagodna, bardzo blada lawenda przyprószone delikatnym pyłem. Niebo było czyste, bezchmurne, błękitne. Pasma górskie wyglądały jak pomarszczona, ciemnoszara płachta zgniecionego aksamitu. Było coś pociągającego w tej dziewiczej ziemi, w tej ciągnącej się kilometrami nizinie bez jednego neonu. Jedynymi mieszkańcami tej krainy są szczury kangurowe i susły, kamieniste kaniony zamieszkują lisy długouchy i rysie stepowe. Gdy jedziesz z prędkością dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę, nie widzisz żadnych zwierząt, jednak rechot rzekotek drzewnych słyszałam nawet we śnie. Teraz, siedząc w pędzącym samochodzie, wyobrażałam sobie wyschnięte potoki, których pokryte gliną i żwirem dna, wypełnione są żółtobrazowymi jaszczurkami i stonogami. Aby funkcjonować w pustynnym środowisku, stworzenia te nauczyły się oszczędnie gospodarować wodą i unikać gorącego słońca. Na pustyni żyją również mrówki grzybiarki, które ścinają liście i najpierw noszą je na grzbietach jak parasolki przeciwsłoneczne, a następnie układają je na kształt wielkich parasoli plażowych w swoich podziemnych komnatach. Na myśl o tych pracowitych stworzonkach uśmiechnęłam się. Byłam zdecydowana nie pozwolić myślom krążyć wokół śmierci Sharon Napier.

Greg Fife'a znalazłam w małym, szarym, garbatym kamperze pod Durmid, na wschodnim wybrzeżu jeziora Salton Sea. Odszukanie go zajęło mi chwilę. Gwen mówiła, że Greg mieszka na łodzi, ale jego łódź chwilowo przebywała na lądzie, gdzie była malowana i odnawia-



na. Greg w tym czasie mieszkał w aluminiowej przyczepie, która wyglądała jak zwinięta w kłębek stonoga. W miniaturowym wnętrzu znajdował się składany stolik, teraz złożony na płasko i oparty o ścianę, wyściełana ławeczka pełniąca również funkcję łóżka, kompletnie blokujące drogę do zlewu krzesło reżyserskie, toaleta chemiczna i płyta grzejna. Greg otworzył dwie butelki piwa, które wyjął z ulokowanej pod zlewem lodówki wielkości kartonowego pudełka.

Wskazał mi wyściełaną ławeczkę i zabrał się do rozkładania znajdującego się między nami stolika. Jego jedyna noga opadła na podłogę, zapewniając blatowi wsparcie. W ten sposób zostałam skutecznie unieruchomiona i jedynym sposobem, żeby zapewnić sobie odrobinę przestrzeni, było obracanie się na boki. Greg wziął sobie krzesło reżyserskie, na którym odchylił się do tyłu. Przez chwilę przypatrywaliśmy się sobie nawzajem. Był bardzo podobny do Laurence'a Fife'a – gładkie ciemnobrązowe włosy, starannie ogolona, gładka twarz, ciemnobrązowe oczy, gęste ciemne brwi, kwadratowy podbródek. Wyglądał na mniej niż dwadzieścia pięć lat, ale jego uśmiech miał w sobie odrobinę arogancji, tak samo jak uśmiech ojca. Był mocno opalony, na kościach policzkowych dostrzegłam ślady oparzenia słonecznego. Miał szerokie ramiona, szczupłe ciało i gołe stopy. Ubrany był w czerwony bawełniany golf i postrzępione džinsy z obciętymi nogawkami, z których zwisały wyblakłe nitki. Upił łyk piwa.

– Myślisz, że jestem do niego podobny?

– Tak – odparłam. – To dobrze?

Greg wzruszył ramionami:

– Teraz to naprawdę bez znaczenia – powiedział. – Niewiele mieliśmy ze sobą wspólnego.

– Jak to?

– Boże! – zażartował. – Dajmy sobie spokój z tymi wstępnymi uprzejmościami i przejdźmy od razu do spraw osobistych, co ty na to?

Uśmiechnęłam się.

– Nie jestem szczególnie dobrze wychowana.

– Ja też nie – powiedział.

– Więc o czym chcesz najpierw porozmawiać? O pogodzie?

– Dajmy sobie z tym spokój. Wiem, po co tu przyjechałaś, więc przejdźmy do rzeczy.

– Dużo pamiętasz z tamtego okresu życia?

– Chciałbym jak najmniej.

– Ale terapeutów pamiętasz – zasugerowałam.

– Zgodziłem się na to, żeby sprawić przyjemność mamie – powiedział i uśmiechnął się, jak gdyby właśnie zdał sobie sprawę, że facetowi w jego wieku nie wypada mówić „mama”.

– Kilka razy pracowałam dla twojego ojca – rzekłam.

Udał, że to go wcale nie zainteresowało i zajął się zdrapywaniem etykiety paznokciem kciuka. Zastanawiałam się, co tak naprawdę wie o swoim ojcu i instynktownie postanowiłam nie wystawiać Laurence’owi Fife’owi pośmiertnych laurek. Mogłoby to zabrzmieć protekcyjnie albo fałszywie.

– Podobno był z niego niezły kawał drania – spróbowałam.

– Co ty nie powiesz?

Wzruszyłam ramionami.

– Co do mnie, to wcale nie uważałam, że jest taki zły. Był ze mną szczery. Podejrzewam, że miał trudny charakter. Nie sądzę, by wielu osobom udało się do niego zbliżyć.

– Tobie się udało?

– Nie – odpowiedziałam i lekko się przesunęłam na ławeczce. – Co myślisz o Nikki?

– Nic dobrego.

Uśmiechnęłam się.

– Postaraj się odpowiadać krótko, żebym mogła zanotować wszystkie twoje wypowiedzi w jednej linijce.

Nie chwycił przynęty. Przez chwilę piłam piwo, po czym oparłam podbródek na pięści. Czasami mam dość wyciągania na siłę informacji z ludzi, którzy po prostu nie chcą ze mną gadać.

– Może złożysz ten stół i wyjdziemy na zewnątrz? – zaproponowałam.

– Po co?

– Żeby się trochę, kurwa, przewietrzyć. A myślałeś, że po co?

Cicho się roześmiał i przesunął swoje długie nogi, tak żebym mogła

się wyślizgnąć zza stołu.

Sama byłam zaskoczona, że się tak ostro do niego odezwałam. Po prostu chwilowo mam dosyć ludzi, którzy są sprytni albo nadąsani, albo ostrożni, albo milczący. Potrzebowałam prostych odpowiedzi, najlepiej, żeby było ich dużo. I zależało mi na tym, tylko ten jeden raz, by nawiązać relację opartą na wzajemnym szacunku, a nie na zasadzie, że to ja muszę kombinować i pochlebiać. Szłam bez celu przed siebie – Greg był cały czas o krok za mną – i próbowałam się uspokoić. Wiedziałam, że to nie jego wina. Poza tym nigdy nie ufam sama sobie, kiedy czuję się jak ostatni sprawiedliwy.

– Przepraszam, że na ciebie naskoczyłam.

Jego przyczepa stała jakieś osiemnaście metrów od krawędzi wody. W pobliżu było jeszcze kilka większych przyczep, wszystkie zwrócone w kierunku jeziora, jak stado dziwacznych zwierząt, które przypełzły do wodopoju. Zdjęłam tenisówki, związałam razem sznurówki i zawiesiłam je sobie na szyi. Salton Sea przypomina całkowicie ujarzmiony ocean, fale na powierzchni wody są bardzo delikatne albo nie ma ich wcale. W wodzie nie widać żadnych roślin, pluska się tam tylko kilka ryb. Sprawia to dziwne wrażenie, jakby ktoś na moment unieruchomił fale, a następnie usunął z wody prawie wszystkie formy życia. Te, które pozostały, wydają się znajome, ale w jakiś subtelny sposób są inne, odmienione. Oglądać je, to jak patrzeć w przyszłość, w której płynący czas odmienił niektóre prawa natury. Położyłam na języku kilka kropel wody. Była tak słona, że aż zapiekło.

– Czy to woda z oceanu?

Greg uśmiechnął się, najwyraźniej niezrażony moim wcześniejszym wybuchem. Właściwie to wydawał mi się teraz bardziej przyjaźnie nastawiony.

– Jeśli masz ochotę na krótką lekcję geologii – powiedział – to dobrze trafiłaś.

Po raz pierwszy w jego głosie zabrzmiało coś w rodzaju entuzjazmu.

– Jasne, czemu nie?

Kamień zastąpił mu szkolną krede, a wilgotny piasek – tablicę. Naskicował zarys mapy:

– Spójrz, to jest linia brzegowa Kalifornii, a to jest Kalifornia Dolna. A tutaj jest Meksyk. Dokładnie na czubku Zatoki Kalifornijskiej znajduje się Yuma, mniej więcej na południowy wschód stąd. A my jesteśmy tutaj – mówił, wskazując opisywane miejsca na swojej piaskowej mapie. – Rzeka Kolorado skręca tutaj w prawo, a następnie płynie w górę mapy, przez Las Vegas. Tu jest Zapora Hoovera. Następnie płynie przez stan Utah, a potem do Kolorado, ale to już nas nie interesuje. A teraz...

Odrzucił kamień. Teraz rysował palcem, zerkając na mnie co chwila, żeby upewnić się, że go słucham:

– Ten obszar nazywa się Salton Sink. Położony jest jakieś osiemdziesiąt trzy metry pod poziomem morza. Gdyby rzeka Kolorado mniej więcej w tym miejscu nie stworzyła naturalnej zapory, cała woda z Zatoki Kalifornijskiej już dawno spłynęłaby do Salton Sink, aż pod miasto Indio. Boże, aż mnie ciarki przechodzą, kiedy o tym myślę! Ale nieważne. Salton Sea powstało z wody rzeki Kolorado, więc początkowo była to słodka woda. W 1905 roku rzeka wylała – miliardy galonów wody przez dwa lata zapełniały depresję. Wreszcie proces został zatrzymany przez skały i pospiesznie wybudowane zapory. Sól, którą stopniowo nasyciła się woda, prawdopodobnie pochodzi z czasów prehistorycznych, kiedy wszystkie te tereny znajdowały się pod wodą.

Wstał i otrzepał ręce z wilgotnego piasku, najwyraźniej zadowolony ze swojego krótkiego wykładu.

Ruszyliśmy naprzód wolnym krokiem – on szedł po piasku, a ja brodziłam w płytkiej wodzie. Włożył ręce do tylnych kieszeni spodni.

– Przepraszam, że zachowywałem się jak dupek – powiedział lekko. – Jestem w złym humorze, odkąd musiałem opuścić swoją łódź. Na lądzie czuję się nieswojo.

– W każdym razie humor szybko ci się poprawił – zauważyłam.

– Bo powiedziałaś „kurwa”. To takie zabawne, kiedy kobieta mówi „kurwa”. Szczególnie ty. To była ostatnia rzecz, jaką bym się spodziewał od ciebie usłyszeć.

– Czym się tutaj zajmujesz? – zapytałam. – Łowisz ryby?

– Czasem. Zwykle po prostu żegluję. Czytam. Piję piwo. Spędzam

czas.

– Zwariowałabym.

Greg wzruszył ramionami:

– Ja zaczynałem jako wariat, więc teraz robię się normalny.

– Nie taki prawdziwy wariat – zauważyłam.

– To prawda, niezdiagnozowany.

– A jaki?

– Błagam, nie każ mi wracać do tego wszystkiego – poprosił. – Jestem znudzony samym sobą. Zapytaj mnie o coś innego. Masz trzy pytania. Jak magiczne życzenia.

– Jeśli mam się ograniczyć do trzech pytań, to równie dobrze już mogę jechać do domu – powiedziałam, ale tak naprawdę miałam ochotę podjąć to wyzwanie. Obrzuciłam go szybkim spojrzeniem. Był teraz mniej podobny do ojca, a bardziej – do samego siebie.

– Co pamiętasz z okresu tuż przed jego śmiercią?

– Już mnie o to pytałaś.

– Taaa... Mniej więcej wtedy, kiedy postanowiłeś się na mnie wyżyć. Powiem ci, dlaczego pytam. Może to nam ułatwi sprawę. Próbuję zrekonstruować wydarzenia, które miały miejsce przed jego śmiercią. Może nawet do sześciu miesięcy wstecz. Rozumiesz, może był zaangażowany w jakiś prawniczy spór, może to była jakaś osobista utarczka. Może kłócił się z sąsiadem o granice między posesjami. Ktoś go zabił, a doprowadził do tego konkretny ciąg wydarzeń.

– Nic bym o takich sprawach nie wiedział – wyjaśnił. – Mogę ci opowiedzieć, co się działo w naszej rodzinie, ale o niczym innym nie mam pojęcia.

– W porządku.

– Tamtej jesieni przyjechaliśmy tutaj, To jeden z powodów, dla których tu wróciłem.

Chciałam mu pomóc, zadając następne pytanie, ale bałam się, że je uzna za jedno z przysługujących mi trzech, więc trzymałam buzię na kłódkę. Greg podjął wątek:

– Miałem siedemnaście lat. Boże, jakim ja byłem idiotą! Wyobrażałem sobie, że mój ojciec to chodzący ideał. Nie wiedziałem, czego dokładnie ode mnie oczekuje, ale doszedłem do wniosku, że

nigdy nie spełnię tych oczekiwań, więc zachowywałem się jak prawdziwy duppek. Krytykował mnie na każdym kroku i często ranił moje uczucia, więc się po prostu wyłączyłem, przestałem go słuchać. W jednej chwili analizowałem w nieskończoność każde jego słowo, a w kolejnej – szczerze go nienawidziłem. Kiedy umarł, bezpowrotnie straciłem szansę na wyprostowanie naszej relacji. Już na zawsze, rozumiesz? I to wszystko. Nie mogę porozmawiać z nim, nie mogę nic mu wyjaśnić. Utknąłem. Pomyślałem, że skoro utknąłem w czasie, to równie dobrze mogę utknąć w jakimś miejscu, więc przyjechałem tutaj. Kiedyś byliśmy na plaży. Musiał po coś wrócić do auta, pamiętam, jak go obserwowałem, kiedy szedł. Schylił głowę i prawdopodobnie myślał o wszystkim, tylko nie o mnie. Miałem ochotę zawołać, żeby wrócił, i powiedzieć mu, jak bardzo go kocham, ale, oczywiście, nie zrobiłem tego. W taki sposób go zapamiętałem. To przez to wszystko jestem taki popieprzony.

– Byliście tutaj tylko w dwójkę?

– Co? Nie, całą rodziną. Z wyjątkiem Diane. Zachorowała i została z mamą. To był długi weekend ze Świętem Pracy. Najpierw spędziliśmy jeden dzień w Palm Springs, a potem przyjechaliśmy tutaj.

– Jaki był twój stosunek do Colina?

– Wydaje mi się, że okej. Tyle że nie mogłem zrozumieć, dlaczego życie całej rodziny musi się kręcić wokół niego. Dzieciak był niepełnosprawny i było mi go żal, ale nie widziałem powodu, by wszyscy skupiali się na jego kalectwie, rozumiesz? Mam na myśli, Jezu Chryste, że chyba musiałbym śmiertelnie zachorować, żeby go przebić! Tak to odbierałem, kiedy miałem siedemnaście lat. Teraz stać mnie na więcej współczucia, ale wtedy nie potrafiłem sobie z tym wszystkim poradzić. I nie rozumiałem, czemu powinienem. Tata i ja nigdy nie byliśmy przyjaciółmi od serca, ale przecież potrzebowałem spędzić z nim trochę czasu. Wyobrażałem sobie, jak to będzie. Ja mu powiem coś naprawdę ważnego, a on mnie naprawdę wysłucha. Zamiast tego gadaliśmy o pierdołach – tylko i wyłącznie o pierdołach. A sześć tygodni później już nie żył.

Zerknął na mnie i potrząsnął głową, po czym uśmiechnął się nieśmiało:

– Szekspir powinien napisać o tym sztukę – powiedział. – Biorę na siebie monolog.

– Czyli nigdy nie rozmawiał z tobą o swoim życiu osobistym?

– Wiesz, że to numer trzy? – przypomniał. – Po drodze przemyciłaś jeszcze pytanko, czy wtedy byłem tu tylko z tatą. Odpowiedź brzmi: nie. Nigdy o niczym mi nie mówił. Powiedziałem, że dużo ci nie pomogę. Dajmy sobie z tym na chwilę spokój, okej?

Uśmiechnęłam się, rzuciłam buty na plażę i zaczęłam biec.

– Biegasz? – rzuciłam przez ramię.

– Taaa... Czasami – odparł, doganiając mnie. Truchtaliśmy teraz ramię w ramię.

– A co, jeżeli się spoczę? – zapytałam. – Będę się mogła gdzieś umyć?

– Sąsiedzi pozwalają mi korzystać ze swojego prysznica.

– Wspaniale – rzuciłam i podkręciłam tempo.

Biegliśmy w milczeniu, po prostu ciesząc się słońcem, piaskiem i suchym, gorącym powietrzem. Cały czas krążyło mi po głowie to samo pytanie, powracało jak bumerang. Gdzie w tej łamigłówce było miejsce Sharon Napier? Co takiego wiedziała, czego nie zdążyła mi powiedzieć? Jak na razie wydarzenia nie chciały się połączyć w sensowną całość. Ani śmierć Fife'a, ani śmierć Libby, ani późniejsza o osiem lat śmierć Sharon Napier. Może kogoś szantażowała? Spojrzałam do tyłu na małą przyczepę. Ciągle znajdowała się w zasięgu wzroku, zwodnicza perspektywa płaskiego, pustynnego krajobrazu sprawiała, że wydawała się niezwykle blisko. Wokół nie było żywego ducha. Żadnych pojazdów, żadnych podejrzanych typów. Uśmiechnęłam się go Grega, który nawet jeszcze nie dostał zadyszki.

– Jesteś w dobrej formie – zauważyłam.

– Ty też. Jak długo będziemy biegać?

– Pół godziny do czterdziestu pięciu minut.

Truchtaliśmy tak razem przez chwilę, piasek łaskotał mnie w łydki.

– Mogę też ci zadać trzy pytania? – zapytał.

– Strzelaj.

– Jak się dogadywałaś ze swoim staruszkiem?

– Och, wspaniale – odparłam. – Zginął, kiedy miałam pięć lat. Matka też. W wypadku samochodowym niedaleko Lompoc. Wielki głaz stoczył się z góry i zmiotł przednią szybę naszego samochodu. Wydobycie mnie z tylnego siedzenia trwało sześć godzin. Matka najpierw płakała, a potem przestała. Czasami ciągle słyszę to w snach. Nie szlocham. Ciszę, która potem zapadła. Wychowała mnie ciotka, jej siostra.

Potrzebował chwili, żeby to przetrwać.

– Jesteś mężatką?

– Byłam – podniosłam do góry dwa palce.

Uśmiechnął się:

– Masz na myśli, że dwa razy, czy że to pytanie numer dwa?

Roześmiałam się:

– To już numer trzy.

– Ej, to nie fair! Oszukujesz.

– No dobra. Jeszcze jedno. Ale tym razem je policzę.

– Zabiłaś kogoś?

Zerknęłam na niego z zaciekawieniem. To pytanie dziwnie nie pasowało do reszty.

– Odpowiem ci tak – zaczęłam. – Pierwsze śledztwo w sprawie zabójstwa prowadziłam w wieku dwudziestu sześciu lat. Robota dla obrońcy z urzędu. Kobieta oskarżona o zabicie własnych dzieci. Trójki. Same dziewczynki. Najstarsza nie miała jeszcze pięciu lat. Zasklepiła im usta, skrępowwała ręce i nogi, a potem wsadziła je do pojemników na śmieci, żeby się udusiły. Musiałam oglądać błyszczące policyjne fotografie, format dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. To mnie skutecznie pozbawiło morderczych zapędów. A także instynktu macierzyńskiego.

– Jezu! – jęknął. – Naprawdę to zrobiła?

– Jasne, że tak. Oczywiście uszło jej to na sucho. Stwierdzono chwilową niepoczytalność. Całkiem możliwe, że chodzi już sobie jak gdyby nigdy nic po ulicach.

– Jak to zrobiłaś, że nie popadłaś w cynizm?

– Kto powiedział, że nie?



Stałam pod prysznicem w sąsiedniej przyczepie i zastanawiałam się, czego jeszcze mogę się dowiedzieć od Grega. Nosiło mnie, chciałam jak najszybciej znaleźć się na drodze. Jeśli uda mi się dotrzeć przed zmrokiem do Claremont, to zaraz z rana mogę porozmawiać z Diane, a po lunchu pojechać do Los Angeles. Wytarłam włosy do sucha ręcznikiem i ubrałam się. Greg otworzył dla mnie jeszcze jedno piwo, które wypiałam, czekając, aż on się umyje. Zerknęłam na zegarek. Było piętnaście po trzeciej. Greg wszedł do przyczepy. Drzwi zostawił otwarte, zasunął tylko moskitierę. Jego ciemne włosy ciągle były wilgotne, pachniał mydłem.

– Wyglądasz na gotową do lotu – powiedział, otwierając sobie piwo. Kapsel zrobił głośne: „pop”.

– Myślę, że powinnam dotrzeć do Claremont przed wieczorem – wyjaśniłam. – Przekazać coś twojej siostrze?

– Wie, gdzie mnie znaleźć. Rozmawiamy od czasu do czasu. Wystarczająco często, żeby być na bieżąco – powiedział. Usiadł na krześle reżyserskim, opierając stopy o wyściełaną ławeczkę, na której siedziałam. – Masz jeszcze do mnie jakieś pytania?

– Parę, jeśli to nie problem – powiedziałam.

– Strzelaj.

– Co pamiętasz na temat alergii ojca?

– Był uczulony na psią i kocią sierść. Czasami miał katar sienny, ale nie pamiętam, jakich roślin pyłki go uczuły.

– A jakieś pokarmy? Jajka? Gluten?

Greg potrząsnął głową:

– Po raz pierwszy słyszę. Tylko alergią wziewną, na pyłki i takie tam.

– Czy miał ze sobą kapsułki na alergię, kiedy spędzaliście tu rodzinny weekend?

– Nie pamiętam, ale wydaje mi się, że nie. Wiedział, że jedziemy na pustynię i że powietrze jest tutaj raczej czyste, nawet późnym latem i wczesną jesienią. Psa z nami nie było. Został w domu, więc tata nie potrzebował lekarstw. Z innych powodów ich nie zażywał.

– Myślałam, że pies zginął. Nikki mi mówiła – zdziwiłam się.

– Taaa... Potrafił go samochód. Właśnie kiedy byliśmy tutaj.

Przeszedł mnie nagły dreszcz. Było w tym coś dziwnego, coś nie pasowało.

– Jak się o tym dowiedzieliście?

Greg wzruszył ramionami:

– Po powrocie do domu – powiedział, najwyraźniej nie przywiązując do tego faktu większej wagi. – Diane potrzebowała czegoś z domu, więc wpadły tam na chwilę z mamą. W niedzielę rano, tak mi się wydaje. My mieliśmy wrócić w nocy z poniedziałku na wtorek, nieważne. W każdym razie znalazły Bruna leżącego na poboczu drogi. Chyba był nieźle pokiereszowany. Mama nawet nie pozwoliła Diane zobaczyć go z bliska. Zadzwoiła do ludzi ze schroniska dla zwierząt, żeby po niego przyjechali. Nie żył już od jakiegoś czasu. Wszyscy bardzo to przeżyliśmy. Wspaniały był z niego zwierzak.

– Dobrze chronił domu?

– Najlepiej – potwierdził.

– A co powiesz o pani Voss, gosposi? Jaka była?

– Powiedziałbym, że raczej miła. Dogadywała się ze wszystkimi – powiedział. – Niestety, więcej na jej temat nie potrafię powiedzieć.

Dopiłam piwo i wstałam, wyciągając do niego rękę:

– Dzięki, Greg. Jeżeli nie masz nic przeciwko, może w przyszłości będę musiała zadać ci jeszcze parę pytań.

Pocałował mnie w rękę. Udawał, że się tylko wygłupia, ale – byłam prawie pewna – było w tym coś więcej.

– Szerokiej drogi – powiedział miękko.

Sprawiło mi to nieoczekiwaną przyjemność. Uśmiechnęłam się :

– Widziałaś *Młodą Bess*? Z Jean Simmons i Stewartem Grangerem? Właśnie tak do niej powiedział. O ile pamiętam, potem został stracony, a może to była ona? Nie pamiętam. Złamało mi to serce. Powinneś obejrzeć ten film, czasem leci w nocy na kablówce. Uwielbiałam go, kiedy byłam dzieckiem.

– Jesteś tylko jakieś pięć, sześć lat starsza ode mnie – przypomniał.

– Siedem – poprawiłam.

– Na jedno wychodzi.

– Dam ci znać, co ze śledztwem – obiecałam.

– Powodzenia.

Kiedy odjeżdżałam, odwróciłam się i spojrzałam przez tylną szybę. Greg stał w drzwiach przyczepy. Wpatrywałam się w ledwo widoczną postać za cieniutką siateczką moskitiery i zastanawiałam się, czy to on, czy też może Laurence Fife powrócił z za grobu.

Dotarłam do Claremont o szóstej wieczór. Po drodze przejechałam przez Ontario, Montclair i Pomonę, okręgi miejskie bez miast jako takich. Typowe dla Kalifornii zjawisko, polegające na tym, że szereg galerii handlowych i ciągnące się kilometrami szeregowce dostają kod pocztowy i zostają zaznaczone na mapach. Claremont jest o tyle ciekawym przypadkiem, że przypomina małą, schłodną wioskę ze Środkowego Zachodu, z wiązami i parkanami. W corocznej paradzie z okazji Dnia Niepodległości biorą udział zespoły grające na kazoo, zastępy dzieci na rowerach udekorowanych bibułą oraz grupa parodiujących samych siebie mężczyzn, wystrojonych w bermudy, czarne skarpetki i eleganckie buty, wykonujących w szyku zwartym manewry spalinowymi kosiarkami do trawy. Gdyby nie smog, Claremont – położone na tle surowego krajobrazu z górą Mount Baldy – śmiało można by nazwać malowniczym.

Zatrzymałam się na stacji benzynowej i wykręciłam numer Diane, który dostałam od Gwen. Nie zastałam jej, ale współlokatorka powiedziała, że Diane będzie w domu o ósmej. Skierowałam się na bulwar Indian Hill, skąd skręciłam w aleję Baughman. Moi przyjaciele Gideon i Nell mieszkają dwa domy dalej z dwójką dzieci, trzema kotami i jacuzzi. Nell znam jeszcze z czasów studenckich. Jest istotą wybitnie intelektualną, a do tego obdarzoną ironicznym poczuciem humoru. Nauczyła się nie okazywać zdziwienia, gdy nieoczekiwanie pojawiam się u niej w drzwiach. Mimo że się nie zapowiedziałam, wydawała się rada z mojego widoku. Przycupnęłam w kuchni i przyglądałam się, jak gotuje zupę, jednocześnie rozmawiając ze mną. Po kolacji ponownie zadzwoniłam do Diane, która zgodziła się spotkać ze mną na lunchu. Potem Nell i ja rozebrałyśmy się i zanurzyłyśmy w jacuzzi na tarasie z kieliszkiem lodowatego białego wina w rękę i mnóstwem tematów do obgadania. Gideon był tak miły, że trzymał dzieci z daleka od nas. Tej nocy spałam na kanapie z kotem zwiniętym w kłębek na

klatce piersiowej. Zastanawiałam się, czy istnieje jakiś sposób, żeby moje życie też tak wyglądało.

Spotkałam się z Diane w jednej z tych serwujących ciemne pieczywo z kiełkami restauracyjek, których wewnątrz zawsze wygląda tak samo: mnóstwo pokrytego naturalnym pokostem drewna i roślin, marmary i okna witrażowe oraz obowiązkowo kelnerzy, którzy nie palą papierosów, ale prawdopodobnie gdyby się im zaproponowało, chętnie zaciągnęliby się czymkolwiek innym. Nasz kelner był chudy, z przerzedzonymi włosami i ciemnymi wąsami, które nieustannie muskał. Przyjmował zamówienie ze śmiertelną powagą, na jaką, moim zdaniem, nie zasługuje żadna kanapka. Moja była z awokado i bekonem. Diane wybrała „wegetariański przysmak” w chlebkach pita.

– Greg mówi, że potraktował cię naprawdę paskudnie, kiedy się u niego zjawiłaś – powiedziała i roześmiała się. Z chlebka pita wypłynęło trochę sosu, zlizwała go.

– Kiedy z nim rozmawiałaś? Wczoraj wieczór?

– Tak. – Ugryzła kolejny nieforemny kawałek chlebka; patrzyłam, jak oblizuje palce i ociera podbródek. Miała świeżą urodę Grega, ale była cięższa od brata. Szeroki tyłek dokładnie wypełniał sprane dżinsy, a całą twarz miała – niespodzianka – obsypaną piegami. Ciemne włosy przedzielone pośrodku i związane na czubku głowy szeroką, skórzaną opaską przebitą drewnianym szpikulcem.

– Wiedziałaś, że Nikki jest na zwolnieniu warunkowym? – zapytałam.

– Mama mi mówiła. Colin też wrócił?

– Nikki właśnie się po niego wybierała, kiedy parę dni temu z nią rozmawiałam – wyjaśniłam. Robiłam, co mogłam, żeby zachować moją kanapkę w jednym kawałku. Grube kromki kruszyły się przy każdym kęsie. Mimo zmagania z kanapką nie uszedł mojej uwagi błysk w oczach Diane. Colin ją interesował, Nikki – nie.

– Poznałaś już mamę? – zapytała.

– Tak. Bardzo ją polubiłam.

Twarz Diane rozpromienił dumny uśmiech.

– Jeśli chcesz znać moje zdanie, to tata zachował się jak prawdziwy dupek, kiedy rzucił mamę dla Nikki. To znaczy Nikki jest w porządku,

ale jest jakaś chłodna, nie sądzisz?

Wymamrotałam coś niezobowiązującego. Diane i tak mnie nie słuchała.

– Twoja mama mi powiedziała, że zaraz po śmierci ojca zapisałaś się na terapię – zmieniłam temat.

Diane wywróciła oczami, upijając łyk herbaty miętowej.

– Spędziłam na terapii połowę życia, a i tak ciągle mam trochę nie po kolei w głowie. To naprawdę bez sensu. Doktorek, do którego teraz chodzę, uważa, że powinnam poddać się psychoanalizie, ale przecież nikt już tego nie robi. Mówi, że powinnam poznać swoją „ciemną” stronę. Naprawdę wierzy w to całe freudowskie gówno. Jak ci wszyscy staruszkowie. Wiesz, chcę, żebyś tam leżała i opowiadała im o swoich marzeniach i perwersyjnych fantazjach, żeby mogli zważyć emocjonalnego konia twoim kosztem. Jak dla mnie, to głupie.

Odgryzłam potężny kawał kanapki, potakując, jakbym doskonale wiedziała, o co chodzi.

– Nigdy nie byłam na terapii – wymamrotałam.

– Nawet *grupowej*?

Potrząsnęłam głową.

– Boże, ty to musisz być neurotyczna – powiedziała z szacunkiem.

– Hmm... Nie obgryzam paznokci ani nie moczę się w łóżku.

– Prawdopodobnie jesteś typem kompulsywnym. Unikasz zobowiązań i tego typu gówno. Tata też trochę taki był.

– Jaki? – zapytałam, pomijając milczeniem sugestie co do mojego charakteru. W końcu to był tylko strzał w ciemno.

– Och. No wiesz. Cały czas pieprzył się z wszystkimi naokoło. Greg i ja ciągle o tym gadamy. Mój doktorek mówi, że tata w ten sposób próbował pokonać ból. Babcia cholernie nim manipulowała, więc on odwrócił kota ogonem i zaczął manipulować wszystkimi dokoła, łącznie z Gregiem i ze mną. I z mamą. I z Nikki, i sama jeszcze nie wiem, z kim jeszcze. Wydaje mi się, że nikogo tak naprawdę nie kochał, może z wyjątkiem Colina. Przerażające.

Dokończyła swój chlebek i spędziła dłuższą chwilę na wycieraniu twarzy i rąk. Następnie starannie złożyła zużytą papierową serwetkę.

– Greg mi powiedział, że nie było cię z nimi nad Salton Sea – zmie-

niłam temat.

– To znaczy, zanim tata umarł? Taaa... Nie pojechałam. Miałam grypę, naprawdę paskudny przypadek. Zostałam z mamą. Była wspa-  
niała, naprawdę czuła, kochająca i troskliwa. Nigdy w życiu tak się  
nie wyspałam.

– W jaki sposób pies wydostał się na zewnątrz?

Położyła ręce na kolanach:

– Co?

– Bruno. Greg mówi, że psa potrącił samochód. Zastanawiam się,  
kto go wypuścił. Czy pani Voss przebywała w domu, kiedy rodzina  
była za miastem?

Diane przyjrzała mi się z uwagą, a następnie odwróciła wzrok:

– Nie sądzę. Była na wakacjach. Tak mi się wydaje.

Jej oczy powędrowały do zegara wiszącego na ścianie za mną.

– Mam zajęcia – wyjaśniła. Jej twarz była oblana rumieńcem.

– Wszystko w porządku?

– Pewnie. Jest okej – odrzekła, nerwowo zgarniając torebkę  
i książki. Wyraźnie pewniej się czuła, kiedy miała czym zająć ręce.

– Och, prawie bym zapomniała. Przekażesz to Colinowi, kiedy się  
z nim zobaczysz?

Podowała mi papierową torbę. – To album, który dla niego zrobiłam.  
Dotąd wszystkie zdjęcia trzymaliśmy w pudełku.

Zrobiła się teraz bardzo oficjalna, jednocześnie nieobecna i roztar-  
gniona. Uśmiechnęła się do mnie przelotnie.

– Przepraszam, ale nie mam już czasu. Ile jestem winna za lunch?

– Ja stawiam – powiedziałam. – Podrzucić cię gdzieś?

– Jestem autem – wyjaśniła. Całe ożywienie całkowicie znikło z jej  
twarzy.

– Diane, co się dzieje? – zapytałam.

Ciężko klapnęła na krzesło, wbijając wzrok w jakiś punkt w prze-  
strzeni. Jej głos stał się o kilka tonów niższy:

– To ja wypuściłam psa – wyznała cicho. – W dniu, w którym wyje-  
chali. Nikki powiedziała, że powinien pobiegać, zanim mama mnie  
zabierze, więc wypuściłam go na zewnątrz, ale właśnie wtedy mi się  
pogorszyło. Położyłam się na kanapie w salonie i czekałam na mamę,

a kiedy zatrąbiła, po prostu wzięłam swoje rzeczy i wyszłam frontowymi drzwiami. Zupełnie zapomniałam o psie. Przypomniałam sobie o nim po dwóch dniach. To dlatego pojechaliśmy tam z mamą. Żeby go nakarmić i wpuścić do domu.

Dopiero teraz spojrzała mi w oczy, wydawała się bliska łez.

– Biedny zwierzak – szepnęła. Poczucie winy całkowicie nią zawładnęło. – To była moja wina. Dlatego został potrącony. Ponieważ o nim zapomniałam.

Zasłoniła drżącą ręką usta i szybko zamrugęła oczami:

– Czułam się z tym okropnie, ale, z wyjątkiem mamy, nigdy nikomu o tym nie powiedziałam. Zresztą nikt mnie nie pytał. Ty też nikomu nie mów, dobrze? Byli tak zmartwieni jego śmiercią, że nie przyszło im do głowy, by mnie zapytać, jak się wydostał na zewnątrz. A ja nigdy się nie przyznałam. Nie mogłam. Nikki by mnie znienawidziła.

– Nikki cię nie znienawidzi z powodu śmierci psa, Diane – zapewniłam. – Minęło tyle lat. Zresztą, co by to zmieniło?

Jej oczy przybrały zaszczuty wyraz. Musiałam się pochylić w jej stronę, żeby usłyszeć, co mówi.

– Ponieważ ktoś się dostał do środka, kiedy psa nie było. Ktoś wszedł do domu i podmienił lekarstwa. I dlatego tata umarł – szepnęła. Nerwowo grzebała w torebce w poszukiwaniu chusteczek higienicznych. Zniosła się bezgłośnie szlochając, wyglądało to, jakby nie mogła złapać tchu – seria niekontrolowanych, krótkich wdechów. Obrazu rozpaczony dopełniały bezradnie zwieszony ramiona.

Dwaj faceci siedzący przy stoliku obok przyglądali się jej z zaciekawieniem.

– O mój Boże, o mój Boże – wyszeptała ochryłym z bólu głosem.

– Chodźmy stąd – rzekłam, pomagając jej zebrać rzeczy. Zostałam pieniądze za lunch oraz duży napiwek. Wzięłam ją pod rękę i zaprowadziłam do drzwi.

Kiedy doszliśmy na parking, była już prawie spokojna.

– Boże, przepraszam. Nie wierzę, że tak się zachowałam – powiedziała. – Zwykle się tak nie rozklejam.

– Nie przejmuj się – pocieszyłam ją. – Nie miałam pojęcia, że



wzmianka o wypuszczeniu psa tak cię wytrąci z równowagi. Po prostu nie dawało mi to spokoju, odkąd Greg o tym wspomniał. To nie tak, że chciałam cię *oskarżyć* o cokolwiek.

– Nie mogłam uwierzyć, że to powiedziałaś – odezwała się z oczami znowu pełnymi łez. – Myślałam, że wiesz. Myślałam, że odkryłaś prawdę. Inaczej nigdy bym się do tego nie przyznała. Od tak dawna mnie to męczy.

– Niepotrzebnie się obwiniasz. Jeśli ktoś chciał się dostać do domu, to i tak wypuściłby psa. Albo by zabił, a potem upozorował wypadek. Rozumiesz, kto by się pchał na górę, gdyby jakiś cholerny owczarek niemiecki cały czas czekał i warczał mu koło ucha?

– Nie wiem. Może i tak. Może masz rację. To znaczy, Bruno był dobrym stróżem. Gdyby był w domu, nie udałoby się podmienić lekarstwa.

Zrobiła głęboki wydech i jeszcze raz wytarła nos w pomietą, wilgotną chusteczkę.

– Byłam wtedy taka nieodpowiedzialna. Wszyscy ciągle mnie krytykowali, a to mi wcale nie pomagało. Po prostu nie mogłam im powiedzieć. Kiedy tata umarł, nikt oprócz mnie nie zauważył, że może to mieć związek ze śmiercią psa. Tyle że wtedy było za późno, by się przyznać.

– Hej, już po wszystkim – powiedziałam łagodnie. – Sprawa zamknięta. Nie możesz się tym bez końca zadrećzać. Przecież nie robiłaś tego specjalnie.

– Wiem, wiem. Jednak w rezultacie doszło do tego, do czego doszło, prawda?

Jej głos znów się podniósł. Zaciśnęła oczy, po policzkach spływały łzy.

– Był takim dupkiem, a ja go tak bardzo kochałam. Wiem, że Greg go nienawidził, ale ja uważałam, że jest po prostu wspaniały. Nic mnie nie obchodziło, że pieprzy wszystko, co się rusza. To nie była jego wina. Całe życie był taki pokrecony. Naprawdę pokrecony.

Wytarła oczy marną resztką chusteczki higienicznej i kolejny raz głęboko odetchnęła. Sięgnęła do torebki po puderniczkę.

– Może odpuścisz sobie zajęcia i pojedziesz do domu? – zasugero-

wałam.

– Może – zgodziła się. Rzuciła okiem na swoje odbicie w lusterku. – O Boże, wyglądam koszmarnie! Nie mogę się tak pokazać ludziom.

– Przykro mi, że tak to się skończyło. Jeśli cię to pocieszy, to ja się czuję jeszcze gorzej – powiedziałam przeprasząco.

– Nie przejmuj się. Przecież to nie twoja wina, tylko moja. Chyba teraz będę musiała wszystko powiedzieć mojemu doktorowi. Na pewno uzna to za przełom. On uwielbia takie pierdoły. Teraz wszyscy się dowiedzą. Boże, jeszcze tego mi potrzeba!

– Hej, wcale nie jest powiedziane, że będę musiała puszczać to w obieg. Jeszcze dokładnie nie wiem, ale wydaje mi się, że teraz to naprawdę bez znaczenia. Jeśli ktoś był zdecydowany zabić twojego ojca, to i tak by to zrobił, w ten czy inny sposób. Takie są fakty.

– Też tak mi się wydaje. W każdym razie dzięki, że to powiedziałaś. Czuję się już lepiej. Naprawdę. Nawet nie wiedziałam, że to aż tak mnie gryzie.

– Na pewno już wszystko w porządku?

Przytaknęła, blado się do mnie uśmiechając.

Pożegnałyśmy się, co nam zajęło kolejne kilka minut, po czym poszła do swojego samochodu. Patrzyłam, jak odjeżdża, a potem wrzuciłam album dla Colina na tylne siedzenie samochodu i ruszyłam w drogę. Szczerze mówiąc – choć wcale mi się to nie podobało – chyba miała rację. Gdyby pies był w domu, sztuczka z podmianą lekarstw prawdopodobnie by się nie udała. Jednak pies – w domu czy na zewnątrz, żywy lub martwy – z pewnością nie ocaliłby życia Libby Glass. Przynajmniej jeden fragment układanki znalazł się teraz na swoim miejscu. Prawdopodobnie dla całości sprawy nie miało to większego znaczenia, ale przynajmniej wyznaczało pewne ramy czasowe, w których ktoś mógł dostać się do domu, o ile to tam dokonano podmiany lekarstw. Była to pierwsza biała plama, którą tak naprawdę udało mi się wypełnić. Mały krok do przodu, ale humor mi się poprawił. Wróciłam na autostradę San Bernardino i ruszyłam w kierunku L.A.

## 16

Po powrocie do Hacjendy udałam się prosto do biura, żeby sprawdzić, czy są dla mnie jakieś wiadomości. Arlette zanotowała cztery, ale trzy z nich były od Charliego Scorsoniego. Oparła łokieć na ladzie i zawzięcie żuła jakieś ciastko z nadzieniem w postaci lepkiej i ciemnobrązowej mazi.

– Co jesz?

– Dietetyczny batonik Trimline – odparła. – Tylko sześć kalorii.

Trochę nadzienia przylepiło jej się do zębów jak kit dentystyczny, więc przejechała palcem po dziąsłach, po czym włożyła zgarniętą w ten sposób masę z powrotem do ust.

– Tylko popatrz na etykietę. Zakład, że w całym batoniku nie ma ani jednego naturalnego składnika. Mleko w proszku, tłuszcz utwardzony, jajka w proszku i cała lista chemikaliów i dodatków. Ale wiesz co? Zauważyłam, że prawdziwe jedzenie nie smakuje tak dobrze jak sztuczne. Zwróciłaś na to uwagę? To fakt. Prawdziwe jedzenie jest bez smaku, jakby rozcieńczone. Weź takiego pomidora z supermarketu. To żalosne, jak smakuje – powiedziała i się wzdrygnęła. Próbowałam przejrzeć moje wiadomości, ale w jej towarzystwie nie było to łatwe.

– Słyszałam, jak ludzie narzekają, że śmieciowe jedzenie ma tylko puste kalorie, ale kto potrzebuje *pełnych* kalorii? Ja tam lubię, kiedy są puste. Przynajmniej wiem, że od nich nie przytyję. Ten Charlie Scorsoni pewnie już cię złapał, co? Raz dzwonił z Denver, potem z Tucson, a wczoraj wieczór z Santa Teresa. Ma miły głos.

– Będę w swoim pokoju – powiedziałam.

– Jasne, w porządku. Może być. Jeśli chcesz oddzwonić, po prostu dryndnij do mnie, a ja cię połączę.

– Dzięki.

– A, jeszcze podałam twój numer w Las Vegas jakimś ludziom, którzy nie chcieli zostawić wiadomości. Mam nadzieję, że dobrze zro-

biłam. Nie mówiłaś, żeby nie podawać tego numeru.

– Nie, wszystko w porządku – zapewniłam ją. – Wiesz może, kto to był?

– Mężczyzna i kobieta, po jednym – odparła beztrąsko.

Kiedy znalazłam się w swoim pokoju, zrzuciłam buty i zadzwoniłam do kancelarii Charliego. Odebrała Ruth.

– Miał wrócić wczoraj w nocy – wyjaśniła. – Ale nie planował przychodzić do pracy. Spróbuj go złapać w domu.

– Hmm... Jeśli mi się nie uda, przekażesz mu, że wróciłam do Los Angeles? Wie, pod jakim numerem tutaj jestem.

– Zrobi się – zapewniła.

Druga wiadomość była miłą niespodzianką. Najwyraźniej Garry Steinberg, księgowy z Haycraft i McNiece, wrócił z Nowego Jorku kilka dni wcześniej i chciał się ze mną spotkać w piątek po południu, czyli dziś. Zadzwoniłam, by mu powiedzieć, że będę u niego w ciągu godziny. Następnie połączyłam się z panią Glass i powiedziałam, że przyjadę do niej zaraz po kolacji. Wiedziałam, że muszę wykonać jeszcze jeden telefon, choć na myśl o nim skóra mi cierpła. Przez chwilę siedziałam bez ruchu na brzegu łóżka, gapiąc się na aparat, a potem powiedziałam sobie: „Raz kozie śmierć” i wykręciłam numer przyjaciela z Las Vegas.

– Jezu, Kinsey – wycedził przez zęby. – Czemu mi to robisz? Podaję ci jak na tacy Sharon Napier, a chwilę potem dowiaduję się, że dziewczyna nie żyje.

Tak zwięźle, jak się tylko dało, zapoznałam go z sytuacją. Wcale go to nie uspokoiło. Mnie zresztą też.

– To mógł być każdy – brnęłam. – Nie mamy pewności, że zastrzelono ją przeze mnie.

– Taaa... Ale i tak potrzebuję jakiejś wiarygodnej historyjki. Ktoś zapamiętał, że najpierw wypytywałam o tę młodą damę, a następnie znaleziono ją z pociskiem w gardle. Sama powiedz, jak to wygląda?

Jeszcze raz szczerze go przeprosiłam i powiedziałam, żeby mnie informował, jeśli coś odkryje. Nie podszedł do tej prośby z entuzjazmem. Przebrałam się, włożyłam spódnice, pończochy i buty na obca-

się, a następnie podjechałam pod budynek Avco Embassy i wsiadłam do windy, która mnie zawiozła na dziesiąte piętro. Znowu czułam się paskudnie z powodu Sharon Napier. Poczucie winy targało mi bebechy jak lekki atak kolki. Jak mogłam się spóźnić na spotkanie? Dlaczego musiało się to przydarzyć właśnie mnie? Sharon coś wiedziała i jeśli stawiałabym się u niej na czas, być może byłabym teraz o krok od zakończenia śledztwa, zamiast tkwić tam, gdzie tkwiłam – czyli na mieliźnie. Ponownie znalazłam się na imitacji wiejskiego podwórza w wersji Haycraft i McNiece. Ze wzrokiem utkwionym w suszone kolby kukurydzy nadal w duchu czyniłam sobie wyrzuty.

Garry Steinberg okazał się bardzo sympatycznym człowiekiem. Wyglądał na niewiele ponad trzydzieści lat. Miał ciemne kręcone włosy, ciemne oczy i niewielką szparę między górnymi jedynekami. Prawdopodobnie mierzył ze sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, ale jego ciało wyglądało na miękkie, talia wylewała się ze spodni jak ciasto na chleb, które za bardzo wyrosło.

– Przygląda się pani mojej talii, prawda? – upewnił się.

Wzruszyłam ramionami, trochę zbita z tropu. Nie wiedziałam, czy Garry oczekuje jakiegoś komentarza, czy nie. Wskazał mi krzesło, a sam usiadł za biurkiem.

– Coś pani pokażę – powiedział, podnosząc palec. Otworzył najwyższą szufladę biurka i wyjął zdjęcie, które następnie mi podał. Rzuciłam na nie okiem:

– Kto to?

– Wspaniała reakcja! – zachwycił się. – Trafiła pani w dziesiątkę! To ja. Ważyłem wtedy sto czterdzieści kilogramów. Teraz ważę dziewięćdziesiąt osiem.

– Mój Boże – westchnęłam i jeszcze raz przyjrzałam się zdjęciu. W czasie gdy zostało zrobione, wyglądał trochę jak Arlette, gdyby zdecydowała się przebrać za mężczyznę. Szaleję za zdjęciami „przed i po” oraz jestem żarliwym fanem wszystkich tych reklam w czasopiśmie, pokazujących kobiety najpierw napompowane jak opony, a potem – jak za sprawą jakichś czarów – chude i z jedną stopą zgrabnie ułożoną przed drugą, jakby strata wagi była nierozzerwalnie

związana z gwałtownym przyływem wdzięku i i umiejętności dobrego ustawiania się do zdjęć. Czasem się zastanawiam, czy w Kalifornii jest choć jedna osoba nieogarnięta obsesją na punkcie wyglądu.

– Jak pan to zrobił? – zapytałam, oddając mu zdjęcie.

– Dieta Scarsdale – wyjaśnił. – Było naprawdę cholernie ciężko, ale wytrzymałem. Złamałem się tylko raz. Okej, dwa razy. Pierwszy raz w dniu trzydziestych piątych urodzin. Uznałem, że należy mi się bajgiel z serkiem kremowym i urodzinową świeczką. A drugi raz popłynąłem pewnej nocy, jak moja dziewczyna się wkurzyła i wyrzuciła mnie za drzwi. Tylko pomyśl, do trzydziestki nigdy nie miałem dziewczyny. Teraz wściekam się, kiedy mnie wyrzuca. W każdym razie pogodziliśmy się i wszystko jest dobrze. Ciągle mam do zrzucenia dziesięć kilogramów, ale na razie zrobiłem sobie przerwę. Teraz przestrzegam ścisłej diety na utrzymanie wagi. Próbowwała pani kiedyś diety Scarsdale?

Z poczuciem winy potrząsnęłam głową. Chyba coś mnie w życiu omija. Nie próbowałam diety Scarsdale, nie byłam na terapii...

– Alkohol jest zabroniony – wyjaśnił. – Z tym jest najtrudniej. Kiedy już schudnie się do właściwej wagi, od czasu do czasu można sobie pozwolić na mały kieliszek wina, ale to wszystko. Wydaje mi się, że pierwsze dwadzieścia kilogramów straciłem tylko dlatego, że odsta-wiłem procenty. Nie ma pani pojęcia, jak się od tego tyje.

– Chyba dobrze pan na tym wyszedł.

– Dobrze się teraz czuję sam ze sobą – powiedział. – A to ważne. Okej, wystarczy tego dobrego. Przejdźmy do rzeczy. Co chce pani wiedzieć na temat Libby Glass? Recepcjonistka mówi, że chciała się pani ze mną widzieć w jej sprawie.

Wyjaśniłam, czym się zajmuję i w jaki sposób sprawa śmierci Libby Glass wiąże się ze śledztwem, które prowadzę. Słuchał uważnie, od czasu do czasu zadając dodatkowe pytania.

– Co panią interesuje? – zapytał, kiedy skończyłam.

– Jak długo zajmowała się księgowością Laurence’a Fife’a?

– Cieszę się, że o to pani zapytała. To jedyna rzecz, jaką sprawdziłem, kiedy dowiedziałem się, że mnie pani odwiedzi. Najpierw przez mniej więcej rok zajmowaliśmy się jego finansami osobistymi.

Kancelaria Fife'a i Scorsoniego była wtedy z nami tylko od sześciu miesięcy, właściwie to nawet trochę mniej. Właśnie wprowadzaliśmy wewnętrzny system komputerowy i Libby próbowała zrobić porządek w papierach przed wprowadzeniem ich do systemu. Nawiasem mówiąc, była bardzo dobrą księgową. Naprawdę sumienną i inteligentną.

– Przyjaźniliście się?

– Właściwie tak. W tamtych czasach byłem prawdziwym hipciem, ale skrycie się w niej podkochiwałem. Byliśmy jak brat i siostra, czyśto platoniczna relacja. Nie umawialiśmy się na randki. Po prostu mniej więcej raz na tydzień jedliśmy razem lunch. Czasem po pracy lubiliśmy skoczyć na drinka.

– Ile firm miała pod swoją opieką?

– Łącznie? Powiedziałbym, że dwadzieścia pięć, może trzydzieści. Była bardzo ambitną dziewczyną, pracowała bez wytchnienia... nie, żeby coś z tego miała.

– To znaczy?

Wstał i zamknął drzwi, wskazując znacząco na ścianę, za którą znajdował się kolejny gabinet.

– Trzeba pani wiedzieć, że stary Haycraft był biurowym tyranem, prawdziwą męską szowinistyczną świnią. Libby myślała, że jeśli będzie ciężko pracować, dostanie awans i podwyżkę, ale nic takiego się nie stało. Ci teraz nie są o wiele lepsi. Chce pani wiedzieć, jak wymuszam podwyżkę? Straszę ich, że odejdę. Co pół roku mówię, że odchodzę. Libby tego nie robiła.

– Ile zarabiała?

– Nie wiem. Może dałbym radę sprawdzić. Mniej, niż jej się należało, tyle mogę powiedzieć już teraz. Fife i Scorsoni byli ważnymi klientami. Nie najważniejszymi, ale ważnymi. Miała poczucie, że jest wykorzystywana.

– Rozumiem, że zajmowała się raczej Fife'em niż Scorsonim.

– Na początku. Potem pół na pół. Zdecydowali się na powierzenie nam zarządzania swoją firmą głównie po to, żebyśmy się zajęli wszystkim, co się wiąże z nieruchomościami. Z tego, co mówiła Libby, większość ich bieżących spraw dotyczyła właśnie nieruchomości.

Ten, który nie żyje, Fife, miał wiele paskudnych spraw rozwodowych, które były opłacalne, ale, jeśli chodzi o księgowość, mało skomplikowane. Poza sprawami księgowymi zajmowaliśmy się również należnościami, regulowaliśmy rachunki związane z prowadzeniem kancelarii i doradzaliśmy w sprawie inwestycji. Nawiasem mówiąc, w przypadku doradztwa inwestycyjnego nie mieliśmy tutaj dużego pola do popisu, bo kancelaria była z nami od niedawna, ale oczywiście w przyszłości mieliśmy zamiar się tym zająć. Wolimy się nie spieszyć, lepiej jest najpierw dobrze zorientować się w możliwościach i oczekiwaniach klienta. Akurat o tym nie wolno mi szczegółowo opowiadać, ale prawdopodobnie będę mógł odpowiedzieć na inne, bardziej ogólne pytania.

– Czy wie pan, co się stało z majątkiem Fife’a?

– Wszystko dostały dzieci. Został między nie równo podzielony. Nigdy nie widziałem testamentu, ale pomogłem w podziale majątku spadkowego po stwierdzeniu jego ważności.

– Pana firma nie reprezentuje nowej kancelarii Scorsoniego, prawda?

– Nie – odparł Garry. – Spotkałem się z nim parę razy po śmierci Fife’a. Miły facet.

– Czy mogłabym zajrzeć do starych ksiąg rachunkowych?

– Nie – powiedział. – Nie byłoby problemu, gdyby miała pani pisemną zgodę Scorsoniego. Ale nie wiem, po co miałyby je przeglądać ktoś, kto sam nie jest księgowym. Nasz system nie jest bardzo skomplikowany, jednak nie sądzę, żeby się pani w tym połapała.

– Pewnie ma pan rację – zgodziłam się. Zastanawiałam się, o co jeszcze mogłabym go zapytać.

– Może napije się pani kawy? Przepraszam, powinienem był zaproponować wcześniej.

– Nie, dziękuję – powiedziałam. – A życie osobiste Libby? Czy mogła sypiać z Laurence’em Fife’em?

Garry parsknął śmiechem.

– Tego naprawdę nie wiem! Od czasów liceum umawiała się z jakimś szemranym typem, potem z nim zerwała. Dodam, że sam jej to doradziłem.



– Jak to?

– Przyszedł tutaj w poszukiwaniu pracy. Do moich zadań należało sprawdzanie wszystkich kandydatów. Miał być tylko posłańcem, ale odniosłem wrażenie, że nie poradzi sobie nawet z tym. Zachowywał się agresywnie, a jeśli mam być szczery, to moim zdaniem, był na haju.

– Pewnie w aktach nie ma już jego papierów? – zapytałam, czując słaby przyływ podniecenia.

Garry spojrzał na mnie:

– Ta rozmowa się nie odbyła, tak?

– Tak.

– Zobaczę, co mi się uda odszukać – powiedział bez wahania. – Na pewno nie ma tego tutaj. Muszę poszukać w magazynie, tam trzymamy wszystkie stare akta. Księgowi to prawdziwe chomiki. Nigdy nic nie wyrzucamy i wszystko mamy na piśmie.

– Dzięki, Garry – powiedziałam. – Proponuję, byśmy przeszli na ty. Nie umiem wprost wyrazić, jak jestem ci wdzięczna!

Uśmiechnął się radośnie.

– Jasne, Kinsey. Może przy okazji przejrzę stare akta Fife'a, skoro i tak tam będę. Nie zaszkodzi rzucić okiem. A wracając do twojego pytania na temat Libby, to odpowiedź brzmi: nie. Nie wydaje mi się, żeby miała romans z Laurence'em Fife'em.

Zerknął na zegarek:

– Zaraz mam spotkanie.

Uścisnęłam jego rękę przez biurko. Z optymizmem patrzyłam w przyszłość.

– Jeszcze raz dziękuję!

– Nie ma problemu. Wpadnij jeszcze. Kiedy tylko zechcesz.

Wróciłam do motelu o o wpół do czwartej. Położyłam poduszkę na plastikowe krzesło, ustawiłam maszynę do pisania na chybotliwym biurku i spędziłam półtorej godziny, wystukując notatki. Minęło dużo czasu, odkąd robiłam to po raz ostatni, więc trzeba było nadrobić zaległości. Kiedy kończyłam ostatni paragraf, doskwierał mi kręgosłup, a oprócz tego kłuło mnie między łopatkami. Przebrałam się w ciuchy do biegania, które pod wpływem ciepła mojego ciała zaczęły

zajeżdżać starym potem i spalinami samochodowych. Najwyższy czas, żeby się rozejrzeć za pralnią samoobsługową. Pobiełam na wschód Wilshire – tak dla odmiany – przecinając Dwudziestą Szóstą Ulicę, żeby się dostać nad jezioro San Vicente. Kiedy dotarłam do szerokiego trawnika oddzielającego plażę od deptaka, poczułam, że idzie mi coraz lepiej. Bieganie zawsze jest bolesne – nie wierzcie, kiedy próbują wam wmówić coś innego – ale pozwala się zaznajomić z każdą częścią własnego ciała. Tym razem zaprotestowały moje uda, a oprócz tego czułam lekki ból w goleniach, jednak zignorowałam te symptomy i parłam dzielnie do przodu. Nagrodą za mój hart ducha było kilka wulgarnych uwag, którymi uraczyli mnie dwaj siedzący w picku-pie faceci. Po powrocie do motelu wzięłam prysznic i wskoczyłam z powrotem w dżinsy, a następnie podjechałam do McDonalda i zamówiłam McRoyala z serem, frytkami i średnią coca-colą. Kiedy skończyłam jeść, była za piętnaście siódma. Zatankowałam samochód i ruszyłam na drugą stronę wzgórza do dzielnicy Sherman Oaks.

Ledwo zdążyłam dotknąć dzwonka, a pani Glass już stała w drzwiach. Tym razem w salonie było w miarę ogarnięte. Jej warsztat pracy został ograniczony do schludnie złożonego materiału leżącego na oparciu kanapy. Raymonda nie było w zasięgu wzroku.

– Miał gorszy dzień – wyjaśniła Grace. – Lyle wpadł na chwilę w drodze do domu i wspólnie położyliśmy go do łóżka.

Nawet telewizor był wyłączony. Zastanawiałam się, czym Grace się zajmowała wieczorami.

– Rzeczy Elizabeth są w piwnicy – powiedziała cicho. – Tylko wezmę klucz do skrzyni.

Chwilę później wróciła z kluczem. Wyszliśmy z mieszkania na korytarz. Skreśliśmy w lewo, minęliśmy klatkę schodową i po-deszliśmy do drzwi do piwnicy, które znajdowały się po prawej. Były zamknięte na klucz. Otworzyła je, a następnie zapaliła światło włącznikiem na szczycie schodów. Do moich nozdrzy już docierał suchy, stęchły zapach starych moskitier oraz do połowy zużytych puszek z farbą lateksową. Schodziłyśmy wąskimi schodami, ja dwa kroki za Grace. W pewnym momencie drewniane schody ostro skręcały w prawo. Stojąc na podeście, zauważyłam na dole betonową podłogę oraz skrzynie ze sklejki sięgające niskiego sufitu. Instykt podpowiedział mi, że coś tu nie gra, ale zanim umysł zarejestrował to nieuchwytnie wrażenie, powietrze przeciął świst pocisku. Żarówka na podeście roztrzaskała się, osypując nas obie ostrymi igielkami szkła, a piwnica pograżyła się w całkowitej ciemności. Grace wydała okrzyk przerażenia; złapałam ją za ramię i pociągnęłam tyłem z powrotem na górę. Straciłam równowagę, a Grace wpadła na mnie i teraz obie leżałyśmy na schodach. W piwnicy musiało być drugie wyjście, prowadzące bezpośrednio na zewnątrz, bo usłyszałam skrzypnięcie drewna, jakiś łomot, a następnie szybkie kroki – ktoś biegł betonowymi schodami, przeskakując po dwa na raz. Wygrzebałam się spod Grace,

siłą wyciągnęłam ją na górę, po czym zostawiłam w korytarzu, a sama wybiegłam frontowymi drzwiami i okrążyłam budynek. Ktoś zostawił na podjeździe starą kosiarkę spalinową. W ciemności potknęłam się o nią i wyciągnęłam się jak długa, boleśnie przejeżdżając dłońmi i kolanami po betonie. Klnąc na czym świat stoi, jakoś się pozbierałam i stanęłam na nogi. Zgięta w pół, słysząc w uszach dudnienie własnego serca, dotarłam na tyły budynku. Otaczała mnie ciemność czarna jak smoła, moje oczy dopiero zaczynały się do niej przyzwyczajać. Ulicę dalej ktoś odpalił samochód, usłyszałam, jak odjeżdża, szybko zmieniając biegi. Cofnęłam się i przylgnęłam do ściany budynku. Jednak słychać było tylko cichnący w oddali ryk pędzącego samochodu. W ustach miałam zupełnie sucho. Byłam cała mokra od potu, moim ciałem wstrząsnął spóźniony dreszcz. Wnętrza obu dłoni mnie paliły, w chwili upadku ostre drobinki żwiru powbijały się w żywe ciało. Truchtem pobiegłam do auta. Z walizki wyjęłam latarkę i mały automat. Bez namysłu wepchnęłam go do kieszeni wiatrówki. Nie wydało mi się, żeby w piwnicy był jeszcze ktoś, kogo mogłabym zastrzelić, ale miałam już dosyć niespodzianek.

Grace siedziała w progu z głową zwieszoną między kolanami. Jej ciałem wstrząsały dreszcze, szlochała. Pomogłam jej wstać i przytrzymałam drzwi do mieszkania.

– Lyle wiedział, że przyjeżdżam po te rzeczy, prawda? – naskoczyłam na nią. Posłała mi zaszczute, błagalne spojrzenie:

– To na pewno nie on. Lyle by mi tego nie zrobił – powiedziała płacząco.

– Wzruszające, że tak w niego wierzysz, Grace – powiedziałam cierpko, darując sobie konwenanse. – A teraz usiądź. Wracam za minutę.

Wróciłam do drzwi prowadzących do piwnicy. Snop światła z latarki przeciął ciemność. Na szczycie schodów była druga żarówka, pociągnęłam za sznurek, żeby się zaświeciła. Słabe światło z kołyszącej się żarówki tworzyło w ciemności jasny krąg, który poruszał się coraz wolniej, aż znieruchomiał. Wyłączyłam latarkę. Już wiedziałam, która skrzynia należy do pani Glass. Była roztrzaskana,

kłódka kołysała się bezradnie w miejscu, gdzie wyłamano sklejkę. Znajdujące się w środku kartonowe pudła były porozrywane, a ich zawartość rozrzucona w pośpiechu. Brodząc po kostki w papierach, podeszłam bliżej. Wszystkie opróżnione pudła podpisane były tym samym imieniem: „Elizabeth”, starannie nakreślonym widocznymi z daleka pociągnięciami mazaka. Zastanawiałam się, na jakim etapie przeszkodziłyśmy intruzowi, czy udało mu się znaleźć to, czego szukał. Usłyszałam za sobą jakiś szmer i odwróciłam się, unosząc latarkę, jakby to był kij.

Na dole schodów stał mężczyzna, patrzył na mnie oszołomiony.

– Czy coś się stało?

– Kurwa mać! Kim pan jest?

Mężczyzna był w średnim wieku. Trzymał ręce w kieszeniach i najwyraźniej nie wiedział, co o tym wszystkim myśleć.

– Frank Isenberg z mieszkania numer trzy – powiedział przeproszającym tonem. – Czy ktoś się włamał? Mam zawiadomić policję?

– Nie, proszę tego jeszcze nie robić. Najpierw muszę porozmawiać z Grace. Wygląda na to, że zniszczono tylko jej skrzynię. Może to po prostu dzieciaki – powiedziałam, a serce ciągle mi waliło. – Nie powinien pan tak się za mną skradać.

– Przepraszam. Pomyślałem, że może potrzebuje pani pomocy.

– Taaa... Dziękuję. Dam znać, jeśli czegoś będę potrzebować.

Stał tam jeszcze przez chwilę, najwyraźniej usiłując ogarnąć cały ten chaos. Potem wzruszył ramionami i wrócił na górę.

Sprawdziłam drzwi znajdujące się z tyłu piwnicy. Ktoś wybił szybę i sięgnął do środka, żeby odsunąć zasuwę. Oczywiście teraz były otwarte na oścież. Zamknęłam je i zasunęłam z powrotem zasuwę. Gdy się odwróciłam, zobaczyłam, jak Grace bojaźliwie zsuwa się po schodach. Twarz miała ciągle bladą. Kurczowo uczepliła się poręczą:

– Rzeczy Elizabeth – szepnęła. – Zniszczyli wszystkie jej pudła, wszystkie rzeczy, które ocalałam.

– Może jednak powinniśmy zadzwonić po policję – poradziłam złośliwie, zastanawiając się, do jakiego stopnia będzie usiłowała chronić Lyle'a.

– Tak uważasz? – upewniła się. Jej wzrok błądził niezdecydowanie po pobojuwisku. Wyjęła chusteczkę i przycisnęła ją do czoła, jakby chciała otrzeć kropelki potu.

– Może niczego nie brakuje – powiedziała z nadzieją w głosie. – Może nic nie zabrali.

– A może i tak nie zauważymy różnicy – odparłam.

Podciągnęła się, wstała i podeszła do skrzyni, próbując ogarnąć wzrokiem rozrzucone sterty papierów, pluszaki, kosmetyki i bieliznę. Zatrzymała się, podnosząc przypadkowe papiery i próbując ułożyć je w stosiki. Ciągłe trzęsły jej się ręce, ale nie wydawało mi się, żeby była przestraszona, raczej spłoszona. Usiłowała szybko zebrać myśli.

– Rozumiem, że Raymond nadal śpi – powiedziałam.

Przytaknęła, a oczy napęłniały się jej łzami, gdy powoli docierał do niej rozmiar dokonanego wandalizmu. Czułam, że mięknę. Może to i była robota Lyle’a, jednak nic nie zmieniało faktu, że dokonano tego z zimną krwią, podle zniszczono coś, co było dla Grace bardzo cenne. Wystarczająco już się nacierpiała. Odłożyłam latarkę i zaczęłam układać pamiątki z powrotem w kartonach: sztuczną biżuterię, bieliznę, stare numery czasopism dla nastolatek i magazynu „Vogue”, wykroje ubrań, których prawdopodobnie nie zdążyła sobie uszyć.

– Czy mogę pożyczyć te pudła, żeby je dziś w nocy przejrzeć? – zapytałam – Oddam je rano.

– Myślę, że tak. Teraz to już nie ma znaczenia – szepnęła, nie patrząc na mnie.

Sytuacja wydawała mi się beznadziejna. W tym całym bałaganie nigdy nie dojdę, czy czegoś brakuje. Będę musiała przekopać się przez wszystkie pudła, z nadzieją że może natknę się na coś ciekawego, ale szanse były naprawdę marne. Lyle – jeżeli to był on – nie mógł tu przebywać długo. Wiedział, że mam zamiar przyjechać po te rzeczy, a kiedy dziś przyszedł, Grace prawdopodobnie mu powiedziała, o której się mnie spodziewa. Po pierwsze, musiał poczekać do zmroku, a po drugie, pewnie zakładał, że przed zejściem na dół spędzimy na górze więcej czasu. Mimo wszystko sporo ryzykował. Chyba że po prostu mu nie zależało. Tylko dlaczego nie włamał się w ciągu tych trzech dni, kiedy mnie nie było? Pomyślałam o jego aroganckiej po-

stawie i przyszło mi do głowy, że zagranie mi na nosie mogło sprawić mu taką przyjemność, iż nie zawahał się nawet podjąć ryzyka.

Grace pomogła mi załadować pudła do samochodu, wszystkie sześć. Pomyślałam, że powinnam była je zabrać, kiedy przyjechałam tu po raz pierwszy, choć nie wyobrażałam sobie jazdy do Vegas z tylnym siedzeniem wyładowanym tekturowymi pudłami. Gdybym tak zrobiła, pudła byłyby w tym momencie nietknięte. Cholera, to wszystko moja wina, pomyślałam z goryczą.

Obiecałam Grace, że będę u niej zaraz z rana i odjechałam. Zapowiadała się długa noc.

Po drugiej stronie ulicy kupiłam dwa wielkie kubki czarnej kawy, z którymi zamknęłam się na klucz w pokoju motelowym. Starannie zasunęłam zasłony. Wyrzuciłam zawartość pierwszego kartonu na łóżko i zaczęłam segregować. Papiery szkolne na jednej kupce. Prywatne listy na drugiej. Dalej pluszaki. Ubrania. Kosmetyki. Rachunki i paragony. Najwyraźniej Grace zdecydowała się zachować każdą rzecz, której Elizabeth dotknęła od czasów przedszkola. Świadectwa szkolne. Projekty. Aż dziw bierze, że to wszystko zmieściło się w zaledwie sześciu kartonach. Deklaracje podatkowe. Wszystko, co pozostało po życiu człowieka, a tak naprawdę – kupa śmieci. Po co ktoś miałby kiedykolwiek do nich sięgać? Życiodajne emocje i wspomnienia już dawno się ulotniły. Próbowałam wczuć się w nią. Zrozumieć tę młodą dziewczynę. Jej dążenia, triumfy i małe porażki leżały przede mną posegregowane na kupki w obskurnym pokoju motelowym. Nawet nie wiedziałam, czego dokładnie szukam. Przejrzałam pamiętnik z piątej klasy: litery były okrągłe i równe, wpisy – nudne. Próbowałam sobie wyobrazić, że to ja nie żyję, a ktoś nieuważnie przerzuca moje rzeczy. Co by zostało po mnie, po moim życiu? Anulowane czeki. Napisane na maszynie, skatalogowane raporty. Wszystko, co wartościowe, sprowadzało się do lakonicznych notatek. Przechowywałam niewiele osobistych pamiątek, nie gromadziłam ani nie próbowałam ocalić od zapomnienia. Dwa orzeczenia rozwodów. I to by było na tyle. Zgromadziłam więcej materiałów dotyczących życia innych ludzi niż własnego, tak jakbym odkrywając fakty dotyczące in-

nych, próbowała dowiedzieć się czegoś o samej sobie. Moja własna tajemnica – niezgłębiona, nieodgadniona – została ukryta w teczkach z aktami spraw, porządnie opisanych, ale pilnie strzegących swojej prawdziwej treści. Przejrzałam ostatnie z pudeł Elizabeth, ale nie znalazłam w nim nic interesującego. Kiedy skończyłam, mijała czwarta nad ranem. Nic. Jeśli nawet coś tam kiedyś było, dzisiaj zostało zabrane, a ja czułam wściekłość na samą siebie, bo stało się to przez moją nieumiejętność właściwej oceny sytuacji. Już drugi raz zjawiałam się za późno – drugi raz istotna informacja wyślizgnęła mi się z rąk.

Zaczęłam ponownie pakować pudła, machinalnie sprawdzając ponownie każdą rzecz, zanim powędrowała do właściwego pojemnika. Ubrania do jednego, pluszaki upchnięte po bokach. Papiery szkolne, pamiętniki, zeszyty z zadaniami egzaminacyjnymi w kolejnym. Wszystko wracało z powrotem do pudeł, tym razem porządnie posegregowane i pedantycznie ułożone. Tak jakby zostawienie porządku było moim obowiązkiem wobec Elizabeth Glass, po tym, jak wepchałam się z buciorami do jej od dawna zapomnianego życia. Kartkowałam czasopisma, a książki chwyciłam za grzbiet, aby karki swobodnie falowały. Stosiki na łóżku były coraz mniejsze. Nie znalazłam wielu prywatnych listów i wcale mi się nie podobało, że muszę je czytać, a jednak to robiłam. Niektóre były od ciotki z Arizony. Inne od dziewczyny o imieniu Judy, prawdopodobnie koleżanki z liceum. Ani jedna, ani druga nie pisała nic na temat życia osobistego Libby, z czego można było wysnuć wniosek, że albo Libby im się nie zwierzała, albo w jej życiu osobistym niewiele się działo. Rozczarowanie było bolesne. Kończyłam przeglądanie ostatniego stosiku książek, w większości były to wydania w miękkich okładkach. Sporo mówiły o guście Libby. Leon Uris i Irving Stone, Victoria Holt, Georgette Heyer oraz kilka bardziej egzotycznych pozycji pochodzących z – jak zgadywałam – jakiegoś kursu omówień bibliograficznych na studiach. List wypadł pomiędzy stron sfatygowanego egzemplarza *Dumy i uprzedzenia*. Mało brakowało, a wrzuciłabym go do pudła razem z resztą papierów. List zajmował dwie strony, napisany był lekko pochylonym pismem, granatowym atramentem. Brak daty. Brak koperty. Brak stempla pocztowego. Podniosłam list za jeden róg i zaczęłam



czytać, czując mrowienie w dole kręgosłupa.

*Droga Elizabeth... Piszę do Ciebie, żebyś miała coś ode mnie, kiedy wrócisz do domu. Wiem, że te rozstania są dla Ciebie ciężkie, i żałuję, że nie mogę nic zrobić, by złagodzić Twój ból. Jesteś o wiele bardziej uczciwa niż ja, o wiele bardziej otwarta w kwestii swoich uczuć, niż ja pozwalam sobie być. Jednak kocham Cię i nie chcę, żebyś w to wątpiła. Masz rację, kiedy mówisz, że jestem konserwatystą. Jestem winny, Wysoki Sądzie, ale to nie znaczy, że nie cierpię. I chociaż nieraz oskarżano mnie o egoizm, nie traktuję innych tak lekko, jak może myślisz. Chciałbym, żebyśmy się nie spieszyli; chciałbym, byśmy się upewnili, że jest to coś, czego oboje pragniemy. To, co narodziło się między nami, jest dla mnie bardzo cenne. Nie mówię – uwierz mi, proszę – że nie byłbym dla Ciebie gotów całkowicie zmienić swojego życia. Z drugiej strony, uważam, że oboje powinniśmy nabrać całkowitej pewności, iż przetrwamy wszystkie absurdalne drobiazgi, jakie niesie codzienność bycia razem. W tej chwili jesteśmy oszołomieni intensywnym uczuciem, które na nas spadło. Najprostszym rozwiązaniem byłoby rzucić wszystko i rozpocząć nowe życie, ale przecież nie znamy się jeszcze ani długo, ani dobrze. Nie mogę pod wpływem chwili stawiać wszystkiego na jedną kartę: żony, dzieci, kariery, choć – przecież wiesz – myśl o tym jest kusząca. Proszę, nie spieszmy się. Kocham cię bardziej, niż potrafię to wyrazić, i nie chcę Cię stracić – co, jak sądzę, samo w sobie jest wielkim egoizmem. Masz prawo naciskać, ale, proszę, nie zapominaj, ile oboje mamy do stracenia, nie tylko ja, ale Ty też. Wybacz mi tę ostrożność, jeśli możesz. Kocham Cię. Laurence.*

Nie wiedziałam, co o tym myśleć. Nagle dotarło do mnie, że nie chodzi tylko o to, że *nie wierzyłam* w romans między Laurence'em i Elizabeth. Ja *nie chciałam* wierzyć. Nie byłam pewna, czy teraz wierzę. Skąd ten opór? Ten list był taki na czasie. Taki dogodny. Tak gładko się wpisywał w znany mi schemat faktów, a jednak ciągle się w niego wpatrywałam, ostrożnie trzymając go za róg. Przeczytałam jeszcze raz. Oparłam się o łóżko. Co się ze mną działo? Byłam wykończona i wiedziałam, że w ciągu ostatnich dni zbyt dużo się wydarzyło. Jednak coś mnie wewnętrznie dręczyło i nie byłam pewna,

czy jest to coś związanego z listem, czy raczej ze mną samą, z czymś, co tkwiło w mojej naturze, z jakimś małym przebłyskiem zrozumienia, przed którym tak bardzo się broniłam. List był autentyczny albo nie, istniały metody, żeby to sprawdzić. Z trudem wzięłam się w garść. Znalazłam dużą, żółtą kopertę i wrzuciłam do środka list, uważając, żeby nie zatrzeć odcisków palców. Wyobraziłam sobie, jaki zadowolony będzie Con Dolan, ponieważ ten list potwierdzi wszystkie jego najpaskudniejsze podejrzenia dotyczące tamtego okresu. Czy właśnie to odkryła Sharon Napier? Czy właśnie o tym bym od niej usłyszała, gdyby żyła wystarczająco długo, żeby ze mną porozmawiać?

Leżałam na łóżku w ubraniu, moje ciało było spięte, a umysł pracował na najwyższych obrotach. Kogo Sharon mogła mieć nadzieję szantażować taką informacją? Może właśnie takie były jej zamiary. To dlatego musiała zginąć. Ktoś pojechał za mną do Las Vegas. Wiedział, że się z nią spotkam, wiedział, że Sharon potwierdzi to, w co nie chciałam uwierzyć. Oczywiście nie miałam na to żadnych dowodów, ale zastanawiałam się, czy dostatecznie zbliżyłam się do prawdy, by samej być w niebezpieczeństwie. Chciałam jechać do domu. Chciałam się schronić w zaciszu mojego małego pokoju... Jeszcze nie widziałam tego całkiem jasno, ale już byłam blisko. Przez osiem lat panował spokój, a teraz wszystko zaczynało się od nowa. Jeśli Nikki jest niewinna, ktoś przez cały ten czas był w bardzo komfortowej sytuacji, a teraz znalazł się bardzo blisko zdemaskowania.

Nagle przypomniałam sobie niezrozumiałą wrogość, irracjonalny gniew, które błysnęły w oczach Nikki. To ona puściła tę maszynę w ruch. Musiałam wziąć pod uwagę, że Sharon Napier mogła szantażować ją, że Sharon wiedziała coś, co mogło połączyć Nikki ze śmiercią Libby. Jeżeli Sharon znikła z pola widzenia, to całkiem możliwe, że Nikki wynajęła mnie, bym ją odnalazła, i żeby ona, Nikki, mogła za pomocą jednego strzału pozbyć się niebezpieczeństwa. Nikki mogła również wrócić za mną do Sherman Oaks, gdzie gorączkowo przekopała rzeczy Libby w poszukiwaniu czegoś, co by mogło połączyć osobę Libby z Laurence'em Fife'em. Niektórych kawałków układanki nadal brakowało, ale byłam pewna, że wkrótce

trafią na swoje miejsce i być może całość zyska wtedy nowy sens. Zakładając, że będę żyła wystarczająco długo, żeby ten sens odczytać...

## 18

Zwlekłam się z łóżka o szóstej rano, nie zmrúżywszy nawet oka. Czułam, że mam nieświeży oddech, więc umyłam zęby. Wzięłam prysznic i ubrałam się. Miałam ochotę pobiegać, ale uświadomiłam sobie, iż nie byłoby rozsądnie robić sobie przebieżki przez sam środek San Vicente o tak wczesnej godzinie. Spakowałam się, zamknęłam maszynę do pisania i wepchnęłam kartki z raportem do walizki. Załadowałam pudła z powrotem do samochodu, podobnie jak walizkę. Światła w biurze były włączone, widziałam, jak Arlette wyjmuje z pudełka przysłanego z piekarni pączki z galaretką i układa je na plastikowym talerzu, który następnie nakrywa przezroczystym kloszem. Woda na tę paskudną, pozbawioną smaku kawę rozpuszczalną już się grzała. Kiedy weszłam, Arlette zlizywała z palców cukier puder.

– Mój Boże, ale okropnie wcześnie wstałaś! – zdziwiła się. – Masz ochotę na śniadanie?

Potrząsnęłam głową. Lubię śmieciowe jedzenie, ale pączek z galaretką nie przeszedłby mi przez gardło.

– Dzięki, ale nie – odmówiłam. – Chciałabym się wymeldować.

– Teraz?

Kiwnęłam głową, zbyt zmęczona, by mówić. Do Arlette wreszcie dotarło, że nie jest to najlepszy czas na pogawędkę. Przygotowała mój rachunek, a ja go podpisałam, nawet nie sprawdzając, czy dobrze podliczyła opłaty. Zwykle się w tym myliła, ale dzisiaj miałam to gdzieś.

Wsiadłam do auta i pojechałam w stronę Sherman Oaks. Okrążyłam budynek i stanęłam przed oknem Grace. W kuchni się świeciło. Zapukałam w szybę, po chwili Grace wyszła na werandę i otworzyła mi drzwi. Sztruksowa, rozkloszowana spódnica i bawełniany, kawowy golf podkreślały jej drobną, filigranową sylwetkę. Mówiła ściszym głosem:

– Raymond jeszcze śpi, a ja właśnie zaparzyłam kawę. Może się na-

pijesz? – zaproponowała.

– Dzięki, ale mam śniadanie z klientem o ósmej – skłamałam automatycznie. Cokolwiek powiem, ona przekaże to Lyle’owi. Miejsce mojego pobytu nie powinno go obchodzić. Jej zresztą też nie. – Przyjechałam tylko oddać pudła.

– Znalazłaś coś? – zapytała. Jej oczy na bardzo krótki moment spotkały się z moimi. Szybko odwróciła wzrok, gwałtownie mrugając i spojrzała najpierw na podłogę, a potem gdzieś w lewo koło mnie.

– Za późno – odpowiedziałam lakonicznie, starając się nie zwracać uwagi na rumieniec, który oblał jej policzki i zapewne oznaczał ulgę.

– Jaka szkoda! – wymamrotała płaczliwie, przykładając dłoń do gardła. – Ja... yyy... jestem pewna, że to nie był Lyle...

– Teraz to i tak bez znaczenia – powiedziałam. Mimo wszystko było mi jej żal. – Spakowałam wszystko najstaranniej jak potrafiłam. Zostawię pudła w piwnicy koło skrzyni. Pewnie będziesz chciała ją zreperować, kiedy drzwi na dole zostaną naprawione.

Kiwnęła głową. Podeszła, żeby zamknąć drzwi. Patrzyłam, jak bezgłośnie wraca do kuchni w swoich miękkich kapciach. Czułam się, jakby to była moja wina, że jej spokój został naruszony. Spotkanie ze mną skończyło się dla niej łzami. Starła się na swój sposób pomóc, a w zamian nie dostała nic. Jednak musiałam wziąć się w garść. Na tym etapie nic nie mogłam zrobić. Wypakowałam kartony z auta i po kolei zaniiosłam do piwnicy, gdzie postawiłam je koło zniszczonej skrzyni. Nieświadomie nasłuchiwałam, czy jakiś odgłos nie zdradza obecności czającego się w mroku Lyle’a. W dzień piwnica zalana była zimnym i szarym światłem, ale jeśli nie liczyć roztrzaskanej skrzyni i rozbitego okna, nie było tu śladu intruza. Gdy po raz ostatni wychodziłam z piwnicy, rozejrzałam się uważnie, czy gdzieś nie leży rozdeptany niedopałek, nie ma krwawego odcisku palca albo wizytówki, która wypadła włamywaczowi. Jednak nic nie znalazłam. Wyszłam na górę betonowymi schodami i spojrzałam w prawo, żeby się przekonać, którądy czmychnął włamywacz. Musiał przeciąć nieskroszoną trawę na podwórku z tyłu budynku, potem pokonać ogrodzenie z metalowej siatki i wreszcie przedrzeć się przez gęste zarośla. Za nimi zaczynała się ulica, na której pewnie zaparkował. Ciągle trwał wczesny

ranek, światło było płaskie i nieruchome. Dochodziły mnie odgłosy dużego ruchu na autostradzie Ventura, widocznej między kępami drzew po prawej. Ziemia nie była wystarczająco miękka, żeby mogły się na niej odbić ślady butów. Obeszłam budynek, by dotrzeć na podjazd po mojej lewej. Ciekawa rzecz, kosiarka już nie blokowała przejścia, została odciągnięta na bok. Wewnętrzne strony dłoni ciągle miałam porządnie przeorane. W miejscach, którymi przejechałam po żwirze, widniały pięciocentymetrowe szramy. Wczoraj nie pomyślałam nawet o tym, żeby je zdezynfekować, i teraz pozostawało mi mieć nadzieję, że nie padnę ofiarą paskudnej gangreny, perfidnej infekcji albo zatrucia krwi – jednego z niebezpieczeństw, przed którymi ostrzegała mnie ciotka za każdym razem, kiedy rozbiłam kolano.

Wróciłam do samochodu i ruszyłam w drogę do Santa Teresa, po drodze zatrzymując się w Thousand Oaks na śniadanie. Byłam w domu przed dziesiątą rano. Zawinęłam się w kołdrę i większość dnia przespałam na kanapie.

O czwartej po południu pojechałam do domu na plaży Nikki. Wcześniej zadzwoniłam poinformować ją, że wróciłam, a ona zaprosiła mnie na drinka. Nie byłam jeszcze pewna, jak dużo mam zamiar jej powiedzieć ani jak dużo – o ile cokolwiek – zachowam dla siebie. Ostatnio nie dawały mi spokoju podejrzenia wobec niej, chciałam sprawdzić, czy coś w nich jest. W toku każdego śledztwa przychodzi moment, kiedy moje domysły na temat potencjalnych możliwości zaciemniają się i podają w wątpliwość towarzyszące mi od dawna przecucie, gdzie leży prawda. Chciałam sprawdzić, czy intuicja mnie nie myli.

Dom położony był na urwisku wznoszącym się nad oceanem. Parcela niewielka, o nieregularnym kształcie, otoczona drzewami eukaliptusowymi. Dom pięknie się komponował na tle wawrzynów i cisów oraz ciągnących się wzdłuż ścieżki grządek różowego i czerwonego geranium. Wyłożony cedrowymi gontami, brązowym, surowo wyglądającym drewnem, z dachem o falistym kształcie, niczym fala oceanu. Z przodu przyciągało uwagę wielkie owalne okno, po jego

obu stronach mniejsze okna wykuszowe. W oknach nie było zasłon. Na bladozielonym trawniku delikatne źdźbła trawy wyglądały tak delikatnie, że aż miałam ochotę ich skosztować, a skrawki złuszczonej kory eukaliptusów mieszały się ze sobą jak strużyny drewna. Na zapuszczonych grządkach kwitły białe i żółte stokrotki. Całość dawała efekt lekkiego zaniedbania i wytwornej naturalności. Roślinność była tutaj nie tyle ujarzmiona, ile lekko ukształtowana, do tego w niezwykłej harmonii z dominującym zapachem oceanu oraz głuchym hukiem roztrzaskujących się o skały poniżej fal. Wilgotne powietrze miało słony zapach, wiatr mierzwił nierówno przystrzyżoną trawę. Podczas gdy dom w Montebello był solidną, konwencjonalną, pozbawioną polotu bryłą, ten wydawał się raczej domeczkiem z bajki – zaokrąglone narożniki, mnóstwo okien i surowe drewno. Drzwi frontowe ozdobił wysoki, owalny witraż wypełniony figurami w kształcie tulipanów, a dzwonek do drzwi przypominał swoim brzmieniem dzwonki wietrzne.

Nikki pojawiła się od razu. Była w długiej luźnej sukni z szerokimi rękawami w kolorze zgaszonej zieleni, której górną część ozdobiły lusterka wielkości dziesięciocentówek. Włosy miała starannie zebrane i związane wysoko bladozieloną, aksamitną wstążką. Wydawała się rozluźniona, jej szerokie czoło było gładkie, szare oczy – jasne i przejrzyste, a usta delikatnie zaróżowione. Błądził po nich cień uśmiechu, jak gdyby rozbawiło ją coś, czego nikt inny nie dostrzegął. W jej zachowaniu nie było teraz nic z niedawnej apatii, wydawała się ożywiona i pełna energii. Miałam ze sobą album ze zdjęciami, który dała mi Diane. Kiedy Nikki zamknęła za mną drzwi, podałam go jej.

– Co to? – zapytała.

– Diane zebrała rodzinne zdjęcia dla Colina – wyjaśniłam.

– Chodź dalej, poznasz go – zachęciła. – Właśnie pieczemy chleb.

Szła przez dom przodem, ja za nią. W całym domu w ogóle nie było kwadratowych pokoi. Pomieszczenia płynnie przechodziły jedno w drugie, połączone lśniąącymi podłogami z bladego drewna i jasnymi, puszystymi chodnikami. Wszędzie były okna, rośliny, świetliki. Fantazyjny kominek w salonie wyglądał, jakby płowożółte otoczaki ułożone zostały zupełnie przypadkowo, można go było wziąć za wejście do ja-

skini. O ścianę naprzeciwko oparta była najzwyczajniejsza drabina prowadząca na poddasze, z którego rozciągał się widok na ocean. Nikki obejrzała się i posłała mi radosny uśmiech, kładąc album na szklanym stoliku, obok którego akurat przechodziła.

Kuchnia była półokrągła. Znajdowały się w niej zrobione z drewna oraz białego laminatu płyty oraz soczyście zielone, dorodne rośliny. Okna z trzech stron wychodziły na pomost i rozciągający się za nim ocean, szeroki i srebrzysty w świetle późnego popołudnia. Colin stał odwrócony do mnie tyłem. Zagniatał ciasto na chleb i był całkowicie pochłonięty tą czynnością. Jego włosy miały ten sam blady, nieokreślony odcień, co włosy Nikki; wijące się na karku kędziorki były tak samo jedwabiste jak jej. Ramiona miał muskularne i silne, dłonie zręczne, a palce długie. Zbierał krawędzie ciasta, ugniatał w kierunku środka, po czym przewracał zgrabną kulkę na drugą stronę. Właśnie wchodził w okres dojrzewania, już wystrzelił w górę, ale jeszcze nie nabrał typowej dla nastolatków niezręczności. Nikki dotknęła go i chłopiec szybko się odwrócił. Natychmiast spojrzał na mnie. Zaparło mi dech. Miał wielkie, lekko skośne, oliwkowe oczy okolone gęstymi i ciemnymi rzęsami. Jego twarz była wąska, podbródek spiczasty, uszy również miał delikatnie szpiczaste. Do tego jeszcze jasne włosy układające się na czole w kształt trójkąta – i w efekcie Colin przypominał małego chochlika. Oboje razem wyglądali jak postacie z ilustracji w książce z bajkami – delikatni, piękni i dziwni. Oczy Colina były pełne spokoju, beznamietne, skrzące się inteligencją. Takim samym spojrzeniem mierzą nas czasem koty – mądrym, pełnym rezerwy i poważnym.

Kiedy odezwałam się do Nikki, uważnie przyglądał się naszym ustom, a jego własne rozchyliły się nieświadomie, tworząc niepokojąco seksualny efekt.

– Chyba właśnie się zakochałam – powiedziałam, śmiejąc się. Nikki uśmiechnęła się, migając do Colina pełnymi wdzięku, precyzyjnymi palcami. Colin posłał mi uśmiech o wiele zbyt dojrzały jak na jego wiek. Poczułam, że się rumienię.

– Mam nadzieję, że mu tego nie powiedziałaś – chciałam wiedzieć.  
– W takim przypadku prawdopodobnie musielibyśmy razem uciec.



– Powiedziałam mu, że jesteś pierwszą przyjazną duszą, którą spotkałam po wyjściu z więzienia. Powiedziałam mu też, że potrzebujesz drinka – wyjaśniła, ciągle migając i wpatrując się w twarz Colina. – Zwykle tyle nie migamy. Po prostu sobie ćwiczę.

Nikki zajęła się otwieraniem butelki wina, a ja obserwowałam, jak Colin wyrabia ciasto. Zaproponował, żebym mu pomogła, ale pokręciłam głową, wolałam przyglądać się jego zręcznym dłoniom, pod których dotykiem ciasto w niemal magiczny sposób zamieniało się w lśniącą, elastyczną masę. Od czasu do czasu wydawał chrapliwe, niezrozumiałe dźwięki, najwyraźniej nie zdając sobie z tego sprawy.

Nikki podała mi schłodzone białe wino w kieliszku ze smukłą nóżką, ona piła wodę Perrier.

– Za zwolnienie warunkowe – powiedziała.

– Wyglądasz na o wiele bardziej rozluźnioną – zauważyłam.

– Och, bo jestem. Czuję się wspaniale. Tak dobrze mieć go tutaj. Czuję się jak szczeniaczek, wszędzie za nim chodzę. Nie daję mu chwili spokoju!

Jej dłonie automatycznie się poruszały, widziałam, że na bieżąco tłumaczy mu wszystko, co do mnie mówi. Poczulałam się niegrzeczna i niezręczna z powodu nieznamości języka migowego. Miałam przeżucie, że są rzeczy, które chciałabym powiedzieć mu osobiście, pytania dotyczące ciszy w jego głowie, które pragnęłabym zadać. Cała sytuacja była nieco komediowa – Nikki migając, używała całego ciała, ramion, twarzy, angażowała się w to całą swoją osobą, a Colin odpowiadał jej jak gdyby nigdy nic, od niechcienia. Migał o wiele szybciej niż ona, nie zastanawiając się. Nikki czasami się zatrzymywała, szukała w pamięci jakiegoś słowa, starała się je sobie przypomnieć, wreszcie śmiała się, przyznając przed nim do własnego zapominalstwa. On wtedy słał jej pobłażliwy, pełen czułości uśmiech, a ja zazdrościłam im tego wyjątkowego, pełnego tajemnic i łagodnej kpiny z samych siebie świata, w którym Colin był mistrzem, a Nikki – jego uczennicą. Nie wyobrażałam sobie Nikki z jakimkolwiek innym dzieckiem.

Colin włożył gładką kulę ciasta do miski, obrócił ją raz, żeby pokryć całą jego bladą powierzchnię masłem, a następnie starannie

przykrył miskę czystą, białą ściereczką. Nikki gestem poprosiła go, żeby przeszedł do salonu, gdzie pokazała mu album. Colin przycupnął na brzegu sofy, pochylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach. Otwarty album leżał przed nim na stoliku. Miał twarz nieruchomą, ale oczy chłoneły wszystko, był całkowicie zaabsorbowany oglądaniem zdjęć.

Nikki i ja wyszłyśmy na taras. Zapadał wieczór, ale ciągle było słonecznie, przez co wydawało się, że jeszcze jest ciepło. Nikki stanęła przy balustradzie i wpatrywała się w huczący u naszych stóp ocean. Tuż pod powierzchnią wody gdzieniegdzie widziałam splątane wodorosty, których ciemne pasma tańczyły w jasnozielonych falach.

– Nikki, mówiłaś komuś, gdzie i w jakim celu się wybieram? – zapytałam.

– Nie, nikomu – odparła zdziwiona. – Dlaczego pytasz?

Opowiedziałam jej o wydarzeniach z ostatnich kilku dni – o śmierci Sharon Napier, moich rozmowach z Gregiem i Diane, liście odnalezionym wśród rzeczy Libby Glass. Intuicja kazała mi jej zaufać.

– Rozpoznałabyś jego charakter pisma?

– Jasne.

Wyjęłam z torebki żółtą kopertę, ostrożnie wydobyłam z niej list i rozłożyłam kartki. Nikki wystarczył rzut oka:

– To jego pismo.

– Chciałabym, żebyś przeczytała ten list – powiedziałam. – Żebyś sprawdziła, czy potwierdza twoje przypuszczenia dotyczące tego, co się wtedy działo.

Niechętnie spojrzała na bladobłękitne strony. Kiedy skończyła, wydawała się prawie zażenowana:

– Nie miałam pojęcia, że sprawy posunęły się tak daleko. Inne kochanki traktował lekko.

– A Charlotte Mercer?

– To dziwka. I alkoholiczka. Raz do mnie zadzwoniła. Nienawidziłam jej, a ona nienawidziła mnie. Nie wyobrażasz sobie, co wygadywała!

Ostrożnie złożyłam list:

– Czegoś tu nie rozumiem. Od Charlotte Mercer do Libby Glass.

Duży przeskok. Wydawało mi się, że ma gust.

Nikki wzruszyła ramionami:

– Łatwo go było uwieść. Był bardzo próżny. A Charlotte *jest* piękna... na swój sposób.

– Jak się poznali? Rozwodziła się?

Nikki potrząsnęła głową:

– Przyjaźniliśmy się z nimi. Sędzia Mercer był nawet w pewnym momencie dla Laurence'a kimś w rodzaju mentora. Nie wydaje mi się, by kiedykolwiek dowiedział się o tym romansie – myślę, że to by go zabiło. Tak nawiasem mówiąc, to nasz jedyny uczciwy sędzia. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jacy są inni.

– Rozmawiałam z nią krótko – powiedziałam – ale nie wydaje mi się, żeby była w to wmieszana. To musiał być ktoś, kto wiedział, gdzie jestem, a ona nie mogła zdobyć takiej informacji. Ktoś musiał pojechać za mną do Las Vegas. Morderstwo Sharon było zbyt precyzyjne czasowo, żeby to uznać za przypadek.

Na pomoście pojawił się Colin, stanął koło Nikki i położył na balustradzie otwarty album. Wskazał na jedno ze zdjęć i powiedział coś, czego wcale nie mogłam zrozumieć, brzmiało to jak niewyraźny ciąg samogłosek. Po raz pierwszy usłyszałam, jak mówi. Miał głęboki głos, wydawało mi się, że zbyt niski jak na dwunastolatka.

– To Diane w dniu, kiedy kończyła gimnazjum – wyjaśniła Nikki. Colin przez chwilę na nią patrzył, po czym wskazał jeszcze raz, w bardziej zdecydowany sposób. Położył palec wskazujący na swoich ustach i szybko ruszał nim w górę i w dół. Nikki zmarszczyła brwi.

– Kogo masz na myśli, kochanie?

Colin wskazał palcem na grupę ludzi.

– To Diane, Greg, koleżanka Diane, Terri, i mama Diane – powiedziała, wyraźnie artykułując głoski i migając jednocześnie.

Na ustach Colina zadrgał zaskoczony uśmiech. Wyrzucił przed siebie ręce, przyłożył kciuk do czoła, a następnie do podbródka.

Tym razem to Nikki się roześmiała, a minę miała równie zaskoczoną jak on.

– Nie, to jest Nana – powiedziała, pokazując mu zdjęcie z wcześniejszej strony. – A to jest mama *Diane*, nie taty. Mama Grega

i Diane. Nie pamiętasz Nany? O Boże, przecież on nie może jej pamiętać – zwróciła się do mnie. – Umarła, kiedy miał rok.

Zwróciła wzrok z powrotem na Colina.

Colin wydał z siebie serię gardłowych dźwięków; brzmiało to, jakby się na coś nie zgadzał i był zdenerwowany własną bezsilnością. Zastanawiałam się, jak się zmieni jego usposobienie, gdy na dobre wejdzie w wiek dojrzewanania. Znowu – kciuk na czole, a następnie na podbródku. Nikki rzuciła w moją stronę kolejne spojrzenie.

– Powtarza „mama taty”, mając na myśli Gwen. Jak mu wyjaśnić pojęcie byłej żony?

Jeszcze raz spróbowała mu wytłumaczyć, cierpliwie migając.

Colin lekko potrząsnął głową, nagle niepewny swego. Przyglądał się matce jeszcze przez chwilę, jakby liczył, że usłyszy jakieś dalsze wyjaśnienie. Potem wziął album i wycofał się, z oczami ciągle utkwionymi w twarzy Nikki. Jeszcze coś powiedział w języku migowym, rumieniąc się z zakłopotania. Najwyraźniej nie chciał się przede mną wygłupić.

– Za chwilę obejrzymy je razem – zamigła do niego, jednocześnie mówiąc to na głos.

Colin powoli się wycofał przez szklane drzwi przesuwne, zatrzasnąwszy za sobą drzwi z moskitierą.

– Przepraszam za to – powiedziała krótko Nikki.

– Nic się nie dzieje. I tak już muszę iść.

– Jeśli masz ochotę, możesz zostać na kolacji. Ugotowałam duży garnek *beef bourguignon*. Znakomicie smakuje z chlebem Colina.

– Dzięki, ale mam mnóstwo spraw do załatwienia – powiedziałam.

Nikki odprowadziła mnie do drzwi, nieświadomie tłumacząc na język migowy nasze pożegnalne pogaduszki.

Wsiadłam do samochodu i siedziałam tam przez chwilę, zdumiona zaskoczeniem Colina w związku z Gwen. To było dziwne. Bardzo dziwne.

## 19

Wróciłam do domu. Na progu siedział Charlie Scorsoni. Poczułam się niechlujna i kompletnie nieprzygotowana na spotkanie z nim. W chwili gdy go zobaczyłam, z zażenowaniem zdałam sobie sprawę, że skrycie fantazjowałam na temat naszego kolejnego spotkania. Miało jednak wyglądać zupełnie inaczej.

– Na miłość boską, nie reaguj tak entuzjastycznie, Millhone! – powiedział sarkastycznie na widok mojej miny.

Wyjęłam klucz.

– Przepraszam – rzekłam – ale zjawiasz się w najgorszym możliwym momencie.

– Masz randkę – próbował zgadnąć.

– Nie, nie mam randki. Po prostu beznadziejnie wyglądam. – Otworzyłam drzwi i włączyłam lampkę na biurku. Wszedł za mną.

– Przynajmniej tryskasz dobrym humorem – powiedział. Czuł się jak u siebie w domu; wolnym krokiem udał się do kuchni i wyjął z lodówki ostatnie piwo. Ta jego pewność siebie rozzłościła mnie.

– Posłuchaj, muszę zrobić pranie. Od tygodnia nie byłam w sklepie. Skrzynka na listy jest przepełniona, a całe mieszkanie tonie w kurzu. Do tego od naszego ostatniego spotkania nie ogoliłam nóg.

– Powinnaś też pójść do fryzjera – podpowiedział usłużnie.

– Nie, nie powinnam, Moje włosy zawsze tak wyglądają.

Uśmiechnął się, potrząsając głową:

– Ubieraj się. Idziemy coś zjeść.

– Nie chcę nigdzie iść. Chcę trochę ogarnąć siebie i dom.

– Możesz się tym zająć jutro. Jutro jest niedziela. Założę się, że takimi głównianymi rzeczami i tak zajmujesz się w niedzielę.

Gapiłam się na niego przez chwilę. Miał cholerną rację.

– Poczekaj chwilę. Powiem ci, jak to powinno wyglądać – postanowiłam cierpliwie mu rzecz wytłumaczyć. – Przyjeżdżam do domu. Odrabiam zaległości z obowiązkami domowymi, a w nocy porządnie się

wysypiam, co jest mi bardzo potrzebne. Na drugi dzień do ciebie dzwonię i spotykamy się wieczorem.

– Jutro wieczorem muszę być w kancelarii. Mam spotkanie z klientem.

– W niedzielę wieczór?

– W poniedziałek rano mamy rozprawę, a to był jedyny termin, który nam pasował. Wróciłem do miasta w czwartek wieczór i mam cholernie dużo roboty.

Jeszcze chwilę się na niego gapiłam, nie mogąc się zdecydować:

– Gdzie mielibyśmy iść? Musiałabym się stroić?

– Hm... Tak ubranej nie zabieram cię nigdzie.

Przyjrzałam się swojemu strojowi. Ciągle miałam na sobie dżinsy i koszulę, w których spałam. Jednak nie zamierzałam poddać się bez walki.

– A co jest ze mną nie tak? – spytałam zaczepnie.

– Weź prysznic i zmień ciuchy. Zrobię ci zakupy w spożywczym, tylko daj mi listę. Kiedy wrócę, będziesz już gotowa, tak?

– Lubię sama robić swoje zakupy. Poza tym tak naprawdę potrzebuję tylko mleka i piwa.

– W takim razie po kolacji wpadniemy do supermarketu – powiedział, przesadnie podkreślając każde słowo.

Pojechaliśmy do Ranch House w Ojai, jednej z tych eleganckich restauracji, w których stojący na baczność koło twojego stolika kelner recytuje menu, jakby to był jakiś poemat.

– Mogę wybrać dla nas menu, czy to obrazi twoją kobiecą niezależność?

– Proszę bardzo – powiedziałam, czując dziwną ulgę. – Nie mam nic przeciwko.

Podczas gdy Charlie i kelner naradzali się, ja ukradkiem obserwowałam twarz tego pierwszego. Była silna i kwadratowa, z mocno zarysowaną szczęką, wyraźną dziurką w brodzie i pełnymi ustami. Nos był chyba kiedyś złamany, ale potem został zręcznie nastawiony – została tylko prawie niewidoczna blizna. Zza okularów z dużymi, zabarwionymi na niebieskoszary kolor szklami wyglądały błękitne oczy o bar-

wie czystej jak niebo. Płowe rzęsy, płowe brwi, gęste płowe włosy, które dopiero zaczynały rzednąć na skroniach. Miał duże dłonie i solidne nadgarstki, zauważyłam też, że spod mankietów wystają płowe włoski. Było w nim coś jeszcze, jakiś tłący się żar, coś, czego nie dało się łatwo zdefiniować. Ogarnęło mnie to samo co przedtem wrażenie czającej się gdzieś w głębi seksualności, która od czasu do czasu wy-nurzała się na powierzchnię. Czasem wydawało się, że emanują z niego niemal słyszalne wibracje, jak z biegnącej przez wzgórza linii elektrycznej, złowieszczej i opatrzonej znakami „Uwaga! Niebezpieczeństwo!”. Budził we mnie lęk.

Kelner kiwnął głową i odszedł. Charlie odwrócił się w moją stronę, nie wiadomo czemu rozbawiony. Lekko zaniemówiłam, ale on nie dał po sobie poznać, że to zauważył, za co byłam mu wdzięczna. Czułam na policzkach delikatny rumieniec, ogarnęło mnie to samo uczucie zażenowania, co w szóstej klasie na urodzinach koleżanki, kiedy zdałam sobie sprawę, że nogi wszystkich innych dziewczynek zdobią nylonowe pończoszki, a tylko ja mam na sobie głupie białe skarpetki.

Kelner wrócił z butelką wina i Charlie dopełnił zwyczajowego rytuału. Gdy nasze kieliszki zostały napełnione, dotknął brzegu mojego kieliszka swoim, spoglądając mi głęboko w oczy. Upiłam łyk. Nie spodziewałam się, że to jasne, chłodne wino będzie tak delikatne.

– Jak tam śledztwo? – zapytał, gdy kelner odszedł.

Potrząsnęłam głową. Potrzebowałam chwili, żeby ochłonąć:

– Nie chcę o tym rozmawiać – odparłam krótko, ale zaraz się zre-flektowałam. – Przepraszam, nie chciałam być niegrzeczna – dodałam łagodniejszym tonem. – Po prostu nie wydaje mi się, żeby mówienie o tym mogło pomóc. Śledztwo nie idzie dobrze.

– Przykro mi to słyszeć – powiedział. – Na pewno wkrótce będzie lepiej.

Wzruszyłam ramionami i przyglądałam się, jak zapala papierosa, a potem z trzaskiem zamyka zapalniczkę:

– Nie wiedziałam, że palisz – zauważyłam.

– Od czasu do czasu – rzekł od niechcienia. Zaproponował mi papie-rosa, a ja ponownie potrząsnęłam głową. Był rozluźniony i pewny sie-bie. Wyrafinowany, elegancki mężczyzna. Czułam się głupio i nie

byłam w stanie wydusić z siebie słowa, ale on najwyraźniej tego ode mnie nie wymagał, sam wypełniał ciszę, swobodnie mówiąc o błahych rzeczach. Miałam wrażenie, że funkcjonuje na zwolnionych obrotach, z niczym się nie spieszy. W tej chwili zdałam sobie sprawę z napięcia, w którym zwykle żyję, z nerwów, przez które we śnie zgrzytam zębami. Czasami jest tak źle, że cały dzień nie pamiętam o jedzeniu. Przypominam sobie dopiero w nocy i choć nawet wtedy nie jestem głodna, to pochłaniam jedzenie, jak gdyby szybkość i ilość mogły zrekompensować brak regularności. Gdy tak siedzieliśmy, czułam, że moje tempo dostosowuje się do jego tempa, że mój wewnętrzny zegar zwalnia. Kiedy skończyłam drugi kieliszek wina, głęboko odetchnęłam. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że cały czas byłam spięta, jak sztuczny wąż w pudełku, gotowy do wyskoczenia, gdy tylko ktoś zdejmie wieczko.

– Już lepiej? – zapytał.

– Tak.

– Dobrze. W takim razie pora na kolację.

Posiłek, który razem zjedliśmy, był jednym z najbardziej zmysłowych w moim życiu: świeży, delikatny chleb z chrupiącą skórką, posmarowany aksamitnym pasztetem, sałata masłowa z delikatnym sosem winegret, niegładzice krótko smażone w maśle i podane z soczystymi zielonymi winogronami. Na deser były świeże maliny z odrobiną kremu. Po drugiej stronie stołu cały czas widziałam twarz Charliego, kryjącą w sobie jakieś ostrzeżenie, coś pierwotnego i budzącego lęk. Pociągał mnie, choć wiedziałam, że powinnam się mieć na baczności.

– Jak to się stało, że wylądowałaś na prawie? – zapytałam, kiedy przyniesiono kawę.

– Czysty przypadek. Mój ojciec był pijakiem i nierobem, prawdziwym dupkiem. Ciągłe mnie tłukł. Nie chodzi o to, że mi robił krzywdę. Bardziej popychał mnie z kąta w kąt, jakbym był meblem, który miał pecha stanąć na jego drodze. Matkę też bił.

– Pewnie nie pomogło ci to zbudować poczucia własnej wartości – zaryzykowałam.

Charlie wzruszył ramionami:



– Szczerze mówiąc, dobrze na tym wyszedłem. Stałem się twardy. Przekonałem się, że mogę polegać tylko na samym sobie. Lekcja, którą równie dobrze można przerobić w wieku dziesięciu lat. Nauczyłem się o sobie dbać.

– Sam płaciłeś za studia?

– Każdego centa. Mięśniaki wynajmowały mnie, żebym pisał za nich egzaminy. Najlepiej, jak sam dostawałem trzy minus z testu, wtedy nikt nic nie podejrzewał. Zdziwiłabyś się, jak się trzeba nagimnastykować, by odpowiedzieć dokładnie na tyle pytań, żeby ledwo zdać. Pracowałem też w normalnych miejscach. Kiedy zobaczyłem, iż połowa bractwa poszła na prawo dzięki moim ocenom, to pomyślałem, że równie dobrze i ja mogę spróbować.

– Czym się zajmował twój ojciec, kiedy nie pił?

– Pracował na budowie, dopóki zdrowie mu się nie posypało. W końcu umarł na raka. Chorował sześć lat, paskudna sprawa. Miałem to w dupie, a on o tym wiedział. Bardzo cierpiał. Należało mu się – powiedział i potrząsnął głową. – Matka zmarła cztery miesiące później. Myślałem, że odetchnie, kiedy go już nie będzie. Okazało, że nie potrafiła żyć bez poniewierania od rana do nocy.

– Dlaczego akurat prawo nieruchomości? Nie pasuje mi to do ciebie. Powinieneś zajmować się prawem kryminalnym albo czymś w tym stylu.

– Ojciec roztrwonił wszystko, co miał. Nie zostawił mi nic, a nawet mniej niż nic. Całe lata spłacałem jego szpitalne rachunki i jego pieprzone długi. Musiałem też zapłacić za śmierć matki, która na szczęście – Panie, świeć nad jej duszą – była szybka, ale to nie znaczy, że tania. Więc teraz pomagam ludziom przechytrzyć rząd, nawet w sprawach ostatecznych. Wielu moich klientów nie żyje, więc współpraca świetnie nam się układa. Moim zadaniem jest dopilnować, żeby zachłanni spadkobiercy dostali więcej, niż im się należy. Poza tym, jeśli jesteś wykonawcą testamentu, zawsze masz zapłacone na czas i nikt do ciebie nie wydzwaniania w sprawie rachunku, który wystawiłeś.

– Niezła fucha – powiedziałam.

– A pewnie, że niezła – zgodził się.

– Byłeś kiedyś żonaty?

– Nie. Nigdy nie miałem na to czasu. Zajmuję się pracą. Tylko to mnie interesuje. Poza tym nie uśmiecha mi się myśl, że ktoś miałby prawo czegoś ode mnie wymagać. Z jakiej racji?

Nie mogłam powstrzymać śmiechu. Moje podejście było dokładnie takie samo. Mówił ironicznym tonem, a jednocześnie jego spojrzenie miało dziwnie seksualny podtekst. Był w nim niezwykły, fascynujący, męski żar, zupełnie jakby pieniądze, władza i seksualność stanowiły dla niego nierozzerwalną, splątaną całość i wzajemnie się nakręcały. Wydawał się szczerzy, ale tak naprawdę nie było w nim nic otwartego, swobodnego ani spontanicznego. Wiedziałam, że pociąga mnie w nim właśnie to, że jest taki nieodgadniony. Czy zdawał sobie sprawę, jak na mnie działa? On sam wysyłał mi subtelne sygnały, świadczące o tym, że jest mną zainteresowany.

Kiedy dopiliśmy kawę, gestem przywołał kelnera i wypisał czek. Mówiliśmy coraz mniej, wreszcie pozwoliłam, żeby rozmowa całkowicie się urwała. Byłam czujna, milcząca, nie ufałam mu. Przeszliśmy razem przez restaurację, ciało obok ciała, ale zachowanie uprzejme, ostrożne. Otworzył mi drzwi. Wyszłam. Nie uczynił wobec mnie żadnego gestu, nie odezwał się ani słowem. Nagle zaniepokoiłam się, czy aby sobie nie wymyśliłam, że jest mną zainteresowany, czy poczucie, iż coś między nami iskrzy, nie jest jednostronne. Charlie na chwilę wziął mnie pod rękę, żeby pomóc mi pokonać niski schodek, ale kiedy tylko znaleźliśmy się na równym chodniku, natychmiast uwolnił moje ramię. Podeszliśmy do samochodu. Otworzył mi drzwi i wsiadłam do środka. Byłam zadowolona, że w czasie kolacji nie próbowałam z nim flirtować. Nie wiedziałam, jakie ma wobec mnie zamiary, był taki rzeczowy, taki nieobecny.

Niewiele się do siebie odzywając, wróciliśmy do Santa Teresa. Znowu byłam milcząca, ale tym razem nie wynikało to ze skrupowania, tylko z błęgiego rozleniwienia. Gdy dojeżdżaliśmy do obrzeży miasta, niezobowiązująco sięgnął po moją rękę. Miałam wrażenie, że przez lewą stronę mojego ciała przepływa prąd pod niskim napięciem. Jego lewa ręka spoczywała na kierownicy. Prawą niedbale, jakby od niechcienia dotykał moich palców, pozornie wcale nie zwracając na mnie

uwagi. Próbowałam zachowywać się tak swobodnie jak on. Próbowałam udawać, że jest jakiś inny sposób na interpretację tych jednoznacznie seksualnych sygnałów, które sprawiały, że powietrze między nami iskrzyło, a mnie zaschło w ustach. A co, jeśli się mylę, myślałam. Co, jeśli napaliłam się na niego jak pies na kość, tylko po to, by zaraz odkryć, że to był tylko przyjacielski, odruchowy albo bezosobowy gest? W ciszy, która zapadła, nie mogłam zebrać myśli. Nie padło między nami ani jedno słowo, nie stało się nic, na co mogłabym jakoś zareagować, na czym mogłabym się skupić – nie było sposobu, żeby oderwać się od myśli o tym, co mogło, a nie musiało między nami być. Czułam się jak szklana pałeczka pocierana o jedwab. Kątem oka zauważyłam, że odwraca twarz w moją stronę. Odpowiedziałam spojrzeniem.

– Hej – powiedział miękko – zgadnij, co będziemy zaraz robić.

Przesunął się lekko w fotelu i przycisnął moją rękę do swojego kroczka. W tym momencie coś we mnie eksplodowało, mimowolnie jęknęłam. Charlie się roześmiał, był to cichy, pełen podniecenia dźwięk. Następnie odwrócił wzrok z powrotem na drogę.

Miłość z Charliem była jak znalezienie się we wnętrzu wielkiej, cieplej maszyny. Niczego nie musiałam robić. O wszystko zadbał – z niezwykłą łatwością, z niezwykłą delikatnością. Nie było niezręcznych momentów. Nie było powstrzymywania się, skrępowania, wahania, ostrożności. Całkiem jakby między nami był kanał, którym tam i z powrotem przepływała niepowstrzymana energia seksualna. Kochaliśmy się kilka razy. Najpierw byliśmy zbyt wygłodniali, zbyt napaleni. Rzuciliśmy się na siebie, w tej intensywności nie było miejsca na czułość. Zderzyliśmy się ze sobą, jak fale zderzają się z falochronem, przyływy rozkoszy stawały dęba, a potem spokojnie odpływały. To było jak bitwa – huk, łomot i grzmot, wreszcie gwałtowny atak taranem. W końcu zdołał się do mnie przedrzeć. Wtoczył się na mnie, za chwilę znalazł pode mną, wreszcie starł mnie prawie na proch. Wtedy podniósł się na łokciu i pocałował mnie, długo i słodko, po czym wszystko zaczęło się od nowa, tyle że tym razem w jego tempie, na zwolnionych obrotach, boleśnie powoli. Jak niespieszne dojrzewanie brzoskwini na gałęzi. Czułam, że robię się

różowa jak róża, słodka jak miód, w moich żyłach krążył niebiański spokój i przynosił boskie ukojenie. Potem leżeliśmy razem, roześmiani, spoceni i pozbawieni oddechu. Wreszcie usnęłam w jego objęciach. Nie mogłam się poruszyć, zamknięta w potężnych ramionach. Jednak wcale nie czułam się uwięziona. Było mi dobrze i czułam się bezpieczna, tak jakby nic nie mogło mi się przydarzyć, kiedy jestem w ramionach tego mężczyzny, gdy leżę w jego cieniu jak w bezpiecznej jaskini z gorącego ciała. Byłam w niej schowana aż do rana, nie obudziłam się ani razu.

O siódmej poczułam, jak całuje mnie lekko w czoło, potem drzwi się cicho zamknęły. Kiedy się na dobre rozbudziłam, jego już nie było.

## 20

Wstałam o dziewiątej i postanowiłam poświęcić niedzielę na zaległe obowiązki domowe. Wysprzątałam mieszkanie, zrobiłam pranie, pojechałam do supermarketu, a wieczorem odbyłam przyjemną pogawędkę z właścicielem mieszkania, które wynajmuję. Wygrzewał się właśnie na słońcu na podwórku za domem. Jak na osiemdziesięcioletniego faceta, Henry Pitts ma niesamowite nogi. Jest również posiadaczem wspaniałego orlego nosa, wąskiej, arystokratycznej twarzy i imponującej białej czupryny, a jego oczy są lawendowobłękitne. Wszystko to składa się na elektryzująco seksowną całość. Młody Henry na fotografiach z przeszłości nawet się nie umywa do starszego o kilkadziesiąt lat samego siebie. Twarz Henry'ego w wieku dwudziestu, trzydziestu i czterdziestu lat wydaje się zbyt pełna, jeszcze nie do końca ukształtowana. W miarę upływu dekad mężczyzna na zdjęciach stopniowo traci na wadze, a za to nabiera charakteru, w chwili zaś obecnej osiągnął stan absolutnej kondensacji, jak bulion gotowany tak długo, aż zamienił się w złocisty, esencjonalny eliksir.

– Posłuchaj, Henry – powiedziałam, opadając na trawę koło jego leżaka. – Prowadzisz zdecydowanie zbyt próżniaczy żywot.

– Grzech i zgnilizna moralna – odparł zadowolony, nie racząc nawet otworzyć oczu. – Dziś w nocy miałaś gościa.

– Randka zakończona w łóżku. Dokładnie taka, przed jakimi ostrzegały nas nasze mamy.

– Jak było?

– Nie powiem. Jaką krzyżówkę ułożyłeś w tym tygodniu?

– Łatwą. Wszystko, co występuje w podwójnej formie. Co powiesz na to: podwójne widzenie na osiem liter.

– Nawet nie będę próbować.

– Diplopia. A spróbuj to: głoszenie całkowicie sprzecznych twierdzeń na trzynaście liter.

– Henry, *przestań!*

– Ambisentencja. Zostawię ci przy drzwiach.  
– Nie, dzięki. Mam te słówka na końcu języka, ale nie mogę sobie przypomnieć i w ten sposób męczy mnie to cały dzień.  
Uśmiechnął się.  
– Biegałaś już?  
– Nie, ale właśnie zamierzam – odparłam, wstając. Przeszłam przez trawnik, oglądając się na niego z szerokim uśmiechem. Henry właśnie nakładał olejek do opalania na kolana, które i tak były już w boskim odcieniu karmelu. Zastanawiałam się, czy pięćdziesiąt lat różnicy między nami naprawdę ma aż takie znaczenie. Jednak miałam ważniejszy temat do przemyśleń – Charliego Scorsoniego. Zmieniłam ciuchy i poszłam biegać. Myślałam o Charliem.

W poniedziałek rano wybrałam się do wydziału zabójstw na spotkanie z Conem Dolanem. Kiedy do niego weszłam, rozmawiał przez telefon, więc usadowiłam się przy biurku. Siedział odchyłony do tyłu, ze stopami opartymi o krawędź biurka, a słuchawką luźno usytuowaną przy uchu. Powtarzał „Aha, aha, tak, aha” i wyglądał na śmiertelnie znudzonego. Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów, po czym zatrzymał wzrok na mojej twarzy, jak gdyby chciał ją ze wszystkimi szczegółami zapamiętać i wrzucić do pliku ze znanymi przestępcami, by się upewnić, czy już się tam przypadkiem nie znajduje. Odwzajemniłam spojrzenie. Chwilami wydawało mi się, że zza jego twarzy – obwisłej i zniszczonej, z workami pod oczyma, ulizanymi włosami i policzkami tracącymi kontur w okolicach żuchwy, jak gdyby ciało pod wpływem ciepła zaczynało się odkształcać – od czasu do czasu przezierała twarz młodego mężczyzny. Skóra na szyi straciła elastyczność i pozwijała się w małe fałdy, czerwone i lekko wybrzuszone nad nakrochmalonym kołnierzykiem. Czułam, że istnieje między nami jakieś dziwne powinowactwo, którego istoty nie potrafiłam jednak opisać. Con Dolan jest twardy, zamknięty w sobie, wyrachowany, szorstki, nie okazuje emocji. Ludzie mówią, że potrafi być wredny, jednak dla mnie ten facet to chodzący profesjonalizm. Zna się na swojej robocie i nie traci czasu na głupoty. Kiedy tylko ma okazję, nieźle daje mi w kość, ale wiem, że mnie lubi, choć jest to

sympatia podszyta niechęcią. Zauważyłam, iż jego uwaga wyostrza się. Słuchał teraz uważnie, co mówi jego rozmówca, i najwyraźniej wytrąciło go to z równowagi.

– Dobra, Mitch, teraz ty mnie posłuchaj, bo nie będę powtarzać dwa razy. Zabieramy się do sfinalizowania tej sprawy i nie pozwolę ci jej spierdolić. Taaa... Wiem. Taaa... Mówiłeś. Po prostu chcę, żeby nie było między nami niedomówień. Dałem twojemu chłopakowi szansę. Albo będzie współpracował, albo wróci tam, skąd go wyciągnąłem. Taaa... Lepiej jeszcze raz z nim pogadaj!

Con puścił słuchawkę, tak że spadła na widełki z pewnej wysokości. Nie było to trzaśnięcie nią, ale do jego rozmówcy powinno dotrzeć, o co chodzi. Rozmowa była skończona. Spojrzał na mnie z irytacją. Położyłam przed nim na biurku żółtą kopertę. Opuścił stopy na podłogę.

– Co to jest? – warknął. Zajrzał do środka, po czym wyjął list, który znalazłam w rzeczach Libby. Nie wiedział, co to, ale na wszelki wypadek trzymał kartki za krawędzie. Szybko przebiegł oczami cały list, a następnie wrócił do początku i zaczął czytać z większą uwagą. Spojrzał na mnie ostro. Włożył list z powrotem do koperty.

– Skąd to masz?

– Matka Libby Glass zatrzymała wszystkie jej rzeczy. Był ukryty w książce. Znalazłam go w piątek. Możesz sprawdzić odciski palców?

Posłał mi zimne spojrzenie.

– A może najpierw porozmawiamy o Sharon Napier?

Poczułam lekki przyływ strachu, ale nie było się nad czym zastanawiać:

– Nie żyje – rzekłam, sięgając po kopertę, ale on w tym momencie walnął w nią pięścią, więc cofnęłam dłoń. Nasze spojrzenia skrzyżowały się.

– No dobra, przyjaciel z Vegas mi o tym powiedział – wyjaśniłam. – Tak się dowiedziałam.

– Gówno prawda. Pojechałaś tam.

– Nieprawda.

– Do diabła, nie okłamuj mnie – warknął.

Poczułam, jak wzbiera we mnie złość:

– Chce pan mi odczytać moje prawa, poruczniku Dolan? Chce mi pan wręczyć oświadczenie, że zapoznano mnie z moimi konstytucyjnymi prawami? Ponieważ jeśli pan sobie życzy, przeczytam je i podpiszę. Następnie zadzwonię do swojego adwokata, a kiedy tutaj przyjedzie, możemy uciąć sobie pogawędkę. Co pan na to?

– Zajmujesz się tym od dwóch tygodni, a już ktoś nie żyje. Spróbuj mnie oszukać, a cię dorwę. Teraz mi wszystko bez wykrętów opowiedz. Powiedziałem ci, żebyś się od tego trzymała z daleka.

– Ojjoj. Powiedziałeś mi, żebym się nie pakowała w kłopoty, a ja cię posłuchałam. Powiedziałeś, że potrzebujesz niewielkiej pomocy w sprawie połączenia Libby Glass z Laurence'em Fife'em, a ja ci daję to – mówiłam, wskazując na żółtą kopertę.

Podniósł ją i wrzucił do śmieci. Wiedziałam, że to tylko na pokaz. Spróbowałam innej taktyki.

– No dalej, Con – powiedziałam. – Nie mam nic wspólnego ze śmiercią Sharon Napier. Nie przyczyniłam się do niej w żaden sposób. Jak to sobie właściwie wyobrażasz? Że pojechałam tam i zabiłam kogoś, kto mógł mi pomóc? Chyba oszalałeś! Nawet nie byłam w Vegas. Pojechałam nad jezioro Salton Sea porozmawiać z Gregiem Fife'em. Jeśli mi nie wierzysz, zadzwoń do niego!

Zamknęłam się i utkwiałam w nim pełne najświętszego oburzenia spojrzenie, czekając, aż ta brawurowa mieszanka prawdy i radosnego kłamstwa przebije się za jego chmurną twarz.

– Skąd wiedziałaś, gdzie jej szukać?

– Bob Dietz, prywatny detektyw z Nevady, spędził półtora dnia, szukając jej dla mnie. Miałam zamiar jechać do Vegas po spotkaniu z Gregiem, ale najpierw zadzwoniłam i okazało się, że ktoś jej wpakował kulkę w łeb. Jak myślisz, jak j a się z tym czuję? Mogłam się od niej dowiedzieć czegoś ważnego. Ta sprawa i tak jest ciężka, do diabła, wlecze się w końcu od ośmiu lat! Więc daj mi święty spokój!

– Kto wiedział, że zamierzasz z nią rozmawiać?

– Tego nie wiem. Jeśli uważasz, że ktoś ją zabił, aby nie pozwolić mi z nią porozmawiać, to myślę, że się mylisz. Ale głowy nie dam. Z tego, co słyszałam, to niejednemu nadepnęła na odcisk. Nie pytaj mnie o szczegóły, bo ich nie znam. Po prostu doszło do mnie, że za-



lazła wielu ludziom za skórę.

Siedział bez ruchu i wpatrywał się we mnie. Wyglądało na to, że trafiłam w dziesiątkę. Plotki, którymi podzielił się za mną kumpel z Vegas, musiały potwierdzić to, co odkryła policja z Vegas, cokolwiek by to nie było. W głębi serca byłam pewna, że ktoś zabił Sharon, aby zamknąć jej usta. Pojechał za mną do Vegas i dorwał ją w samą porę, żebym nie mogła z nią pogadać. Ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę się w to wmieszać! Nie służyłoby to absolutnie niczemu, a za to uniemożliwiło mi kontynuowanie śledztwa. Ciągłe nie dawał mi spokoju fakt, że prawdopodobnie ktoś zadzwonił na policję w sprawie morderstwa Sharon. Gdybym została w jej mieszkaniu minutę dłużej, wpadłabym w niezłe tarapaty, a śledztwo mogłoby ugrzęznąć w martwym punkcie. Poczucie, że przyczyniłam się do jej śmierci, nie dawało mi spokoju, ale w ramach pokuty nie miałam zamiaru beknąć za coś, co nie było moją winą.

– Co jeszcze odkryłaś w związku z Libby Glass? – zapytał, nieznacznie zmieniając temat.

– Niewiele. Jak na razie, nadal próbuję dopasować do siebie parę kawałków w tej układance, ale niezbyt mi to wychodzi. Jeśli ten list naprawdę został napisany przez Laurence’a Fife’a, to przynajmniej jedno będzie pewne. Szczerze, to wolałabym, aby tak nie było, ale Nikki uważa, iż to jego charakter pisma. Tyle że na moje oko coś tutaj nie pasuje. Dasz mi znać, jeśli się okaże, że to jego pismo?

Con niecierpliwie popchnął stos papierów na biurku:

– Pomyślę o tym – powiedział. – Nie spoufalaj się za bardzo.

– Wierz mi, nigdy nie będziemy przyjaciółmi – zapewniłam, a on jakby lekko złagodniał. Wyglądał nawet, jakby zaraz miał się uśmiechnąć.

– Zmykaj stąd – powiedział szorstko.

No, to sobie poszłam.

Wsiadłam do samochodu i opuściłam centrum, skręcając w lewo w ulicę Anaconda, która kończyła się przy plaży. Dzień był piękny – słoneczny i chłodny, z puchatymi chmurkami zbierającymi się na horyzoncie. Na oceanie kołysało się kilka żaglówek, prawdopodobnie

puszczonych na wodę przez izbę handlową w celu stworzenia malowniczego widoczku na potrzeby turystów, którzy szwendali się po deptaku i robili zdjęcia innym turystom, siedzącym na trawie.

Przy plaży Ludlow Beach skierowałam się na wzgórze, a następnie odbiłam w bok i wjechałam w stromą uliczkę, przy której mieszkała Marcia Threadgill. Zaparkowałam, wyjęłam lornetkę i przebiegłam wzrokiem taras Marcii. Wszystkie rośliny były na miejscu i wszystkie wyglądały zdrowiej, niż bym sobie tego życzyła. Nie było za to śladu ani Marcii, ani skłóconej z nią sąsiadki. Marzyłam, że się pokaże, a ja zrobię piękne zdjęcie, jak taszczy na dół dwudziestokilogramowe kartony z książkami, żeby je wpakować do furgonetki U-Haul. Zadowolilibym się nawet widokiem Marcii wracającej ze spożywczego z wielką papierową torbą, niemal pękającą pod ciężarem puszek. Jeszcze raz przyjrzałam się jej tarasowi i po raz pierwszy zwróciłam uwagę na drewniany nawis, w który wbite były cztery haki. Na haku znajdującym się najbliżej mnie wisiała ogromna roślina, którą już dobrze znałam, ale pozostałe trzy haki były puste. Odłożyłam lornetkę i weszłam do budynku. Zatrzymałam się pomiędzy drugim a trzecim piętrem i spojrzałam przez poręcz w dół. Jeśli wybiorę odpowiednie miejsce, będę mogła skierować aparat fotograficzny dokładnie na drzwi Marcii. Kiedy to ustaliłam, wróciłam do auta i pojechałam prosto do supermarketu Gateway. Podniosłam kilka roślin w plastikowych doniczkach i wybrałam jedną, wprost idealną do moich celów – dziesięć kilogramów solidnej łądygi zwieńczonej ostrymi, złośliwymi liśćmi, które od czasu do czasu zniecka wystrzeliwały do przodu. Wybrałam ładniutkie wstążki w kolorze strażackiej czerwieni oraz kartkę z sentymentalnym wierszykiem, w którym zawarte były życzenia powrotu do zdrowia. Wolałabym spędzić czas, zajmując się sprawą Nikki Fife, ale miałam czynsz w rozliczeniu i czułam, że jestem winna California Fidelity za co najmniej pół miesiąca.

Podjechałam z powrotem do mieszkania Marcii i zaparkowałam od frontu. Sprawdziłam, czy aparat działa, rozerwałam paczuszkę ze wstążkami i przyczepiłam kilka do plastikowej doniczki, starając się uzyskać wesóły efekt. Następnie nieczytelnym nawet dla mnie bagrołem podpisałam kartkę. Nie zważając na lekką zadyszkę, prze-

transportowałam roślinę, aparat i siebie samą najpierw stromymi, betonowymi schodami prowadzącymi do budynku, a potem jeszcze na pierwsze piętro. Postawiłam roślinę niedaleko drzwi Marcii, a sama weszłam jeszcze na półpiętro, gdzie sprawdziłam światłomierz, nastawiłam aparat i ustawiłam ostrość. Dobry punkt widzenia, pomyślałam. To zdjęcie będzie prawdziwym arcydziełem. Pobiegłam truchtem pół piętra w dół, wzięłam głęboki wdech i zadzwoniłam do drzwi panny Threadgill, po czym na złamanie karku pognałam z powrotem na górę. Podniosłam aparat i jeszcze raz sprawdziłam ostrość. Idealnie zmieściłam się w czasie.

Marcia Threadgill otworzyła drzwi i spojrzała w dół, zaskoczona i zaintrygowana. Miała na sobie szorty i zrobioną na szydełku bluzeczkę bez pleców. Z jej mieszkania dobiegały donośne dźwięki piosenki wyśpiewywanej przez Olivie Newton-John, słodki lizak w formie audio. Zawahałam się chwilę, po czym zerknęłam zza balustrady. Marcia schyliła się, żeby wydobyć kartkę. Przeczytała ją, odwróciła, następnie ponownie przeczytała, wzruszając ramionami. Spojrzała w głąb korytarza na lewo, po czym wyszła z mieszkania i popatrzyła też w dół klatki schodowej, jakby spodziewała się, że zobaczy tajemniczego doręczyciela. Zaczęłam robić zdjęcia, na szczęście terkot trzydziestopięciomilimetrowego aparatu całkowicie tonął w dźwiękach zbyt głośno puszczonej płyty. Marcia cofnęła się do drzwi swojego mieszkania, po czym jak gdyby nigdy nic, lekko schyliła się po zostawioną przeze mnie roślinę, nawet nie zwracając sobie głowy ugięciem kolan, co nam wszystkim wbijano do głowy na wuefie. Gdy tylko wtaszczyła roślinę do mieszkania, pognałam schodami w dół i na ulicę. Z chodnika wycelowałam obiektyw w taras, na którym właśnie się pojawiła. Postawiła doniczkę na balustradzie. Wróciła do mieszkania. Cofnęłam się o kilka metrów, zainstalowałam teleobiektyw i wstrzymałam oddech.

Wreszcie wróciła, taszcząc coś, co musiało być kuchennym stołkiem. Pstryknęłam parę przyjemnych ujęć, jak się na niego wspina. Tak jak się spodziewałam, chwyciła doniczkę z rośliną za drucik, podniosła do góry i trzymała w wyciągniętych rękach, z napiętymi mięśniami, aż zdołała trafić pętelką w wiszący nad jej głową hak.

Włożyła w to tyle wysiłku, że aż bluzeczka podjechała jej do góry, dzięki czemu zrobiłam sympatyczne zdjęcie jej całkiem sporych piersi. Podejrzewam, że odwróciłam się w ostatniej chwili, bo na plecach poczułam mrowienie, kiedy szybkim spojrzeniem omiotła okolicę, upewniając się, że nikt nie zauważył, co jej się przydarzyło. Kiedy ostrożnie spojrzałam w tamtą stronę, już jej nie było.

Podrzuciłam film do wywołania, upewniając się, że zdjęcia zostaną odpowiednio datowane i opisane. Fotografie nie mogły nam wiele pomóc, szczególnie w sytuacji, gdy nie miałam świadka, który by potwierdził datę, godzinę i okoliczności, w jakich powstały. Miałam jednak nadzieję, że przekonają kierownika California Fidelity do kontynuowania śledztwa. Na więcej nie miałam co liczyć. Z jego błogosławieństwem mogłabym wrócić ze sprzętem wideo i prawdziwym fotografem w celu nakręcenia materiału, który by mógł być uznany za dowód w sądzie.

Powinnam była się domyślić, że to nie przejdzie. Andy Motycka był mężczyzną po czterdziestce, który ciągle nie pozbył się nawyku obgryzania paznokci. Tego dnia obrabiał prawą rękę, a konkretnie to, co zostało z kciuka. Już samo patrzenie, jak to robi, wprawiało mnie w nerwowy nastrój. Cały czas wydawało mi się, że zaraz zobaczę, jak grzebiąc przy skórce, niechcący odrywa sobie kawał żywego mięsa. Czułam, że na mojej twarzy maluje się obrzydzenie, i zmusiłam się do utkwienia wzroku tuż ponad jego lewym ramieniem. Nie doszłam jeszcze do połowy wyjaśnień, a on już potrząsał głową.

– Nie ma mowy – powiedział prosto z mostu. – Lalunia nawet nie wzięła adwokata. W przyszłym tygodniu mamy dostać komplet dokumentów od lekarza. Nie chcę tego spieprzyć. Cztery tysiące osiemset dolarów to tyle, co kot napłakał. W sądzie zabulimy dziesięć kawałków. Przecież wiesz.

– Owszem, wiem, ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Ryzyko jest za duże. Nawet nie wiem, czemu Mac kazał ci się zajmować tym przypadkiem. Posłuchaj, widzę, że cię to wkurzyło, ale co z tego? Sprowokujesz ją, pójdzie prosto do prawnika i za chwilę pozwie nas o milion dolarów. Zapomnij!

– Jeśli puścimy jej to płazem, zrobi to samo komuś innemu.

Andy wzruszył ramionami.

– W takim razie po co marnuję swój czas na takie gówno? – jęknęłam, coraz bardziej sfrustrowana.

– Nie mam pojęcia – powiedział lekko. – A tak przy okazji, to podrzucić mi te zdjęcia, kiedy je odbierzesz. Lalunia ma naprawdę wielkie cycki.

– Pieprz się – odparłam i poszłam do swojego biura.

## 21

W serwisie telefonicznym czekały na mnie dwie wiadomości. Pierwsza była od Garry'ego Steinberga. Oddzwoniłam do niego.

– Hej, Kinsey! – przywitał mnie, kiedy nas połączono.

– Cześć, Garry! Jak się miewasz?

– Nie narzekam. Mam coś dla ciebie – powiedział. Po tonie jego głosu poznałam, że jest rad z samego siebie, ale i tak to, co powiedział, było dla mnie zaskoczeniem.

– Dziś rano przejrzałem podanie o pracę Lyle'a Abernathy'ego. Stało tam, że przez pewien czas pracował jako pomocnik ślusarza. Staruszka o nazwisku Fears.

– Pomocnik ślusarza?

– No właśnie. Zadzwoiłem do niego dziś rano. To ci się spodoba! Powiedziałem, że Abernathy złożył podanie o pracę jako strażnik, a ja mam go sprawdzić. Fears chrząkał i kluczył, aż wreszcie przyznał, że musiał go wyrzucić. Wielu klientów z mieszkań i domów, w których pracował Lyle, skarżyło się, że zginęła im gotówka. Wreszcie Fears zaczął podejrzewać, że to sprawka jego pracownika. Nie miał na to dowodów, ale też nie mógł sobie pozwolić na podejmowanie takiego ryzyko, więc go wylał.

– O Boże, świetna wiadomość! – ucieszyłam się. – To znaczy, że Lyle mógł się dostać do domu Fife'ów, kiedy tylko chciał. Tak samo do mieszkania Libby.

– Na to wygląda. Pracował dla Fearsa przez osiem miesięcy, więc na pewno wystarczająco podszkolił się w tym fachu, przynajmniej tak wynika z rozmowy z Fearsem. Chyba że mieli założony alarm antywłamaniowy, albo coś w tym stylu.

– Tak naprawdę ich ochrona przed włamaniem sprowadzała się do wielkiego owczarka niemieckiego, którego sześć tygodni przed śmiercią Laurence'a Fife'a potrafiło auto. Laurence z żoną i z dziećmi byli wtedy za miastem.

– No to milutko – uznał Garry. – Po takim czasie trudno będzie cokolwiek udowodnić, ale może przynajmniej ta informacja naprowadzi cię na właściwy trop. A co z tym podaniem o pracę? Przesłać ci kopię?

– Jeszcze pytasz! A co z rachunkami Fife’a?

– Mam je u siebie i przyjrę im się, kiedy znajdę chwilę. Trochę tego jest. Pomyślałem, że w międzyczasie dam ci znać o tej historii ze ślusarzem.

– Dzięki za pomoc. Jezu, niezły z niego gagatek!

– Delikatnie mówiąc. Hej, mam kogoś na drugiej linii. Jesteśmy w kontakcie – podał mi swój domowy telefon, na wypadek gdybym go potrzebowała.

– Jesteś niesamowity! Dzięki.

Druga wiadomość była od Gwen z K-9 Korners. Odebrała jedna z jej asystentek, podczas gdy Gwen podchodziła do telefonu, ja słuchałam szczekania i wycia zgrai psów.

– Kinsey?

– Tak, to ja. Odebrałam twoją wiadomość. Co się dzieje?

– Co byś powiedziała na wspólny lunch?

– Poczekaj chwilę. Muszę sprawdzić, jak z moim czasem – powiedziałam. Nakryłam dłonią słuchawkę i spojrzałam na zegarek. Była za piętnaście druga. Czy *jadłam* lunch? Czy w ogóle coś dziś jadłam?

– Tak, możemy się spotkać.

– Dobrze. Widzimy się w Palm Garden za piętnaście minut. Może być?

– Jasne. W porządku. Do zobaczenia wkrótce.

Kelnerka właśnie postawiła przede mną kieliszek białego wina, gdy zobaczyłam idącą przez dziedziniec Gwen. Była wysoka i szczupła, siwe włosy miała zaczesane gładko do tyłu. Ubrana w bluzkę z szarego jedwabiu, z obfitymi rękawami zebranymi w nadgarstkach, oraz ciemnoszarą spódnicę, podkreślającą wąską talię i szczupłe biodra. Elegancka i pewna siebie – tak jak Nikki. Rozumiałam teraz, co te dwie kobiety mają ze sobą wspólnego i dlaczego obie spodobaly się Laurence’owi Fife’owi. Mogłam zgadywać, że dawno temu Charlotte

Mercer reprezentowała ten sam typ – kobiety z nienaganną figurą, kobiety z klasą. Ciekawe, czy Libby Glass, gdyby żyła, również by tak pięknie dojrzewała? W wieku dwudziestu czterech lat musiała być o wiele mniej pewna siebie, choć nie brakowało jej bystrości. Może to jej świeżość i ambicja przemówiły do zbliżającego się do czterdziestki Laurence’a. Boże, chroń nas wszystkie przed konsekwencjami męskiej menopauzy, pomyślałam.

– Witaj! Jak się miewasz? – przywitała się z ożywieniem, zajmując miejsce naprzeciwko. Zdjęła nakrywającą talerz serwetkę i położyła ją na stole, po czym zamówiła wino u przechodzącej kelnerki. Z bliska jej twarz wydawała się łagodniejsza. Wielkie brązowe oczy łagodziły ostrość kości policzkowych, a stanowcze usta miały odcień delikatnego różu. Jednak przede wszystkim chodziło o jej sposób bycia – była wesółą, inteligentną, kobiecą, elegancką.

– Jak tam twoje psy? – zapytałam.

Roześmiała się:

– Jak zwykle bardzo brudne. I dobrze! Mamy dziś mnóstwo roboty, ale zależało mi, żeby z tobą porozmawiać. Nie było cię w mieście.

– Wróciłam dopiero w sobotę. Próbowalaś się ze mną skontaktować?

Przytaknęła:

– Zadzwoiłam do ciebie do biura chyba we wtorek. W serwisie telefonicznym poinformowali mnie, że jesteś w Los Angeles, więc próbowałam tam cię złapać. Jednak telefon odebrała jakaś zupełna idiotka...

– Arlette.

– Być może. Kimkolwiek była, dwa razy źle zrozumiała moje imię, więc odwiesiłam słuchawkę.

Kelnerka postawiła na stoliku wino Gwen.

– Zamówiłaś już?

Potrząsnęłam głową:

– Czekałam na ciebie.

Kelnerka wyciągnęła notes, spoglądając na mnie wyczekująco.

– Poproszę sałatkę szefa kuchni – powiedziałam.

– Ja też – dodała Gwen.



– Z dressingiem?

– Z sera pleśniowego – wybrałam.

– A ja poproszę winegret – rzekła Gwen i wręczyła kelnerce menu. Gdy ta odeszła, Gwen zwróciła się do mnie:

– Postanowiłam zagrać z tobą w otwarte karty.

– To znaczy?

– Chodzi o mojego dawnego kochanka – wyjaśniła. Jej policzki delikatnie się zaróżowiły. – Pomyślałam, że jeśli ci nie powiem, kto to jest, niepotrzebnie się na tym skupisz i stracisz mnóstwo czasu, próbując odkryć jego nazwisko. Szkoda twojego zachodu.

– Dlaczego tam myślisz?

– Kilka miesięcy temu zmarł na atak serca – wyjaśniła, znowu ożywiona. – Po rozmowie z tobą postanowiłam się z nim skontaktować. Nazywał się David Ray. Był nauczycielem Grega, w ten sposób się poznaliśmy. Pomyślałam, że powinien wiedzieć o twoim śledztwie w sprawie śmierci Laurence’a. Chciałam go uprzedzić, iż możesz dotrzeć również do niego.

– Jak go odnalazłaś?

– Słyszałam, że przeniósł się z żoną do San Francisco. Podobno mieszkali w rejonie Bay Area, gdzie on był dyrektorem jednej ze szkół publicznych w Oakland.

– Dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Źle rozumiana lojalność. Chciałam go chronić. Ten związek był dla mnie bardzo ważny i nie chciałam go w to mieszać teraz, gdy minęło tyle lat.

Spojrzała na mnie i widocznie wyczytała w mojej twarzy niedowierzanie. Rumieniec na jej twarzy delikatnie, prawie niedostrzegalnie się pogłębił.

– Wiem, jak to wygląda – przyznała. – Najpierw nie chcę ci powiedzieć, jak się nazywa, a potem okazuje się, że on nie żyje, w związku z tym jest poza zasięgiem. Ale właśnie to przesądziło. Jeżeli nadal by żył, nie wiem, czy zdecydowałabym się ci to wszystko powiedzieć.

Pomyślałam, że prawdopodobnie tak właśnie było, ale czułam, że chodzi o coś jeszcze. Nie wiedziałam tylko, o co. Kelnerka przyniosła

sałatki i przez kilka zbawiennych minut skupiliśmy się wyłącznie na naszych talerzach. Gwen grzebała widelcem, ale niewiele jadła. Byłam ciekawa, co jeszcze ma do powiedzenia, ale też zbyt głodna, by się nad tym zastanawiać, dopóki się trochę nie najadłam.

– Wiedziałaś, że ma kłopoty z sercem? – spytałam wreszcie.

– Nie miałam pojęcia. Myślę, że chorował od lat.

– Czy to on zerwał z tobą, czy ty z nim?

Gwen uśmiechnęła się gorzko:

– Laurence to zrobił. Jednak teraz się zastanawiam, czy do pewnego stopnia Davidowi nie było to na rękę. Nasz romans musiał mu strasznie skomplikować życie.

– Powiedział żonie?

– Myślę, że tak. Była bardzo uprzejma, kiedy zadzwoniłam. Powiedziałam jej, że Greg mnie prosił, bym się skontaktowała z jego nauczycielem. Podjęła tę grę. Kiedy mi powiedziała, że David nie żyje, byłam... Nie miałam pojęcia, co jej powiedzieć, ale oczywiście, musiałam od razu zacząć coś paplać: jak mi przykro, jakie to smutne... Jak jakaś daleka znajoma, która zachowuje się jak wypada. To było straszne. Okropne.

– Ona też nie zrobiła żadnej aluzji do waszego związku?

– O, nie. Była na to zbyt opanowana, ale wiedziała, kim jestem. W każdym razie przepraszam, że od razu ci wszystkiego nie powiedziałam.

– Nic się nie stało – uspokoiliam ją.

– A swoją drogą, jak tam śledztwo?

Zawahałam się:

– Jestem na etapie rozsypanej układanki. Nic konkretnego.

– Naprawdę wierzysz, że po tylu latach coś odkryjesz?

Uśmiechnęłam się:

– Nigdy nie wiadomo. Ludzie robią się nieostrożni, gdy czują się bezpieczni.

– Pewnie masz rację.

Chwilę rozmawialiśmy o Gregu i Diane. Opowiedziałam jej o spotkaniu z nimi, jednak wiele przemilczałam. Za dziesięć pierwsza Gwen zerknęła na zegarek:

– Muszę wracać do salonu – powiedziała, grzebiąc w torebce w poszukiwaniu portfela. Wyjęła z niego banknot pięciodolarowy. – Odezwiiesz się do mnie?

– Jasne – zapewniłam. Upiłam łyk wina, przyglądając się, jak Gwen wstaje. – Kiedy ostatni raz widziałaś Colina?

Natychmiast wbiła wzrok w moją twarz:

– Colina?

– Poznałam go w sobotę – powiedziałam, jakby to cokolwiek wyjaśniało. – Pomyślałam, że może Diane powinna się dowiedzieć, że wrócił do domu. Bardzo go lubi.

– O, tak – potwierdziła Gwen. – Nie pamiętam, kiedy go widziałam po raz ostatni. Chyba gdy Diane miała uroczystość zakończenia szkoły. Gimnazjum. Dlaczego pytasz?

Wzruszyłam ramionami.

– Z ciekawości. – Nie wdawałam się w szczegóły. Posłałam jej najniewinniejsze ze swoich spojrzeń. Miałam nadzieję, że się nabierze. Na jej szyi pojawiła się bladoróżowa plama. Zastanawiałam się, czy sąd uznałby to za dowód równie wiarygodny jak badanie wykrywaczem kłamstw.

– Biorę na siebie napiwek – powiedziałam.

– Daj mi znać, jak idzie śledztwo. – Jej głos znów brzmiał zwyczajnie. Wsunęła pieniądze pod talerz i odeszła tym samym zdecydowanym krokiem, który ją tu przyniósł. Patrzyłam, jak odchodzi, i myślałam, że coś ważnego zostało przemilczane. O Davidzie Rayu mogła mi powiedzieć przez telefon. Zresztą nie byłam do końca przekonana, czy od początku nie wiedziała o jego śmierci. Myśl o Colinie nie dawała mi spokoju.

Postanowiłam przejść się do kancelarii Charliego, która znajdowała się dwie przecznice dalej. Ruth przepisywała na maszynie jakieś nagranie z dyktafonu, jej palce lekko tańczyły po klawiaturze. Była bardzo szybka.

– Zastałam go?

Uśmiechnęła się i kiwnęła głową w stronę gabinetu, nie gubiąc ani słowa z przepisywanego tekstu, ze wzrokiem skierowanym do wewnątrz, gdy tak bez sekundy zwłoki przelewała dźwięk na papier.

Zajrzałam do jego gabinetu. Siedział przy biurku, bez marynarki, z jakimś kodeksem otwartym przed sobą. Beżowa koszula, ciemnobrązowa kamizelka. Kiedy mnie zobaczył, na jego ustach pojawił się niespieszny uśmiech. Odchylił się do tyłu, swobodnie zakładając jedną rękę za oparcie fotela obrotowego. Ołówek, który miał w ręce, rzucił na biurko.

- Co byś powiedział na wspólną kolację? – zapytałam.
- A co się dzieje?
- Nic się nie dzieje. To propozycja – wyjaśniłam.
- Szósta piętnaście.
- Podjadę tutaj – powiedziałam i zamknęłam drzwi, ciągle mając przed oczami tę jasną koszulę i ciemnobrązową kamizelkę. Ależ to było seksowne! Facet w nylonowych slipkach, z tym śmiesznym węzełkiem sterczącym z przodu nie jest ani w połowie tak interesujący jak mężczyzna w dobrze skrojonym garniturze. Charlie w tym ubraniu kojarzył mi się z brązową czekoladką nadziewaną beżowym masłem orzechowym, lekko nadgryzioną. Teraz miałam ochotę zjeść ją całą.

Pojechałam do domu na plaży Nikki.

## 22

Nikki otworzyła mi ubrana w starą szarą bluzę i sprane dżinsy. Miała bose stopy, rozpuszczone włosy, pędzel w ręce i palce poplamione farbą w kolorze skorupki orzechów pekanowych.

– O, Kinsey, cześć! Wchodź dalej – powiedziała i już szła przez dom w kierunku pomostu. Ruszyłam za nią. Po drugiej stronie szklanych, przesuwanych drzwi widziałam Colina. Bez koszulki, a za to w ogrodniczkach, siedział po turecku przed komodą, którą najwyraźniej razem odnawiali. Szuflady były wyciągnięte i stały oparte wzdłuż balustrady, okucia chwilowo zdjęte. W powietrzu unosiły się zapachy płynu do usuwania powłok ochronnych oraz terpentyny zmieszane z zapachem – co stworzyło całkiem przyjemny efekt – kory eukaliptusa. Z boku leżało kilka złożonych kartek drobnego papieru ściernego. Białe na zgięciach od pyłu ze startego drewna, wyglądały na miękkie od intensywnego używania. Balustrada była rozgrzana słońcem, a pod komodą leżały gazety, rozłożone, żeby chronić taras.

Colin podniósł wzrok i uśmiechnął się do mnie, gdy wchodziłam na taras. Nos i policzki miał lekko zaróżowione od zbyt długiego przebywania na słońcu, oczy – zielone jak morska woda, a nagie ramiona opalone. Na twarzy nie było jeszcze nawet cienia zarostu. Wrócił do swojej pracy.

– Chciałam o coś zapytać Colina, ale pomyślałam, że najpierw pogadam o tym z tobą – powiedziałam do Nikki.

– Jasne, strzelaj – odparła. Oparłam się o balustradę, a ona zanurzyła koniuszek pędzla w małej puszcze farby, ocierając go potem o brzeg puszki, żeby się pozbyć nadmiaru emulsji. Colin wydawał się bardziej zainteresowany malowaniem niż naszą rozmową. Wyobrażałam sobie, że śledzenie rozmowy musi być męczące, nawet jeśli jest dobry w czytaniu z ruchu warg. A może po prostu uważał, iż dorośli są nudni.

– Pamiętasz może, czy w ciągu czterech do sześciu miesięcy przed

śmiercią Laurence'a wyjeżdżałaś na dłużej z miasta?

Nikki spojrzała na mnie zaskoczona i zamrugła oczami. Najwyraźniej nie spodziewała się takiego pytania.

– Raz wyjechałam na tydzień. W czerwcu mój ojciec miał atak serca i poleciałam do Connecticut – powiedziała. Milczała przez chwilę, po czym potrząsnęła głową. – To był chyba jedyny dłuższy wyjazd. Do czego zmierzasz?

– Sama nie jestem pewna. Nie chcę wymyślać nieprawdopodobnych teorii, ale nie może mi wyjść z głowy, że Colin nazwał Gwen „mamą taty”. Czy wspominał jeszcze o tym?

– Nie. Ani słowem.

– Hm... Zastanawiam się, czy przypadkiem nie miał okazji spotkać Gwen, kiedy ciebie nie było. Jest zbyt bystry, żeby ją pomylić z własną babcią. Chyba że ktoś mu ją w ten sposób przedstawił.

Nikki spojrzała na mnie sceptycznie:

– Trochę to naciągane! Nie mógł mieć wtedy więcej niż trzy i pół roku.

– Tak, wiem. Jednak niedawno zapytałam Gwen, kiedy widziała go po raz ostatni i powiedziała mi, że było to w dniu, gdy Diane kończyła gimnazjum.

– Całkiem możliwe – zgodziła się Nikki.

– Posłuchaj, Nikki, Colin musiał mieć wtedy jakieś czternaście miesięcy! Widziałam te fotografie. Był wtedy niemowlakiem, nosiłaś go na rękach.

– Więc?

– Więc dlaczego w ogóle ją pamięta?

Nikki kilka razy musnęła pędzlem komodę, myśląc nad tym intensywnie:

– Może spotkała go w supermarkecie albo natknęła się na niego, kiedy był z Diane. Mogli się widzieć w jakiejś całkiem niewinnej sytuacji.

– Mogli. Ale myślę, że Gwen skłamała, kiedy ją o to spytałam. Jeśli to nic takiego, to czemu po prostu o tym nie powiedziała? Po co się kryła?

Nikki posłała mi długie spojrzenie:

- Może najzwyczajniej w świecie zapomniała?
- Masz coś przeciwko, żebym zapytała Colina?
- Nie, możesz pytać.
- Gdzie jest album?

Machnęła ręką ponad swoim ramieniem. Weszłam z powrotem do salonu. Album leżał na stoliku. Przekartkowałam go, żeby znaleźć zdjęcie, na którym była Gwen. Wyjęłam je z czterech małych uchwytów, którymi było przymocowane, i wróciłam na taras. Pokazałam chłopcu fotografię.

– Zapytaj go, czy pamięta, co się działo, kiedy ją widział po raz ostatni – poprosiłam.

Nikki wyciągnęła w jego stronę rękę i poklepała go po ramieniu. Spojrzał na nią, potem na zdjęcie, a wreszcie utkwiał badawcze spojrzenie we mnie. Nikki językiem migowym zadała mu pytanie. Jego twarz zamknęła się jak kielich lilii po zachodzie słońca.

– Colin?

Odwrócił twarz i zajął się malowaniem.

– Mały gnojek – powiedziała pogodnie. Dała mu kuksańca w bok i powtórzyła pytanie.

Colin ją zignorował. Uważnie obserwowałam jego reakcję.

- Zapytaj, czy Gwen tutaj była.
- Gwen? Czemu by miała tutaj być?
- Nie wiem. Może on nam powie.

Posłała mi spojrzenie, w którym malowała się zarówno wątpliwość, jak i niedowierzanie. Ociągając się, skierowała wzrok z powrotem na syna. Używając języka migowego, zadała mu moje pytanie. Nie bardzo jej się to podobało:

– Czy Gwen była tutaj albo w naszym drugim domu?

Colin obserwował twarz matki, a jego własna była niezwykle zwierciadłem jego duszy. Odbijała się w nim niepewność i coś jeszcze – zakłopotanie, tajemniczość, niepokój.

– Nie wiem – powiedział głośno. Spółgłoski chlusnęły z jego ust jak atrament na mokrą kartkę, w jego głosie wyczuwałam jakiś nieufny upór.

Oczy chłopaka prześlizgnęły się na mnie. Nagle przypomniało mi

się, jak w szóstej klasie po raz pierwszy usłyszałam słowo „pieprzyć”. Jedna z koleżanek poradziła mi, żebym zapytała ciotki, co to znaczy. Wiedziałam, że to pułapka, tylko nie miałam pojęcia, jakiego rodzaju.

- Powiedz mu, że wszystko jest w porządku – powiedziałam Nikki.
- Zapewnij go, że nic to dla ciebie nie znaczy.
- Tyle że znaczy. I to wiele – powiedziała ostro.
- Och, przestań, Nikki. To ważna informacja, a po tylu latach, jaka to różnica?

Nikki wdała się z Colinem w krótką dyskusję, tylko ich dwoje, migający jak szaleni – kłótnia na palce.

- On nie chce o tym mówić – powiedziała Nikki ostrożnie. – To była pomyłka.

Wcale mi się tak nie wydawało, poczułam wzrastające podniecenie. Colin obserwował nas teraz, usiłując odczytać emocjonalne zabarwienie naszej rozmowy.

- Wiem, że to zabrzmie dziwnie – powiedziałam z wahaniem – ale zastanawiam się, czy to nie Laurence mu powiedział, że Gwen jest jego matką.

- Czemu miałyby to robić?

Spojrzałam jej prosto w oczy:

- Może Colin przyłapał ich, kiedy się obejmowali albo coś takiego.

Jej twarz przez moment nie wyrażała zupełnie nic, potem Nikki zmarszczyła brwi. Colin czekał niepewnie, kierując wzrok to na nią, to na mnie. Nikki znowu zaczęła do niego migać. Teraz wydawał się zakłopotany, zwiesił głowę. Nikki powtórzyła pytanie, tym razem bardziej dobitnie. Colin pokręcił głową, ale gest ten zdawał się wynikać raczej z ostrożności niż z niewiedzy.

Wyraz twarzy Nikki zmienił się:

- Właśnie sobie coś przypomniałam – powiedziała. Gwałtownie zamrugała, a jej twarz oblała się rumieńcem. – Laurence tu był. Powiedział mi, że zabrał tu Colina w ten weekend, kiedy byłam na Wschodzie. Greg i Diane zostali w domu z panią Voss. Oboje mieli jakieś plany, ale Laurence powiedział, że oni – on i Colin – wybrali się na plażę, żeby odpocząć od wszystkiego.

- Milutko – powiedziałam z ironią w głosie. – Colin miał trzy i pół



roku, więc i tak nic by z tego nie zrozumiał. Załóżmy, że to prawda. Załóżmy, że Gwen tu była...

– Przestań, proszę. Wcale mi się to nie podoba.

– Jeszcze ostatnie pytanie – powiedziałam. – Zapytaj go tylko, dlaczego nazwał ją „mamą taty”. Zapytaj go tylko o to.

Z wahaniem przekazała to pytanie Colinowi. Buzia chłopca rozpromieniła się z ulgą. Natychmiast zaczął do niej migać, łapiąc się za głowę.

– Miała siwe włosy – przekazała mi Nikki. – Zdaniem Colina *wyglądała* jak babcia, kiedy tu była.

Wyczułam w jej głosie iskrę złości, ale szybko się opanowała, pewnie ze względu na syna. Z czułością zmierzwiła mu czuprynę.

– Kocham cię – zapewniła. – Już wszystko jest w porządku. Już jest dobrze.

Colin się rozluźnił, ale tłumiona złość zabarwiła oczy Nikki na kolor czarny jak węgiel.

– Laurence jej nienawidził – powiedziała. – Nie mógłby...

– To tylko hipoteza – wyjaśniłam. – Może to było zupełnie niewinne. Może spotkali się na drinka i rozmawiali o postępach szkolnych dzieci. Tak naprawdę niczego nie możemy być pewne.

– Dupa jaś – wymamrotała pod nosem. Nie była w dobrym humorze.

– Nie wściekaj się na mnie – powiedziałam. – Po prostu próbuję to jakoś złożyć do kupy, żeby miało sens.

– Nie wierzę w ani jedno słowo – odparła zwięźle.

– Chcesz mi powiedzieć, że był zbyt porządnym mężczyzną, żeby zrobić coś takiego?

Odłożyła pędzel na gazetę i wytarła ręce w ściereczkę:

– Może wolałabym, żebyś zostawiła mi kilka złudzeń.

– To normalne – odrzekłam – ale nie rozumiem, czemu tak cię to poruszyło. Właściwie to ten pomysł podsunęła mi Charlotte Mercer. Powiedziała, że był jak stary kocur. Zawsze węszył wokół tej samej werandy.

– W porządku, Kinsey. Zrozumiałam.

– Chyba jednak nie. Zapłaciłaś mi pięć patyków, żebym odkryła, co

się naprawdę wydarzyło. A teraz nie podoba ci się to, do czego doszłam. Mogę ci zwrócić pieniądze.

– Nie, nieważne. Zostawmy ten temat. Masz rację – powiedziała.

– Mam kontynuować śledztwo czy nie?

– Kontynuować – odrzekła stanowczo, ale od tego momentu już nie spojrzała mi prosto w oczy. Niedługo potem wymyśliłam jakąś wymówkę i wyszłam, dosyć przybita. Nikki ciągle coś czuła do tego faceta, a ja nie wiedziałam, co o tym myśleć. Chyba tyle, że na świecie nie ma nic pewnego, zwłaszcza gdy chodzi o relacje damsko-męskie. Tylko dlaczego czułam się winna, skoro robiłam jedynie to, co do mnie należało?

Weszłam do budynku, w którym mieściła się kancelaria Charliego. Czekał na mnie u szczytu schodów z płaszczem przewieszonym przez ramię i poluzowanym krawatem.

– Co się stało? – zapytał na widok mojej miny.

– Nie pytaj – odparłam. – Mam zamiar starać się o stypendium do szkoły sekretarek. Prosty i przyjemny zawód. Zaczynasz o dziewiątej, kończysz o piątej.

Podeszłam do niego po schodach, lekko unosząc twarz w jego stronę. Nagle poczułam, jakbym znalazła się w środku pola magnetycznego, jak te dwa małe pieski- magnesiki – jeden czarny, jeden biały – którymi bawiłam się jako dziecko. Kiedy przysuwałam je na odległość półtora centymetra, z cichym „klik” przywierały do siebie. Jego twarz tak poważna, tak bliska. Oczy spoczywające na moich ustach, jakby myślał, że może mnie przyciągnąć siłą woli. Pełne dziesięć sekund staliśmy tak, niezdolni do żadnego ruchu. Potem lekko się odsunęłam, nieprzygotowana na taką intensywność.

– Jezu – powiedział, jakby zaskoczony, a potem cicho się zaśmiał, w sposób, który dobrze znałam.

– Potrzebuję drinka – powiedziałam.

– Potrzebujesz czegoś jeszcze – zauważył.

Uśmiechnęłam się, ignorując jego słowa:

– Mam nadzieję, że umiesz gotować, bo ja nie.

– Jest tylko mały problem – powiedział. – Opiekuję się domem mo-

jego współnika z kancelarii. Wyjechał z miasta i muszę karmić jego psy. Możemy zjeść u niego.

– Brzmi nieźle – odparłam.

Zamknął kancelarię na klucz, po czym zeszliśmy na dół tylnymi schodami. Wyszliśmy na mały parking przylegający do biurowca, w którym pracował. Otworzył mi drzwi swojego samochodu, ale ja już szłam do mojego, zaparkowanego na ulicy.

– Boisz się jechać ze mną?

– Dostanę mandat, jeśli zostawię tu samochód. Pojadę za tobą. Poza tym nie lubię się rozstawać z własnymi czterema kółkami.

– „Własne cztery kółka”? Tak się mówiło w latach sześćdziesiątych! Nazywasz swój samochód „własnymi czterema kółkami”?!

– Taaa... Gdzieś to wyczytałam – odparłam sucho.

Wywrócił oczami i uśmiechnął się wyrozumiale. Najwyraźniej nie chciał ciągnąć tematu. Wsiadł do auta i ostentacyjnie poczekał, aż ja wsiadę do swojego. Następnie ruszył; jadąc powoli, żeby mnie nie zgubić. Widziałam, że od czasu do czasu spogląda na mnie w lusterku.

– Ty seksowny draniu! – mruknęłam pod nosem, po czym przeszedł mnie dreszcz. Ten facet mnie kręcił.

Jechaliśmy w stronę domu na plaży Johna Powersa. Charlie się nie spieszył. Jak zwykle, działał na zwolnionych obrotach. Wjechaliśmy na odcinek drogi pełen zakrętów, w pewnym momencie Charlie zwolnił i skręcił w lewo na stromy podjazd. Jeśli się nie myliłam, dom na plaży Nikki znajdował się całkiem niedaleko. Zaparkowałam na ostrej pochyłości za autem Charliego; miałam nadzieję, że mój hamulec ręczny stanie na wysokości zadania. Dom Powersa stał po prawej, dokładnie naprzeciwko była wiata na dwa samochody. Przecinało ją białe ogrodzenie, bramka była zamknięta na kłódkę, a w środku stał – jak się domyśliłam – samochód Powersa.

Charlie wysiadł i poczekał na mnie. Podobnie jak posiadłość Nikki, ta też była położona na urwisku, prawdopodobnie jakieś 20 metrów nad plażą. Za wiatą widziałam porośnięty trawnik i podwórko w kształcie półksiężyca. Poszliśmy wąską ścieżką za domem i Charlie otworzył drzwi prowadzące do kuchni. Oba psy Johna Powersa reprezentowały dokładnie ten typ, którego nienawidzę – skaczące, szcze-

kające, śliniące się, a na dodatek z pazurami ostrymi jak zęby rekina. Śmierdziało im z pysków. Jeden był czarny, a drugi koloru gnijącego wieloryba, leżącego od miesiąca na plaży. Oba były wielkie i strasznie chciały stać na tylnych łapach i gapić mi się prosto w twarz. Odchyliłam głowę tak daleko jak się dało i zacisnęłam usta, na wypadek gdyby planowane były również mokre i czułe pocałunki.

– Charlie, mógłbyś mi pomóc? – zaryzykowałam i odezwałam się przez zaciśnięte zęby. Jeden z psów w tym czasie polizał mnie prosto w usta.

– Tootsie! Moe! Przestańcie! – przywołał psy do porządku.

Wytarłam usta.

– Tootsie i Moe?

Charlie roześmiał się, chwycił psy za łańcuchy na karku i zaciągnął do składziku, gdzie je bezpardonowo zamknął. Jeden natychmiast zaczął wyć, drugi – szczekać.

– O Jezu. Wypuść je! – poprosiłam. Charlie otworzył drzwi i oba psy wypadły w podskokach, z powiewającymi językami przypominającymi płaty peklowanej wołowiny. Jeden z psów popędził do pokoju obok, skąd wrócił truchcikiem ze smyczą w pysku. Chyba próbował być uroczy. Charlie założył im smycze, a one rozpoczęły radosny taniec, posikując ze szczęścia na podłogę.

– Uspokajają się, kiedy dostaną, czego chcą – zapewnił Charlie. – Podobnie jak ty.

Skrzywiłam się. Nie miałam innego wyjścia, jak iść za nim. Wyszliśmy frontowymi drzwiami. W trawie leżało wiele psich kup. Wąskie, kręte, drewniane schody prowadziły w dół, do plaży, miejscami ustępując miejsca gołej ziemi i skałom. Było to niebezpieczne zejście, szczególnie jeśli się schodziło w towarzystwie dwóch czterdziestokilowych matolek, wykonujących na każdym zakręcie przeróżne skoki i piruety.

– John wraca do domu w przerwie na lunch, żeby mogły pobiegać – rzucił przez ramię Charlie.

– Szczęściarz – powiedziałam, ostrożnie schodząc po stromej pochyłości w dół i starając się skoncentrować na tym, gdzie stawiać stopy. Na szczęście założyłam tenisówki. Co prawda nie były szczególnie

przyczepne, ale przynajmniej nie miały obcasów, które by utknęły w spróchniałych schodach i posłały mnie głową w dół prosto do Pacyfiku.

Plaża poniżej była długa i wąska, otaczały ją urwiste skały. Psy sadyły susami z jednego jej końca na drugi. Czarny zrobił sobie przerwę, żeby – z wygiętym w łuk grzbietem i skromnie spuszczonej oczami – usadzić wielką, parującą kupę. Jezu, pomyślałam, czy to jedyne, co psy potrafią zrobić? Odwróciłam wzrok. Naprawdę, to wszystko było takie *prostackie*. Usiadłam na skale i próbowałam całkowicie się wyłączyć. Potrzebowałam przerwy, długiego okresu czasu, w trakcie którego nie musiałabym się martwić o nikogo oprócz samej siebie. Charlie rzucał patyki, a psy daremnie usiłowały złapać je w locie.

Wreszcie, ciągnięci przez rozbrykane psy, wróciliśmy do domu, ostrożnie stąpając po niepewnych schodach. Gdy tylko znaleźliśmy się w środku, psy klapnęły radośnie na wielkim owalnym dywanie pośrodku salonu i zajęły się rozrywaniem go na strzępy. Charlie poszedł do kuchni; słyszałam, jak trzaskają zmrożone tacki do lodu.

– Czego się napijesz? – zawołał.

Podeszłam do drzwi.

– Wina, jeśli można.

– Pewnie, że można. Jest w lodówce.

– Często to robisz? – zapytałam, wskazując na psiaki.

Wzruszył ramionami, napełniając tacki na lód wodą:

– Co trzy, cztery tygodnie. Zależy – odparł, posyłając mi uśmiech. – Widzisz? Milszy ze mnie facet, niż myślałaś.

Zakreśliłam w powietrzu palcem wskazującym, by mu pokazać, jak wielkie to na mnie robi wrażenie, ale tak naprawdę faktycznie uważałam za miłe z jego strony, że tak się zajmuje tymi psami. Nie sądzę, żeby Powers miał szansę namówić jakiś hotel dla psów, by je przyjął. W grę wchodziło chyba tylko zoo. Charlie podał mi kieliszek wina, a sam nalał sobie burbona z lodem. Oparłam się o framugę drzwi.

– Wiedziałaś, że Laurence miał romans z matką Sharon Napier?

Spojrzał na mnie, wyraźnie zaskoczony:

– Żartujesz?

– Nie, nie żartuję. Musiało to być jakiś czas przed tym, gdy Sharon zaczęła dla niego pracować. Z tego, co wiem, jej „zatrudnienie się” u niego było częściowo sposobem na wyłudzenie pieniędzy, a częściowo – zemstą. To wyjaśnia, czemu go traktowała w taki a nie inny sposób.

– Skąd o tym wiesz?

– A co za różnica?

– Ponieważ brzmi to jak kawał niezłego gówna – powiedział. – Znałem go od lat, nigdy nie wspominał o kobiecie o nazwisku Napier.

Wzruszyłam ramionami:

– To samo mówiłeś o Libby Glass – zauważyłam.

Uśmiech powoli zniknął z twarzy Charliego.

– Jezus, nigdy nie odpuszczasz, co?

Przeszedł do salonu, a ja zanim. Usiadł w wiklinowym fotelu, który skrzypnął pod ciężarem jego wagi.

– Po to tu jesteś? Żeby pracować? – zapytał.

– Właściwie to nie. Powiedziałabym, że wręcz odwrotnie.

– To znaczy?

– Przyjechałam tu, żeby od tego wszystkiego uciec – wyjaśniłam.

– To po co te pytania? Po co to przesłuchanie? Wiesz, jaki jest mój stosunek do Laurence’a. Nie chcę, żebyś mnie wykorzystywała.

Uśmiech zaczął zniknąć również z mojej twarzy. Poczułam się niezręcznie.

– Tak właśnie myślisz? – zapytałam.

Przyglądał się swojej szklance, ostrożnie formułując zdania:

– Zdaję sobie sprawę, że masz robotę do wykonania. W porządku, nie narzekam. Pomogę ci, kiedy tylko będę mógł, ale nie chcę być przesłuchiwany na każdym kroku. Myślę, że nie zdajesz sobie sprawy, jak to wygląda. Powinnaś zobaczyć, jak się zmieniasz, kiedy zaczynamy mówić o tym morderstwie.

– Przykro mi – powiedziałam sztywno. – Nie robię tego specjalnie. Dostaję pewne informacje i muszę je zweryfikować. Nie mogę sobie pozwolić, by wierzyć ludziom na słowo.

– Nawet mnie?

– Dlaczego to robisz? – zapytałam, a mój głos wydał mi się bardzo cichy, prawie niesłyszalny.

– Po prostu próbuję wyjaśnić parę rzeczy.

– Ej, to ty do mnie przyszedłeś. Pamiętasz?

– W sobotę, tak. Ale dzisiaj to ty przyszedłeś. I teraz próbujesz wy-cisnąć ze mnie jakieś informacje, a mnie się to nie podoba.

Gapiałam się w podłogę. Czułam się bezbronna i upokorzona. Nie lubię, kiedy ktoś mnie karci, wkurza mnie to. Bardzo. Potrząsnęłam głową:

– Miałam ciężki dzień – powiedziałam. – Naprawdę nie potrzebuję tego gówna.

– Ja też miałem ciężki dzień – odparł. – I co z tego?

Odłożyłam kieliszek na stół i wzięłam torebkę:

– Pieprz się – poradziłam łagodnie. – Po prostu się pieprz.

Ruszyłam w kierunku kuchni. Psy podniosły głowy i patrzyły, jak przechodzę. Byłam wściekła, więc potulnie schyliły łby, jakby w jakiś sposób zrozumiały, jak się czuję. Charlie nie ruszył się z miejsca. Trzasnęłam drzwiami i poszłam do auta. Gwałtownie ruszyłam, cofając z piskiem opon. Gdy wyjeżdżałam na drogę, kątem oka dostrzegłam Charliego, stał obok wiaty. Wrzuciłam bieg i odjechałam.

## 23

Nigdy nie byłam dobra w radzeniu sobie z głównianymi sytuacjami, zwłaszcza gdy w grę wchodził mężczyzna. Kiedy przyjechałam do domu, potrzebowałam godziny, żeby się uspokoić. Była ósma wieczór, a ja ciągle jeszcze nic nie jadłam. Nalałam sobie duży kieliszek wina i usiadłam przy biurku. Wyjęłam czyste fiszki i zabrałam się do pracy. O dziesiątej zrobiłam sobie kolację – kanapka z chleba pszennego z pokrojonym w plasterki, gorącym jeszcze jajkiem na twardo, z mnóstwem majonezu i soli, do tego pepsi i paczka kukurydzianych chipsów. Przed kolacją zdążyłam przenieść wszystkie nowe informacje na fiszki, które przyczepiłam do tablicy.

Próbowałam w myślach naszkicować sobie całą tę historię, z przyzwoleniem na daleko idące spekulacje. Czemu nie? Na tym etapie nie miałam jeszcze wielu opcji. Możliwe, że ktoś się włamał do domu Fife'ów w ten weekend, kiedy zginął owczarek niemiecki, a Nikki i Laurence byli nad Salton Sea z Colinem i Gregiem. Kolejną możliwą wersją wydarzeń było, że Sharon Napier odkryła coś po zabójstwie Laurence'a – i (być może) właśnie tym odkryciem ściągnęła na siebie śmierć. Zaczęłam robić listy, systematyzować informacje, które miałam, podobnie jak nie do końca ukształtowane pomysły, które kłębiły mi się gdzieś z tyłu głowy. Zapisałam kilka kartek na maszynie do pisania i ułożyłam je w kolejności alfabetycznej, zaczynając od Lyle'a Abernathy'ego i Gwen.

Nie odrzuciłam hipotezy, że Diane i Greg mogli być zamieszani, choć pomysł zabicia przez nich własnego ojca – by nie wspomnieć o Libby Glass – wydawał mi się bez sensu. Na listę wciągnęłam Charlotte Mercer. Była zepsuta i złośliwa; nie sądziłam, by pożałowała czasu czy energii na dopilnowanie, aby świat był urządzony dokładnie po jej myśli. Mogła kogoś wynająć, gdyby nie chciała robić sobie kłopotu i osobiście go mordować. A jeśli go zabiła, to dlaczego nie miałyby zabić również Libby Glass? A czemu nie pozbyć się Sharon, gdyby ta



odkryła, kto stoi za poprzednimi zabójstwami? Pomyślałam, że niegłupim posunięciem będzie sprawdzić w liniach lotniczych, czy nazwisko Charlotte Mercer nie figuruje na liście pasażerów do Las Vegas, w czasie gdy zginęła Sharon. Została mi jeszcze jedna osoba, którą specjalnie zostawiłam sobie na koniec. Sporządziłam notatkę. Charlie Scorsoni ciągle był na mojej liście. Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, ogarnął mnie niepokój.

Ktoś zapukał do drzwi, a ja mimowolnie się wzdrygnęłam, gdyż mój organizm zafundował mi niezły haust adrenaliny. Spojrzałam na zegarek – dwadzieścia pięć minut po północy. Serce mi tak waliło, że aż ręce zaczęły mi się trząść. Podeszłam do drzwi i pochyliłam głowę.

– Tak?

– To ja – powiedział Charlie. – Mogę wejść?

Otworzyłam drzwi. Charlie opierał się o framugę. Bez marynarki. Bez krawata. W sportowych butach założonych na gołe stopy. Jego kwadratowa, przystojna twarz miała poważny i przygaszony wyraz. Spojrzał mi w oczy, a potem odwrócił wzrok:

– Przepraszam, że tak na ciebie napadłem – powiedział.

Uważnie przyjrzałam się jego twarzy:

– Miałeś prawo – odparłam. Wiedziałam, że niezależnie od tego, co mówię, w moim głosie brzmi upór. Wiedziałam również, iż robię to po to, aby go ukarać. Spojrzał na mnie, by się zorientować, w jakim jestem nastroju. To, co zobaczył, nieco go zmroziło.

– Jezu Chryste, nie możemy po prostu pogadać? – zapytał.

Obrzuciłam go krótkim spojrzeniem, po czym odsunęłam się od drzwi. Wszedł, zamykając je za sobą. Oparł się o drzwi, z rękami w kieszeniach, i obserwował, jak krążę po pokoju. Weszłam za biurko i zaczęłam układać fiszki zapisaną stroną do dołu oraz porządkować papiery.

– Czego ty ode mnie chcesz? – zapytał bezradnie.

– Czego ty chcesz *odemnie*? – warknęłam. Zreflektowałam się i podniosłam rękę. – Przepraszam. Nie chciałam tego powiedzieć takim tonem.

Utkwił wzrok w podłodze, jakby się zastanawiał, co ma dalej robić.

Ja usiadłam w tapicerowanym fotelu stojącym koło kanapy, nogi przerzuciłam przez wyściełaną poręcz.

– Chcesz się czegoś napić? – zaproponowałam.

Potrząsnął głową. Podszedł do kanapy i ciężko na nią opadł, odchylając głowę do tyłu. Twarz miał przeoraną zmarszczkami, czoło przecięte pionową kreską. Jego jasne włosy wyglądały, jakby tego wieczoru nie raz przejechał po nich ręką.

– Nie wiem, co mam z tobą robić – powiedział.

– A niby co jest do robienia? – zapytałam. – Wiem, że czasem niezła ze mnie jędza, ale co z tego? Mówię serio, Charlie. Jestem za stara, żeby mnie tak besztać. A mówiąc szczerze, to w tym przypadku nie wiem, kto co komu zrobił. Czy to ty wywołałeś tę kłótnię, czy to byłam ja?

Lekko się uśmiechnął:

– Okej, czyli oboje od czasu do czasu bywamy nieco drażliwi. To chyba sprawiedliwy układ?

– Nie znam się na sprawiedliwości. Nie znam się na układach.

– Nie słyszałaś nigdy o kompromisie?

– Pewnie, że słyszałam – odparowałam. – Kompromis jest wtedy, kiedy oddajesz połowę rzeczy, które chcesz mieć wszystkie. Kiedy dajesz drugiej osobie połowę tego, co w całości należy się tobie. Przerabiałam to wiele razy. Kompromisy są do dupy.

Potrząsnął głową, uśmiechając się ze znużeniem. Utkwiłam w nim wzrok, nieugięta i wojowniczo nastawiona. On zrobił pierwszy krok, a ja ciągle nie mogłam się ugiąć. Obrzucił mnie sceptycznym spojrzeniem:

– Do czego zmierzasz, kiedy patrzysz na mnie takim wzrokiem? – zapytał. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc nie powiedziałam nic. Charlie sięgnął i lekko potrząsnął moją gołą stopą, jakby chciał zwrócić na siebie uwagę.

– Wiesz, że trzymasz mnie na dystans – stwierdził.

– Doprawdy? Uważasz, że w sobotnią noc też cię trzymałam na dystans?

– Kinsey, jedynie w czasie seksu pozwoliłaś mi się zbliżyć do siebie. Co mam robić? Biegać za tobą z kutasem na wierzchu?

Uśmiechnęłam się w duchu, z nadzieją że uśmiech nie odbił się na mojej twarzy. Jednak on dostrzegł go w moich oczach.

– Taaa... Właściwie... czemu nie? – rzuciłam lekko.

– Myślę, że nie jesteś przyzwyczajona do mężczyzn – powiedział, unikając mojego wzroku. Zaraz się poprawił: – Nie tyle chodzi o mężczyzn. Myślę, że w ogóle nie jesteś przyzwyczajona do czyjejś obecności w twoim życiu. Chyba przyzwyczaiłaś się do bycia sama sobie sterem. I to jest w porządku. W zasadzie ja też żyję w ten sposób, ale to jest co innego. Powinniśmy uważać.

– Na co?

– Na to, co jest między nami – wyjaśnił. – Nie chcę, żebyś się przede mną zamykała. Nie tak trudno cię przejrzeć. Czasami w jednej chwili znikasz, a ja nie potrafię sobie z tym poradzić. Postaram się trochę zwolnić. Postaram się nie być ostatnim frajerem. Obiecuję ci to. Tylko nie uciekaj. Nie wycofuj się. Masz taki odruch chowania się do skorupy jak jakiś małż... – przerwał.

Cała moja złość minęła. Zastanawiałam się, czy przypadkiem źle go nie oceniłam. Zareagowałam zbyt ostro, zbyt szybko. Czasem jestem niesprawiedliwa i dobrze o tym wiem.

– Przepraszam – rzekłam. Musiałam odchrząknąć. – Przepraszam. Wiem, że to robię. Nie wiem, czyja to była wina. Ty na mnie naskoczyłeś, a ja wybuchłam.

Wyciągnęłam dłoń, a on ją wziął, ściskając moje palce. Patrzył na mnie przez dłuższą chwilę. Potem całował opuszki moich palców, całował je lekko, swobodnie, cały czas patrząc mi w oczy. Czułam się, jakby jakiś przełącznik ukryty na dole pleców został włączony. Odwrócił moją rękę i przycisnął usta do jej wnętrza. Nie chciałam, żeby to robił, ale nie cofnęłam ręki. Obserwowałam go, zahipnotyzowana, moje zmysły utonęły w fali gorąca, która pędziła w dół, która pędziła w głąb. To były suche drewnienka, które zaczynają się tlić; jak jakaś mroczna część mnie samej, ukryta w schowku pod schodami; jak coś, przed czym ostrzegali nas w szkole podstawowej strażacy. Puszki z farbami. Kanistry z benzyną. Pojemniki z gazem pod ciśnieniem. Wystarczyła tylko jedna iskra, a czasem nawet obywało się bez niej. Poczułam, że zamykam oczy, a usta wbrew mojej woli rozchylają

się. Instynkt podpowiedział mi, że Charlie się poruszył, ale rozum nie był w stanie przyjąć tej informacji. Zanim się zorientowałam, co się dzieje, Charlie klęczał pomiędzy moimi nogami, szarpiąc w dół dekolt podkoszulka, z ustami na mojej nagiej piersi. Konwulsyjnie go chwyciłam, przesunęłam się w dół i do przodu, żeby przylgnąć do jego ciała, a on mnie trochę podniósł i objął dłońmi moje pośladki. Aż do tej chwili, aż do tego etapu nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo go pragnę. Dźwięk, który z siebie wydałam, był pierwotny, a jego odpowiedź dzika i natychmiastowa. W półmroku, przy odepchniętym na bok stole, kochaliśmy się na podłodze. Robił mi rzeczy, o których dotąd tylko czytałam w książkach, a kiedy skończyliśmy – z drżącymi nogami i dudniącymi sercami – wybuchłam śmiechem, a on wtulił twarz w mój brzuch, również się śmiejąc.

Wyszedł o drugiej w nocy. Następnego dnia musiał pracować, ja zresztą też. Ale i tak za nim tęskniłam, kiedy szorowałam zęby, uśmiechając się do swojego odbicia w lustrze nad umywalką. Podbródek miałam zaróżowiony od kontaktu z jego zarostem. Włosy stały mi dęba. Nie ma na świecie nic bardziej próżnego niż bezgraniczne zadowolenie z samej siebie, kiedy się zostało dokładnie i fachowo wychędożoną, ale i tak czułam się w tej sytuacji trochę niezręcznie. Złamałam reguły gry, zachowałam się źle. Z zasady starannie unikam osobistych kontaktów z osobami związanymi ze śledztwem, które prowadzę. Moja zakończona seksem kłótnia z Charliem była wyczynem nie tylko głupim i nieprofesjonalnym, ale również potencjalnie niebezpiecznym. Jakaś mała, krytyczna cząstka mózgu szeptała mi, że nie będzie z tego nic dobrego, ale ja *uwielbiałam* sposób, w jaki to robił. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz trafiłam na mężczyznę tak pomysłowego w tej dziedzinie. Chemia między nami była całkowicie instynktowna jak kryształy siarczanów rozsiane w basenie, skrzące się iskrami i tańczące po powierzchni wody niczym promienie światła. Miałam kiedyś przyjaciółkę, która mawiała: „Najważniejszy jest dobry seks, nad relacją można popracować”. Myślałam o tym teraz. Czułam, że niedługo zacznę się zachowywać według tego schematu – zacznę się angażować, marzyć o wspólnej przyszłości, zarzucać emocjonalne

sieci. Na to też musiałam uważać. Nasz seks był bardzo dobry i bardzo intensywny, ale fakt pozostawał faktem – tkwiłam w środku dochodzenia, a on ciągle figurował na mojej liście podejrzanych. Wydawało mi się, że nasz fizyczny związek nie wpływał na obiektywizm mojej oceny, ale czy mogłam być tego pewna? Nie mogłam sobie pozwolić na takie ryzyko. Z drugiej strony, może kombinując w ten sposób, próbowałam racjonalizować swoją niechęć do zaangażowania się? Czy naprawdę byłam aż tak ostrożna? Czy po prostu usiłowałam uniknąć emocjonalnego zbliżenia się do niego? Czy skrycie pragnęłam sprowadzić go do roli „potencjalnego podejrzanego”, żeby usprawiedliwić własną niechęć do podjęcia ryzyka? Przecież był miłym facetem – bystrym, troskliwym, odpowiedzialnym, atrakcyjnym, wyrozumiałym. Czego, na Boga, mogłam jeszcze chcieć?

Zgasiłam światło w łazience i pościeliłam sobie łóżko, co w praktyce sprowadzało się do wyjęcia kołdry. Oczywiście mogłam rozłożyć sofę i porządnie ją zaściłać – prześcieradła, poduszka, czysta koszula nocna. Zamiast tego wciągnęłam przez głowę ten sam podkoszulek i wtuliłam się w fałdy kołdry. Ciepło mojego ciała sprawiło, że zapach seksu pomiędzy moich nóg otulił mnie całą, jak zmysłowe perfumy. Wyłączyłam lampkę na biurku i uśmiechnęłam się do samej siebie w ciemności, drżąc na wspomnienie chwili, gdy jego usta spoczywały na moich. Może to nie czas na roztrząsanie wszystkiego, pomyślałam. Może to czas na refleksję i kompromis. Spałam jak zabita.

Rano tylko wskoczyłam pod prysznic, nie zjadłam śniadania. Do biura dotarłam przed dziewiątą. Weszłam do środka i sprawdziłam serwis telefoniczny. Dzwonił Con Dolan. Wykręciłam numer Departamentu Policji Santa Teresa i poprosiłam, żeby mnie z nim połączono.

- Czego? – warknął, od rana wkurzony na cały świat.
- Mówi Kinsey Millhone – przedstawiłam się.
- Co ty nie powiesz? Czego chcesz?
- Poruczniku, to pan do mnie dzwonił! – Prawie usłyszałam, jak mruga oczami.
- Aa, prawda. Dostałem raport z laboratorium dotyczący tego listu. Żadnych odcisków palców. Tylko smugi, czyli nie jest dobrze.
- Cholera. A charakter pisma? Pasuje?

– Wystarczająco. Dałem list i próbkę pisma Fife’a do oceny Jimmy’emu, potwierdził zbieżność. Masz coś jeszcze?

– W tej chwili nie. Ale jeśli się zgodzisz, to za parę dni wpadnę, żeby z tobą porozmawiać.

– Najpierw zadzwoń – uprzedził.

– Masz to jak w banku – zapewniłam.

Wyszłam na balkon i spojrzałam w dół na ulicę. Coś tu nie grało. Byłam prawie pewna, że list jest fałszywy, ale teraz jego autentyczność została potwierdzona i zweryfikowana. Wcale mi się to nie podobało. Wróciłam do środka i usiadłam na fotelu obrotowym. Kołysałam się lekko do tyłu i do przodu i słuchałam, jak skrzypi. Potrząsnęłam głową. Zero pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi. Spojrzałam na kalendarz. Pracowałam dla Nikki od dwóch tygodni. Miałam wrażenie, że wynajęła mnie minutę temu, a jednocześnie czułam się, jakbym ślęczała nad tą sprawą całe życie. Wychyliłam się do przodu i sięgnęłam po notatnik. Podsumowałam czas, który spędziłam nad tą sprawą, oraz podliczyłam wydatki. Obliczenia przepisałam na maszynie, skserowałam rachunki i wszystko spakowałam do koperty, którą zaadresowałam na nazwisko Nikki do jej domu na plaży. Następnie poszłam do California Fidelity i poplotkowałam chwilę z Verą, która się zajmuje roszczeniami.

Nie zjadłam lunchu, siedziałam w biurze do trzeciej po południu. W drodze do domu zatrzymałam się, żeby odebrać kolorowe odbitki Marcii Threadgill, po czym przez chwilę siedziałam w samochodzie i podziwiałam własne dzieło. Nieczęsto ma się okazję oglądać tak spektakularny spektakl zachłanności i oszustwa. Najlepsze ujęcie (mogłoby mieć tytuł „Portret cwaniaczki”) przedstawiało Marcie stojącą na kuchennym stołku, z ramionami naprężonymi pod ciężarem rośliny, którą podnosi. Cycki wyleciały jej ze zrobionej na szydełku bluzeczki i zwisały jak dwa świeże melony ciągnące w dół siatkę na zakupy. Jakość fotografii była tak dobra, że widziałam nawet pozostałości po tuszu do rzęs na jej górnej powiece, malutkie, czarne kropeczki przypominające ślady miniaturowej bestii. „Bezczelna idiotka!”, uśmiechnęłam się do siebie gorzko. Jeżeli takie właśnie są zasady rządzące światem, to ja dziękuję. Zdażyłam się już pogodzić

z myślą, że panna Threadgill dostanie to, co chce. Oszuści zawsze wygrywają. Niby nic nowego, ale warto o tym pamiętać. Wsunęłam wszystkie zdjęcia z powrotem do żółtej koperty. Odpaliłam samochód i ruszyłam w stronę domu. Nie miałam ochoty dzisiaj biegać. Chciałam usiąść i spokojnie pomyśleć.

Przypięłam zdjęcie Marcii Threadgill na tablicy i utkwiałam w nim wzrok. Zrzuciłam buty i zaczęłam przechadzać się po pokoju. Cały dzień spędziłam na rozmyślaniach, które mnie donikąd nie doprowadziły, więc wyjęłam krzyżówkę zostawioną pod moimi drzwiami przez Henry’ego. Wyciągnęłam się na kanapie z ołówkiem w ręku. Udało mi się odgadnąć 6 pionowo – „nielojalny”, na dziewięć liter, trzeba było wpisać „dwulicowy” oraz 14 poziomo „instrument z podwójnym trzcinowym stroikiem” na cztery litery, czyli „obój”. Bystrzacha ze mnie! Utknęłam na „podwójnej spirali” na trzy litery, którą okazało się w zamyśle autora „DNA”. Moim zdaniem trochę naciągnięte. Kwadrans po siódmej przyszedł mi do głowy pomysł. Po prostu wyskoczył z mrocznych zakamarków mojego mózgu, podskoczyłam, jakby poraził mnie lekki prąd.

Odnalazłam telefon domowy Charlotte Mercer i wykreśliłam numer. Odebrała gosposia. Powiedziałam, że chcę rozmawiać z Charlotte.

– Pan sędzia i pani Mercer są w trakcie spożywania kolacji – powiedziała z dezaprobatą.

– Czy mimo to mogłaby ją pani poprosić? Muszę jej zadać jedno krótkie pytanie. Jestem pewna, że nie będzie miała nic przeciwko temu.

– Jak pani godność? – zapytała. Przedstawiłam się.

– Pani raczy chwilę poczekać. – Odłożyła słuchawkę.

Bardziej angielska niż królowa Elżbieta, pomyślałam.

Głos Charlotte zdradzał, że była już po kilku drinkach.

– Wcale mi się to nie podoba – wysyczała do słuchawki.

– Przykro mi – rzekłam. – Ale potrzebuję pewnej informacji.

– Powiedziałam ci to, co wiem, i nie życzę sobie, żebyś tu wydzwaniała, kiedy sędzia jest w domu.

– W porządku. Tylko jedno pytanie – uspokoiliłam ją pospiesznie, zanim zdążyła przerwać połączenie. – Pamiętasz może, jak miała na



imię pani Napier?

Cisza. Oczywiście wyobraźni widziałam, jak odsuwa od siebie słuchawkę, żeby uważnie się jej przyjrzeć.

– Elizabeth – powiedziała i rzuciła słuchawką.

Odłożyłam swoją. Fragment układanki, którego szukałam, idealnie wpasował się na swoje miejsce. Adresatką listu wcale nie była Libby Glass. Laurence Fife napisał go lata temu do Elizabeth Napier. Byłam tego pewna. Teraz pozostała kwestia znalezienia odpowiedzi na pytanie, w jaki sposób list dostał się w ręce Libby Glass i komu zależało, żeby go odzyskać.

Wyjęłam fiszki i wróciłam do pracy nad listą podejrzanych. Zdecydowałam, że usunę z niej Raymonda i Grace Glass. Nie wierzyłam, by któreś z nich zabiło swoje własne dziecko, a jeżeli moje podejrzenie co do listu okaże się słuszne, to całkiem możliwe, że Libby i Laurence wcale nie mieli romansu. A to by oznaczało, iż Libby mogła zginąć z zupełnie innego powodu. Ale jakiego? Przypuśćmy, powiedziałam do siebie, tylko przypuśćmy, że Laurence Fife i *Lyle* byli w coś wmieszani. Może Libby dowiedziała się o tym i Lyle zabił ich oboje, żeby się chronić? Może Sharon też coś podejrzewała, więc zabił również ją? Hipoteza nie robiła wrażenia szczególnie sensownej, jednak trzeba wziąć pod uwagę, że po ośmiu latach wiele dowodów musiało zostać zagubionych albo zniszczonych. Niektóre oczywiste związki przestały być oczywiste. Zanotowałam kilka uwag i zaczęłam sprawdzać listę.

Kiedy doszłam do Charliego Scorsoniego, poczułam znajomy niepokój. Dwa tygodnie temu, przed naszym pierwszym spotkaniem, dokładnie go sprawdziłam. Wydawał się czysty, ale pozory mogą mylić. Czułam się z tym podle, jednak postanowiłam sprawdzić, gdzie spędził wieczór, kiedy zginęła Sharon. Wiedziałam, że był w Denver, bo tam do niego dzwoniłam, ale nie byłam pewna, gdzie pojechał potem. Arlette powiedziała, że zostawił wiadomości z Tucson, a potem z Santa Teresa, ale czy naprawdę tam był? Miałam na to tylko jego słowo. Jeśli chodzi o Laurence'a Fife'a, to z pewnością miał możliwość, żeby go zabić. Od początku wiedziałam, iż w tej sprawie motyw i alibi są dziwnie ze sobą splątane. W zwyczajnych sprawach alibi oznacza ustalenie miejsca pobytu podejrzanego, w czasie gdy zo-

stało popełnione przestępstwo, i jest uznawane za dowód niewinności. Jednak tutaj miejsce przebywania w danym momencie nie miało żadnego znaczenia. W przypadku otrucia liczy się tylko, czy ktoś miał *powód*, aby pragnąć czyjejś śmierci – liczy się dostęp do trucizny, dostęp do ofiary oraz zamiar zabicia. I właśnie te aspekty na okrągło wałkowałam. Miałam ochotę po prostu wykreślić Charliego z listy, jednak przedtem sama musiałam sobie zadać kilka pytań. Czy naprawdę wierzyłam, że jest niewinny, czy też po prostu chciałam się uwolnić od dręczącej mnie niepewności? Próbowałam zająć myśli czymś innym. Próbowałam przejść nad tym do porządku dziennego, ale mój umysł uparcie wracał do tego punktu. Wydawało mi się, że nie zachowuję się mądrze. Nie byłam pewna, czy jestem sama z sobą szczerą. I nagle nie spodobało mi się, że nie mogę polegać na jasności własnego myślenia. Źle się z tym czułam, do szpiku kości – źle. Sprawdziłam w książce telefonicznej jego numer domowy. Jeszcze raz się zawahałam, ale zaraz przywołałam się do porządku i wybrałam numer. Musiałam to zrobić.

Cztery sygnały i nic. Pomyślałam, że może jest w domu na plaży Powersa, ale nie znałam tamtego numeru. Miałam nadzieję, że go nie ma, że gdzieś wyszedł. Odebrał po piątym sygnale, a ja poczułam, jak mój żołądek robi fikołka. Nie było sensu odkładać tego na później.

– Cześć, tu Kinsey – powiedziałam.

– O, witaj – odparł miękko. W jego głosie wyraźnie słychać było zadowolenie, łatwo mogłam sobie wyobrazić jego twarz. – Miałem nadzieję, że się odezwiesz. Masz teraz czas?

– Nie, niestety nie mam. Yyyy, posłuchaj, Charlie, wydaje mi się, że przez pewien czas nie powinniśmy się widywać. Dopóki nie rozwikłałam tej sprawy.

Jego milczenie było wymowne.

– W porządku – powiedział wreszcie.

– Nie bierz tego do siebie – poprosiłam. – Po prostu takie mam zasady.

– Przecież nic nie mówię – odparł. – Rób, co uważasz za stosowne. Szkoda tylko, że wcześniej nie pomyślałaś o swoich „zasadach”.

– Charlie, to nie tak – jęknęłam z desperacją w głosie. – Może to nie

zaszkodzi śledztwu, może przesadzam, ale źle się z tym czuję. Bardzo źle. To nie w moim stylu. Nie chcę łamać jednej z moich podstawowych zasad. Nie mogę się z tobą widywać, dopóki nie rozwikłam tej sprawy.

– Kotku, rozumiem – powiedział. – Jeżeli wydaje ci się to nie w porządku, to znaczy że to *jest* nie w porządku. Zadzwoń, jeśli zmienisz zdanie.

– Czekaj – zatrzymałam go. – Do diabła, nie rób mi tego! Nie odrzucam cię.

– O, doprawdy? – wyraźnie wyczułam w jego głosie wątpliwość.

– Po prostu chciałam ci to powiedzieć.

– No to powiedziałaś. Doceniam twoją szczerłość.

– Odezwę się, kiedy będę mogła.

– Życzę miłego życia – powiedział, po czym usłyszałam w słuchawce ciche „klik”.

Siedziałam z ręką na słuchawce, pełna wątpliwości. Chciałam do niego zadzwonić, chciałam wymazać wszystko, co właśnie powiedziałam. Przecież tylko szukałam ulgi, pragnęłam pozbyć się dręczącego mnie niepokoju. Nawet bym wołała, żeby nie przyjął tego tak spokojnie. Wtedy mogłabym mu się sprzeciwić i ugruntować poczucie, że mam rację. Chodziło o kwestię mojej uczciwości. Prawda? To było straszne. Ta uraza w jego głosie, po wszystkim, co między nami zaszło. A może miał rację, sugerując, że go odrzucam. Może po prostu podążałam za swoją naturą, odtrącałam go, żeby zachować dystans między sobą samą a światem. Praca to taka doskonała wymówka. Większość nowych ludzi poznaję w czasie pracy, więc jeśli z nimi nie wolno mi się emocjonalnie zaangażować, to niby gdzie mam to robić? Praca detektywa to całe moje życie. Ona ściąga mnie rano z łóżka i ona wali mnie skonaną wieczorem spać. Przez większość czasu jestem sama, ale co z tego? Nie czuję się nieszczęśliwa ani zgorzkniała. Chcę zwyczajnie trochę zwolnić, do czasu kiedy się zorientuję, dokąd to wszystko zmierza. Charlie musiał mnie po prostu źle zrozumieć. Do diabła z nim, dopóki nie rozgryzę tej sprawy! Potem możemy spróbować jeszcze raz, o ile nie będzie za późno. A nawet jeżeli miał rację, nawet jeżeli zerwałam z nim świado-

mie, jeśli szukałam pretekstu, by zakończyć naszą znajomość – to co? Nie było między nami żadnych obietnic ani zobowiązań. Dwa razy poszłam z nim do łóżka. Czy coś mu byłam winna? Nie wiem, o co chodzi w miłości, a szczerze mówiąc, to nie jestem nawet pewna, czy w nią wierzę. „To czemu się tak usprawiedliwiasz?” – szepnął w odpowiedzi jakiś cichy głosik, ale postanowiłam go zignorować.

Musiałam iść do przodu. To był jedyny sposób na wyjście z tego impasu. Podniosłam słuchawkę i wybrałam numer Gwen.

– Halo?

– Cześć, Gwen! Tu Kinsey – powiedziałam, starając się, żeby zabrzmiało to swobodnie. – Mam coś nowego i myślę, że dobrze byłoby porozmawiać.

– A o co chodzi?

– Wolałabym porozmawiać twarzą w twarz. Wiesz, gdzie jest knajpka Rosie, tutaj na plaży?

– Tak, chyba kiedyś tam byłam – powiedziała niepewnie.

– Możemy się tam spotkać za pół godziny? To ważne.

– Jasne. Tylko wskoczę w buty i już jadę.

– Dzięki – zakończyłam rozmowę.

Spojrzałam na zegarek. Była za piętnaście ósma wieczór. Tym razem chciałam ją mieć na swoim terytorium.

W knajpce Rosie wiało pustkami, światła były przygaszone, a w powietrzu unosił się zapach całodziennego dymu papierosowego. Kiedy byłam dzieckiem, toaleta dla pań w kinie, do którego chodziłam, pachniała właśnie w ten sposób. Rosie miała na sobie długą, luźną suknię z drukowanej tkaniny, na której można było podziwiać mnóstwo stojących na jednej nodze flamingów. Siedziała przy końcu baru i czytała gazetę przy świetle padającym z ekranu stojącego na barze telewizora. Dźwięk był wyłączony. Kiedy weszłam, podniosła na mnie wzrok i odłożyła gazetę.

– Już za późno na kolację. Kuchnia jest zamknięta. Zrobiłam sobie dziś wieczór wolne – oświadczyła przez całą długość sali. – Chcesz coś zjeść, przyrządź sobie sama w domu. Poproś Henry’ego Pittsa. Upichci ci coś smacznego.

– Umówiłam się z kimś na drinka – wyjaśniłam. – Widzę, że masz tłumy klientów.

Rozejrzała się, jak gdyby chciała sprawdzić, czy na pewno nikogo nie przeoczyła. Podeszłam do baru. Chyba właśnie pofarbowwała sobie odrosty, bo skóra na głowie była lekko zaróżowiona. Używała ciemnobrazowej kredki do brwi Maybelline, za każdym razem przeciągając wygiętą w kokieteryjny łuk kreskę bliżej nosa. Niedługo będzie mogła załatwić sprawę jednym solidnym pociągnięciem falistej linii.

– Masz już faceta? – zainteresowała się.

– Żeby to jednego! Sześciu do ośmiu tygodniowo – zwierzyłam się.  
– Jest może schłodzone wino Chablis?

– Tylko jakiś sikacz. Obsłuż się.

Okrzyżłam bar i wzięłam kieliszek, a z lodówki pod ladą wyjęłam wielki, prawie czterolitrowy dzbanek białego wina. Nalałam sobie sporą porcję i dodałam lodu. Potem poszłam do ulubionej łoży i usiadłam, żeby się psychicznie przygotować do czekającej mnie rozmowy, tak jak aktor szykuje się do występu na scenie. Najwyższy czas skończyć z uprzejmościami.

Gwen pojawiła się czterdzieści minut później, energiczna i pewna siebie. Przywitała się ze mną jak zwykle sympatycznie, ale wyczułam, że jest spięta, jakby przeczuwała, co mam jej zamiar powiedzieć. Rosie przyczłapała do stolika i obrzuciła Gwen długim, taksującym spojrzeniem. Musiała dojść do wniosku, że jest w porządku, ponieważ zaszczyciła ją, zwracając się bezpośrednio do niej:

– Napijesz się czegoś?

– Szkocka z lodem. Czy mogłabym również dostać szklanek wody?

Rosie wzruszyła ramionami. Miała gdzieś, co ludzie piją.

– Dopisać do rachunku? – zwróciła się do mnie.

Potrząsnęłam głową:

– Zapłacę od razu – powiedziałam. Rosie odeszła w stronę baru. Gwen i ja wymieniliśmy spojrzenie, w którym obie mimowolnie zdradziłyśmy się, że obu przyszedł nam na myśl moment, gdy Gwen pierwszy raz wspomniała o piciu szkockiej w dawnych czasach. Wtedy była żoną Laurence'a Fife'a i odgrywała rolę perfekcyjnej pani

domu. Ciekawe, kogo udawała teraz.

– Od czasu do czasu lubię się napić czegoś mocniejszego – powiedziała, jakby czytała w moich myślach.

– Jasne, czemu nie? – odparłam.

Posłała mi szybkie, sondujące spojrzenie:

– O co chodzi?

Było to odważne pytanie. Nie wydawało mi się, żeby naprawdę chciała znać odpowiedź, jednak miałam ją za kobietę, która nie próbuje uciec przed tym, co nieuniknione. Prawdopodobnie tak samo pozbywała się plastra – zrywając go jednym stanowczym ruchem, żeby mieć to już za sobą.

– Rozmawiałam z Colinem – rzekłam krótko. – Pamięta cię.

Zmiana w jej zachowaniu była prawie niedostrzegalna. W oczach przez moment mignęła nie tyle obawa, ile ostrożność.

– Cóż, to miłe – odparła. – Oczywiście nie widziałam go od lat. Tak jak ci mówiłam.

Sięgnęła do torebki i wyjęła z niej małe lusterko, w którym szybko się przejrzała, przeczesując dłonią włosy. Rosie wróciła ze szkoeką i szklanką wody. Zapłaciłam. Barmanka włożyła pieniądze do kieszeni swojej sukni i niespiesznie oddaliła się w stronę baru, gdy tymczasem Gwen upiła łyk wody. Wydawało mi się, że ma się na baczności, że nie ufa sobie na tyle, by podjąć rozmowę w miejscu, w którym ją przerwałyśmy. Postanowiłam zaatakować z zaskoczenia:

– Nie wspominałaś, że ucięłaś sobie romans z Laurence'em – powiedziałam.

Zaniósła się śmiechem.

– Kto, ja? Z nim? Chyba nie mówisz tego poważnie?

Jej rozbawienie nie zrobiło na mnie żadnego wrażenia:

– Colin widział cię w domu na plaży w weekend, kiedy Nikki była poza miastem. Nie znam szczegółów, ale nietrudno się domyślić.

Patrzyłam, jak oblicza swoje szanse i zmienia taktykę. Była całkiem niezłą aktoreczką, ale od tak dawna nie miała okazji przedstawiać komuś swojej gładkiej historyjki, że ta nieco się sfatygowała. Minał długi czas, odkąd po raz ostatni grała w tę grę i wypadła trochę z wprawy. Swój tekst opanowała perfekcyjnie, ale po ośmiu latach

trudno jej było gładko wskoczyć w rolę. Chyba nie zorientowała się, że blefuję, na wszelki wypadek trzymałam buzię na kłódkę. Dobrze wiedziałam, co się teraz dzieje w jej głowie. Ogromna potrzeba, żeby wreszcie powiedzieć prawdę. Chęć wyrzucenia z siebie tego wszystkiego, zbyt kusząca, żeby jej się oprzeć. Co prawda jak dotąd wodzenie mnie za nos szło jej całkiem nieźle, ale tylko dlatego, że nie wiedziałam, za które sznurki mam pociągać.

– No dobra – wyrzuciła wreszcie z siebie z buntowniczym błyskiem w oku – poszłam z nim raz do łóżka. No i co? Jeśli chcesz wiedzieć, to natknęłam się na niego w restauracji Palm Garden. Kilka dni temu chciałam ci o tym powiedzieć. To od niego usłyszałam, że Nikki wyjechała. Byłam w szoku, że w ogóle się do mnie odezwał. – Przerzuciła się na szkocką, upiła porządnego łyka.

Łgała jak z nut. Wszystko to brzmiało nawet przyjemnie, ale tkwił w tym fałsz. Jakby w lokalu puszczono płytę, zarzekając się, że to muzyka na żywo. Postanowiłam nie tracić czasu na pierdoły. Ponownie przypuściłam na nią atak:

– To nie był tylko jeden raz, Gwen – powiedziałam. – Miałś z nim poważny romans. Charlotte Mercer leciała na niego bez opamiętania, ale on z nią zerwał. Mówiła, że wdał się w jakiś ściśle tajny romans. Z „gorącą laską”, żeby użyć jej własnych słów. Myślę, że to byłaś ty.

– Nawet jeśli mieliśmy romans, to co? Robił to od lat.

Pozwoliłam, żeby upłynęła dłuższa chwila. Kiedy się odezwałam, postarałam się, żeby mój głos brzmiał nisko, a ponadto pochyliłam się lekko w jej stronę, aby w pełni poczuła powagę chwili:

– Myślę, że go zabiłaś.

Cała energia odpłynęła z jej twarzy, jakby woda z wanny po wyciągnięciu korka. Zaczęła coś mówić, ale nie była w stanie dokończyć. Widziałam, że jej umysł pracuje na najwyższych obrotach, jednak nie potrafiła tak szybko wymyślić nic sensownego. Szamotała się, a ja nie popuszczałam:

– Chcesz mi o tym opowiedzieć? – zapytałam. Serce mi waliło i czułam, że pod pachami robią mi się mokre plamy od potu.

Potrząsnęła głową, ale nie było jej stać na nic więcej. Strach ją sparaliżował. Jej twarz się zmieniła, przybrała ten wyraz, jaki ludzie

mają we śnie, gdy całkowicie przestają się kontrolować. Jej oczy były błyszczące i ciemne, a na białych policzkach pojawiły się – upodabniając ją do klauna – dwie różowe plamy, jakby malując się przy sztucznym świetle, zaaplikowała za dużo różu. Zamrugła, żeby pozbyć się łez, oparła podbródek na pięści i utkwiała wzrok gdzieś poza mną, ostatkiem sił walcząc o odzyskanie samokontroli. Jednak ostatnia linia obrony została złamana, poczucie winy już torowało sobie drogę przez wspaniałą fasadę. Widywałam to już przedtem. Ludzie przez pewien czas się trzymają, a potem kompletnie się załamują. W głębi serca była tylko amatorką.

– Presja była zbyt duża i nie wytrzymałaś – powiedziałam, mając nadzieję, że nie przeszarżuję. – Poczekalaś, aż Laurence z Nikki wyjadą za miasto, po czym użyłaś kluczy Diane, żeby dostać się do domu. Włożyłaś kapsułki z oleandrem do jego małej, plastikowej buteleczki, wytarłaś z niej odciski palców, a następnie wyszłaś.

– Nienawidziłam go – powiedziała drżącymi ustami. Zamrugła i jedna jedyna łza rozbiła się o jej bluzkę, jak kropla deszczu. Wzięła głęboki wdech, słowa płynęły teraz szybko:

– Zrujnował mi życie, zabrał mi dzieci, zostawił mnie bez środków utrzymania, upokorzona, zhańbiona... Boże, nie masz pojęcia! Było w nim tyle *podłości*...

Chwyciła chusteczkę i przycisnęła ją do oczu. Co ciekawe, Rosie nie zauważyła tego wybuchu rozpacz. Siedziała sobie przy barze, prawdopodobnie czytała rubrykę „Listy do Ann” i razem z Anną zastanawiała się, czy czytelniczka, która podsłuchiwała, że jej mężulek wykonuje obsceniczne telefony, powinna na niego donieść, podczas gdy tuż pod jej nosem klientka przyznawała się do popełnienia morderstwa. Na prawo od niej na ekranie małego telewizora leciała powtórka *Muppetów*.

Gwen westchnęła. Wbiła wzrok w blat stołu. Sięgnęła po swoją szklankę, podniosła ją do ust i pociągnęła tak duży łyk szkockiej, że aż ją otrzępało, gdy przełknęła.

– Nawet nie czułam się z tego powodu źle, wyrzuty sumienia miałam tylko ze względu na dzieci. Byłam zaskoczona, jak bardzo to przeżyły. Przecież o wiele lepiej było im bez niego.



– Po co ci był ten romans? – pytałam dalej.

– Sama nie wiem – powiedziała, składając i rozkładając papierową serwetkę. – Myślę, że to była moja zemsta. Był takim egoistą. Wiedziałam, że się nie oprze. W końcu to, że zdradziłam go z innym mężczyzną, było dla niego śmiertelną obrazą. Nie mógł mi tego puścić płazem. Jednak wiedziałam, że będzie chciał do mnie wrócić. Nawet nie było trudno przeprowadzić cały plan. Laurence chciał sobie coś udowodnić. Chciał mi pokazać, co straciłam. Wreszcie w naszym seksie coś zaiskrzyło. Wzajemna wrogość, ukryta płytko pod powierzchnią, sprawiała mi jakąś chorą przyjemność. Boże, jak ja go nienawidziłam! Z całego serca. I powiem ci coś jeszcze – dodała ochrypłym głosem. – Zabicie go raz wcale mi nie wystarczyło. Żałuję, że nie mogę go znowu zabić.

Patrzyła mi prosto w oczy. Potworność tego, co właśnie powiedziała, powoli zaczynała do nas docierać.

– A Nikki? Czym ci zawiniła?

– Myślałam, że ją uniewinnią – odparła. – Przez myśl mi nie przeszło, że pójdzie siedzieć, ale kiedy ogłoszono wyrok, nie miałam zamiaru przyznawać się i zająć jej miejsce. Wtedy było już na to za późno.

– Co jeszcze? – spytałam i zauważyłam, że mój ton robi się nieprzyjemny. – Psa też zabiłaś?

– Nie miałam z tym nic wspólnego. Został potrącony w niedzielę rano. Zawiozłam tam Diane, bo przypomniała sobie, że zostawiła psa na zewnątrz i martwiła się o niego. Znalazłam go martwego na ulicy. Mój Boże, przecież nie przejechałabym psa! – powiedziała z naciśkiem, jak gdyby chciała, żebym doceniła delikatność jej uczuć.

– I wtedy przyszedł ci do głowy genialny w swej prostocie plan? Oleander na podwórku, kapsułki na górze...

– Jedna kapsułka. Zatrulałam *jedną*.

– Gówno prawda, Gwen.

– Mylisz się. Mówię prawdę. Przysięgam! Myślałam o tym od dłuższego czasu, ale nie miałam pomysłu, jak to rozegrać. Nie byłam nawet pewna, czy taka kapsułka wystarczy, żeby go zabić. Diane była zrozpaczona z powodu psa, więc zawiozłam ją do siebie i położyłam

do łóżka. Kiedy tylko zasnęła, wzięłam klucze i wróciłam do domu Laurence'a, to wszystko.

Mówiła to niemalże wyzywającym tonem, jak gdyby teraz, gdy powiedziała tak wiele, nie musiała się już liczyć ze słowami.

– A co z pozostałą dwójką? – naskoczyłam na nią. – Co z Sharon i Libby Glass?

Zamrugnęła oczami, lekko się odsuwając do tyłu:

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Niech mnie diabli, jeśli nie wiesz – odrzekłam, podnosząc się. – Okłamywałaś mnie od samego początku. Teraz nie wierzę w ani jedno twoje słowo, a ty dobrze o tym wiesz.

Robiła wrażenie zaskoczonej moim nagłym przyływem energii:

– Co masz zamiar zrobić?

– Powiedzieć wszystko Nikki – wyjaśniłam. – Zapłaciła mi za to. Ona zdecyduje, co dalej.

Odeszłam od stołu i ruszyłam w kierunku drzwi. Gwen pospiesznie zgarnęła żakiet i torebkę, po czym dogoniła mnie.

Na ulicy chwyciła mnie za ramię, ale ją odepchnęłam.

– Kinsey, zaczekaj... – Jej twarz była zupełnie blada.

– Spadaj – powiedziałam. – Lepiej sobie znajdź dobrego prawnika, złotko, bo będzie ci bardzo potrzebny.

Poszłam w stronę domu, zostawiając Gwen za sobą.

## 25

W domu zamknęłam się na klucz i próbowałam dodzwonić się do Nikki w domu na plaży. Po ósmym sygnale odłożyłam słuchawkę i zaczęłam przechadzać się po pokoju z uczuciem niepokoju w sercu. Coś tu nie grało. Coś tu było nie w porządku, a ja nie umiałam się zorientować, co mi nie daje spokoju. Brakowało mi poczucia, że zamknęłam sprawę. Wcale. A przecież to powinien być koniec. Wielki finał. Moim zadaniem było odkryć, kto zabił Laurence'a Fife'a, i to właśnie zrobiłam. Koniec. *Finito*. Jednak zostało mi jeszcze pół sprawy i mnóstwo niewyjaśnionych wątków. Gwen zabiła Laurence'a częściowo z premedytacją, a częściowo pod wpływem impulsu, ale cała reszta wcale tu nie pasowała. Dlaczego kawałki układanki nie chciały usłużnie wślizgnąć się na swoje miejsce? Nie umiałam sobie wyobrazić Gwen zabijającej Libby Glass. Gwen nienawidziła Laurence'a Fife'a od lat, pewnie niejednym raz fantazjowała o tym, że go zabija, ale chyba nigdy nie przyszło jej do głowy, że naprawdę to robi. Wymyśliła intrygę z oleandrem i nagle zrozumiała, że to całkiem dobry plan. Wkrótce nadarzyła się idealna okazja i Gwen po prostu to zrobiła. Jednak przypadek Libby Glass był bardziej skomplikowany. Jak Gwen się o niej dowiedziała? Skąd zdobyła informację, gdzie Libby mieszka? W jaki sposób dostała się do jej mieszkania? I skąd mogła mieć pewność, że Libby zażyje akurat to lekarstwo? Nie wyobrażałam sobie również Gwen podążającej za mną do Vegas, żeby z zimną krwią zastrzelić Sharon. Po co? W jakim celu? Zamordowała Laurence'a, żeby wyrównać stare porachunki, żeby dać ujście trawiącej ją starej, gorzkiej nienawiści. Jednak po co by miała zabijać pozostałe dwie osoby? Szantaż? Strach przed ujawnieniem prawdy? Tak mogło być w przypadku Sharon, ale dlaczego zginęła Libby Glass? Gwen wydawała się szczerze zaskoczona, gdy ją oskarżyłam o zabicie obu kobiet. Tak samo gdy mówiła, że nie ma nic wspólnego z zabiciem psa. W jej głosie brzmiała nutka autentycznego oburzenia. Nie mogłam tego

wszystkiego połączyć w sensowną całość.

Chyba że był jeszcze ktoś. Ktoś, kto zabił Libby Glass i Sharon.

Wzdrygnęłam się.

O mój Boże. Lyle? Charlie? Usiadłam, szybko mrugając oczami, z dłonią przyciśniętą do ust. Założyłam, że wszystkie trzy ofiary zabiła jedna osoba, ale przecież nie musiało tak być. Była też inna możliwość. Zastanówmy się. Gwen zabiła Laurence'a Fife'a. Może ktoś dostrzegł w tym szansę dla siebie i postanowił skorzystać z okazji? Morderstwa odbyły się mniej więcej w tym samym czasie, metoda była identyczna. Skojarzenie obu spraw i przypisanie ich jednemu sprawcy wydawało się jak najbardziej naturalne.

Pomyślałam o Lyle'u. O jego twarzy, dziwnych, w trudny do opisanego sposób niepasujących do siebie oczach: posępnych, ostrożnych, wrogich. Powiedział, że spotkał się z Libby trzy dni przed jej śmiercią. Wiedziałam, że słyszał o zabiciu Laurence'a. Nie był facetem obdarzonym imponującym intelektem, ale skopiowanie czyjś przebiegłego pomysłu nie przekraczało chyba jego możliwości – nawet jeśli akurat był naćpany.

Zadzwoiłam pod serwis telefoniczny:

– Jadę do Los Angeles – powiedziałam. – Jeśli zadzwoni Nikki Fife, proszę jej podać numer telefonu do motelu Hacjenda i poprosić, żeby pilnie się do mnie odezwała. Tylko proszę o tym nie mówić nikomu innemu. Mój wyjazd jest ściśle tajny. Będę często sprawdzać, czy ktoś dzwonił. Proszę mówić, że jestem bardzo zajęta i nie wie pani, gdzie jestem. Dobrze?

– W porządku, panno Millhone. Zrobi się – odpowiedziała telefonistka wesoło i rozłączyła się. Boże. Prawdopodobnie gdybym jej powiedziała: „Proszę nie łączyć. Właśnie podrzynam sobie gardło”, odpowiedziałyby z tą samą pogodną bezmyślnością.

Jazda do Los Angeles, spokojna i monotonna, dobrze mi zrobiła. Było po dziewiątej wieczór, ściemniało się, ruch na drodze niewielki. Po lewej wznosiły się i opadały pokryte niską roślinnością wzgórza, żadnych drzew, bujnych krzewów ani skał. Po prawej szemrał ocean – znajdował się blisko, prawie na wyciągnięcie ręki i był całkiem czarny, jeśli nie liczyć strzępów białej piany tu i tam. Minęłam miasta

Summerland i Carpinteria, przejeżdżałam obok wież wiertniczych i udekorowanej mnóstwem małych światełek elektrowni, błyszczącej niczym bożonarodzeniowa wystawa domu towarowego. Było coś kojącego w tej jeździe, kiedy jedynym zmartwieniem pozostawało nie pozwolić się zabić w wypadku drogowym. Uwolniło to mój umysł od innych problemów.

Zrobiłam błąd, przyjąłam fałszywe założenie – dałam się podejść jak nowicjuszka. Z drugiej strony, wszyscy dali się nabrać – założyli, że ten sam *modus operandi* równa się ten sam morderca. Jednak teraz uważałam, że było inaczej. Teraz wydawało mi się, że jedyne sensowne wyjaśnienie jest takie, że Libby Glass, a potem również Sharon zginęły z ręki kogoś innego. Przejechałam przez Venture, Oxnard i Camarillo; w tym ostatnim mieście znajduje się stanowy zakład dla psychicznie chorych. Słyszałam, że wśród zamkniętych w zakładzie pacjentów skłonność do przemocy jest mniejsza niż w całym społeczeństwie. Wierzę w to. Czyn Gwen nie wzbudzał we mnie wielkiego zaskoczenia i odrazy. Mój umysł swobodnie dryfował się między przeszłością a przyszłością. Bardziej raziły mnie drobne oszustwa wszystkich Marcii Threadgill tego świata, gdzie stawka była o wiele mniejsza, a motywacji – poza zachłannością – właściwie żadnej. Zastanawiałam się, czy Marcia Threadgill stanie się dla mnie nowym miernikiem braku moralności, z którym będę porównywać inne grzeszki. Nienawiść – tę byłam w stanie zrozumieć, żądzę zemsty, pragnienie odpłacenia pięknym za nadobne. W końcu taki jest sens pojęcia „sprawiedliwość” – wyrównanie rachunków.

Wspięłam się na wielkie wzgórze i zjechałam prosto do Thousand Oaks. Ruch na drodze robił się coraz większy; po jednej stronie ulicy ciągnęły się szeregowce, potem ich miejsce zajęły tłoczące się jedno przy drugim centra handlowe. Nocne powietrze było wilgotne, cały czas miałam otwarte okna. Sięgnęłam na tylne siedzenie po walizkę i otworzyłam ją po omacku. Włożyłam mały automat do kieszeni kurtki, przy okazji znajdując tam plik papierów. Wyjęłam je, żeby zobaczyć, co to jest. Rachunki Sharon Napier. Wcisnęłam je do kieszeni wiatrówki, gdy pośpiesznie wychodziłam z jej domu i natychmiast o nich zapomniałam. Teraz rzuciłam je na siedzenie pasażera i spoj-

rzałam na zegarek w zimnym blasku świateł autostrady. Było dziesięć po dziesiątej – zostało mi jeszcze jakieś czterdzieści pięć minut jazdy, może więcej, jeśli na bocznych drogach będzie większy ruch. Myślałam o Charliem, zastanawiałam się, czy właśnie nie schrzaniłam idealnie zapowiadającego się związku. Nie wyglądał na faceta, który łatwo przebacza i puszcza w niepamięć, ale kto wie. Był o wiele bardziej skłonny do kompromisu niż ja, to na pewno. Myśli chaotycznie krążyły mi po głowie. Lyle wiedział, że wybieram się do Vegas. Nie miałam pewności, jaka była w tym wszystkim rola Sharon, ale zamierzałam się dowiedzieć. Nadal stawiałam na szantaż. Co do listu, to w dalszym ciągu nic z tego nie rozumiałam. Jak się dostał w ręce Libby? Czy w ogóle się dostał? Może Lyle i Sharon byli w zмовie. Może Lyle dostał ten list od niej? Może wcale nie próbował wykraść listu, tylko go *podrzucił*? Z pewnością utwierdzenie mnie w mniemaniu, że Libby miała romans z Laurence'em Fife'em działałoby na jego korzyść. Wiedział, że w drodze powrotnej zatrzymam się, aby zabrać pudła. Mógł wrócić do Los Angeles długo przede mną, bo przecież ja po drodze zostałam na noc w Claremont, żeby się zobaczyć z Diane. Może specjalnie tak to zaplanował, by pobudzić moją ciekawość co do zawartości pudeł Libby Glass? Mój umysł swobodnie podryfował w innym kierunku i uśmiechnęłam się blado na myśl o poruczniku Dolanie. Był tak pewny, że Nikki zabiła męża, taki zadowolony z siebie. Będę musiała do niego zadzwonić, kiedy wrócę do miasta. Znowu pomyślałam o Lyle'u. Nie zamierzałam się z nim spotkać tej nocy. Nie był tak bystry jak Gwen, ale mógł być niebezpieczny. *Jeżeli* to był on. Nie warto się śpieszyć z wyciąganiem wniosków.

Zameldowałam się w Hacjendzie pięć po jedenastej, poszłam prosto do pokoju numer dwa i położyłam się do łóżka. Tym razem na recepcji urzędowała matka Arlette. Dwa razy grubsza od córki.

Rano wzięłam prysznic i wskoczyłam we wczorajsze ciuchy, po czym powlokłam się do auta, żeby na pełnym różnych śmieci tylnym siedzeniu odszukać neseser. Wróciłam do pokoju, wyszorowałam zęby – co za ulga! – i niedbale przejechałam grzebieniem po włosach. Poszłam do knajpki na rogu ulic Wilshire i Bundy, gdzie zamówiłam jajecznicę, kiełbaski, bajgla na ciepło z serkiem kremowym, kawę

i świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy. Ktokolwiek wymyślił śniadanie, naprawdę dobrze się spisał.

Wróciłam do Hacjendy. W drzwiach prowadzących do biura czekała na mnie Arlette, gorączkowo wymachując w moją stronę masywnym ramieniem. Jej okrągła twarz była zaczerwieniona, złote loczki rozpierzchły się we wszystkie strony, a oczy zamieniły się w prawie niewidoczne szparki przygniecione ciężkimi policzkami. Zastanawiałam się, kiedy ostatni raz widziała własną szyję. Bywała ciężka w pożyciu, ale i tak ją lubiłam.

– Jest do ciebie telefon, jakaś kobieta, chyba coś się stało! Powiedziała jej, że cię nie ma, ale że cię znajdzie. Dzięki Bogu, że już jesteś! – terkotała bez tchu, ze świszczącym oddechem.

Ostatni raz widziałam Arlette tak podekscytowaną, kiedy odkryła, że w sklepach są rajstopy rozmiarze XXXL. Weszłam do jej biura. Depotała mi cały czas po piętach, czułam na plecach jej ciężki oddech. Podniosłam leżącą na blacie słuchawkę.

– Halo?

– Kinsey, tu Nikki.

Dlaczego ma taki przerażony głos, przemknęło mi przez myśl.

– Próbowałam się do ciebie dodzwonić wczoraj wieczór, Nikki – powiedziałam. – Co się dzieje? Wszystko w porządku?

– Gwen nie żyje.

– Rozmawiałam z nią wczoraj wieczorem – powiedziałam, jakby to mogło cokolwiek zmienić. Zabiła się. Gwen się zabiła. Niech to szlag, pomyślałam.

– To się stało dziś rano. Biegała po bulwarze Cabana Boulevard. Ktoś ją potrącił i uciekł z miejsca wypadku. Właśnie usłyszałam w wiadomościach.

– Nie chce mi się wierzyć. Jesteś pewna?

– Niestety, tak. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale telefonistka powiedziała mi, że wyjechałaś z miasta. Co robisz w L.A.?

– Muszę tu coś sprawdzić, ale powinnam wrócić dziś wieczór – powiedziałam, usiłując szybko zebrać myśli. – Posłuchaj, spróbujesz się dowiedzieć jakichś szczegółów?

– Mogę spróbować.

– Zadzwoń do porucznika Dolana z wydziału zabójstw. Powiedz mu, że ja prosiłam, byś go zapytała.

– Z wydziału zabójstw? – Była zaskoczona.

– Nikki, to *glina*. Będzie wiedział, co się dzieje. To mógł nie być wypadek, więc sprawdź, co Dolan ma do powiedzenia. Zadzwonię do ciebie, gdy tylko wrócę.

– Hm... Dobrze – zgodziła się w powątpiewaniem. – Zobaczę, co mogę zrobić.

– Dzięki. – Odwiesiłam słuchawkę.

– Czy ktoś nie żyje? – dopytywała się Arlette. – Ktoś znajomy?

Spojrzałam jej prosto w oczy, ale nic nie odpowiedziałam. Dlaczego Gwen? Co się działo?

Arlette wyszła za mną z biura i dreptała dalej w stronę pokoju.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? Potrzebujesz czegoś? Wyglądasz okropnie, Kinsey. Jesteś blada jak duch.

Zamknęłam za sobą drzwi. Przed oczami miałam Gwen w chwili, kiedy ją ostatni raz widziałam. Stała na ulicy z twarzą białą jak kreda. Czy to mógł być wypadek? Zbieg okoliczności? Sprawy posuwały się naprzód zbyt szybko. Kogoś ogarnęła panika, na domiar złego z przyczyn, których zupełnie nie ogarniałam.

Do głowy wpadła mi pewna myśl, ale jeszcze szybciej z niej wypadła. Zamarłam. Cofnęłam w głowie myśli jak klatki starego filmu. Kto wie. Możliwe. Wkrótce wszystko się wyjaśni. Niedługo wszystkie elementy układanki trafią na swoje miejsce.

Wrzuciłam rzeczy na tylne siedzenie samochodu. Nawet się nie wymeldowałam. Co tam, prześlę Arlette te cholerne dwanaście dolców.

Jazda do Valley minęła mi jak w amoku. Jechałam niczym automat, nie zwracałam uwagi ani na drogę, ani na słońce, ani na ruch drogowy, ani na smog. Dotarłam do domu w Sherman Oaks, gdzie Lyle kładł cegły. Zobaczyłam, że jego poobijany pickup stoi przed budynkiem. Nie miałam czasu do stracenia ani ochoty na kolejne gierki. Zamknęłam samochód i ruszyłam podjazdem w stronę budynku, który musiałam obejść, żeby się dostać na tyły. Zauważyłam Lyle'a, zanim on zauważył mnie. Był pochylony nad stertą cegieł. Sprane dzinsy, ro-



bocze buty, goły tors, papieros w kąciku ust.

– Lyle.

Odwrócił się. Stałam z wycelowanym prosto w niego pistoletem. Trzymałam go oburącz, stałam w rozkroku, nie żartowałam. Zamarł w miejscu, nie odezwał się ani słowem.

Było mi zimno i miałam ściśnięte gardło, ale pistolet w moich dłoniach nawet nie drgnął:

– Odpowiesz mi na kilka pytań i zrobisz to teraz – powiedziałam z naciskiem. Zauważyłam, że zerka na prawo. Leżał tam na ziemi młotek, jednak Lyle nie odważył się poruszyć.

– Ręce do góry! – rozkazałam, posuwając się powoli naprzód, aż znalazłam się między nim a młotkiem. Lyle zrobił, co mu kazałam. Jego bladoniebieskie oczy z powrotem skierowały się w moją stronę, a ręce powędrowały do góry.

– Nie chcę cię zastrzelić, Lyle, ale nie zawaham się tego zrobić.

Tym razem nie był nadąsany ani cwany, ani arogancki. Patrzył prosto w moje oczy, po raz pierwszy okazując mi jakieś oznaki szacunku.

– Ty tu rządzisz – bąknął.

– Nie próbuj być, kurwa, cwany – warknęłam. – Nie jestem w nastroju. A teraz siadaj na trawie. Tam. I nie waż mi się ani drgnąć!

Posłusznie podszedł do niewielkiego skrawka trawnika i usiadł, ani na moment nie spuszczać ze mnie wzroku. Było cicho, słyszałam, jak ptaszki wznoszą swoje głupie trele. Byliśmy sami, co bardzo mi pasowało. Trzymałam pistolet wycelowany prosto w jego klatkę piersiową i miałam nadzieję, że ręce nie zaczną mi się trząść. Słońce było tak oślepiająco jasne, że Lyle musiał zmrużyć oczy.

– Powiedz mi wszystko o Libby Glass – zażądałam.

– Nie zabiłem jej – odparł niespokojnie.

– Nie o to chodzi. Chcę wiedzieć, co się dokładnie stało. Chcę wiedzieć, co przede mną zataiłeś. Kiedy widziałeś ją po raz ostatni?

Zacisnął usta.

– MÓW!

Nie był tak opanowany ani tak inteligentny jak Gwen. Widok wymierzonego w niego pistoletu najwyraźniej przeważał szalę.

– W sobotę.

- W dzień jej śmierci, tak?
- Tak, ale nic jej nie zrobiłem. Poszedłem się z nią zobaczyć, ostro się pokłóciliśmy i była bardzo wzburzona.
- Dobra, dobra. Daruj sobie te ozdobniki. Co jeszcze?
- Milczał.
- Lyle – powiedziałam ostrzegawczo. Nagle jego twarz skurczyła się jak sakiewka, w której ktoś zaciągnął sznurek, i mężczyzna zaczął płakać. Podniósł ręce i żalosnym gestem zakrył twarz. Długo tłamsił to w sobie. Jeżeli się pomyliłam co do tego, myliłam się co do wszystkiego. Nie mogłam mu teraz odpuścić.
- Wyrzuć to z siebie – zażądałam głucho. – Muszę wiedzieć.
- Wydał z siebie odgłos, który brzmiał jak kaszel, ale ja wiedziałam, że to szloch. Równie dobrze mógł mieć dziewięć lat. Taki skulony i wąty, i mały.
- Tak, dałem jej tę *kapsułkę* – powiedział z udręką. – Poprosiła mnie o coś na uspokojenie, więc znalazłem opakowanie w apteczce i dałem jej. Boże, nawet podałem jej szklanekę wody! Tak bardzo ją kochałem.
- Atak powoli mijał, Lyle otarł łzy z twarzy brudną ręką, zostawiając na policzkach szare smugi. Objął ramionami kolana i żałośnie się kołysał do przodu i w tył, a po jego kościstych policzkach znowu spływały łzy.
- Mów dalej – powiedziałam.
- Wtedy ją zostawiłem i wyszedłem, ale źle się z tym czułem, więc później wróciłem. Znalazłem ją martwą na podłodze w łazience. Bałem się, że odkryją moje odciski palców i pomyślą, że coś jej zrobiłem, więc dokładnie wytarłem całe mieszkanie.
- A kiedy wychodziłeś, wzięłeś ze sobą lekarstwo na uspokojenie?
- Kiwnął głową, przyciskając palce do powiek, jak gdyby chciał wcisnąć łzy z powrotem do oczu:
- Kiedy wróciłem do domu, wrzuciłem je do toalety i spuściłem wodę. Buteleczkę stłukłem i wyrzuciłem.
- Skąd wiedziałeś, że to lekarstwo ją zabiło?
- Nie wiem. Po prostu wiedziałem. Przypomniałem sobie tego face-ta, tego z północy, który zginął właśnie w ten sposób. Gdyby nie ja,

może wcale by nie wzięła tej cholernej kapsułki, ale kłóciliśmy się i wrzeszczeliśmy na siebie, i tak się zdenerwowała, że cała się trzęsła. Nawet nie wiedziałem, że ma leki uspokajające, dopóki mnie nie poprosiła, bym jej podał kapsułkę. Nie widziałem w tym nic złego. Wróciłem, żeby ją przeprosić.

Wyglądało na to, że najgorsze ma już za sobą. Głęboko westchnął, a głos miał znowu prawie normalny.

– Co jeszcze?

– Nie wiem. Telefon był wyłączony. Włączyłem go z powrotem i też wyczyściłem – powiedział drewnianym głosem. – Nie chciałem zrobić nic złego. Po prostu próbowałem się chronić. Nie otrujęm jej. Przysięgam na Boga, nigdy bym jej tego nie zrobił. Nie miałem nic wspólnego ani z tym, ani z niczym innym. Tylko wytarłem ślady w mieszkaniu, na wypadek gdyby zostały tam moje odciski palców. Nie chciałem, żeby jakieś ślady wskazywały na mnie. No i wziąłem ze sobą buteleczkę, w której były kapsułki. Zrobiłem to.

– Ale nie włamałeś się do piwnicy Grace? – zapytałam.

Potrząsnął głową.

Opuściłam pistolet. Już prawie wiedziałam, ale potrzebowałam zdobyć całkowitą pewność.

– Doniesiesz na mnie?

– Nie. Nie na ciebie.

Wróciłam do samochodu i przez chwilę tam siedziałam z pustką w głowie. Myśli irracjonalnie błądziły wokół pytania, czy naprawdę użyłabym pistoletu. Wydawało mi się, że nie. Twarda. Jestem twarda, gdy trzeba wystraszyć na śmierć jakiegoś zaćpanego dzieciaka. Potrząsnęłam głową. Teraz to ja miałam w oczach łzy. Odpaliłam samochód, wrzuciłam bieg i skierowałam się z powrotem przez wzgórze w stronę zachodniego L.A. Jeszcze tylko jeden przystanek i mogłam wracać do Santa Teresa, by ostatecznie wyjaśnić tę sprawę. Wydawało mi się, że już wiem, kto to zrobił.

## 26

W jednej z lustrzanych ścian w recepcji Haycraft i McNiece mignęło mi własne odbicie. Wyglądałam, jakbym naprawdę była gotowa na ostatnią rundę: brudna, rozczochrana, z zaciśniętymi ustami. Nawet Allison w swojej koszuli z koźlej skórki z frędzlami przy rękawach wydawała się zaniepokojona na mój widok, a jej wyuczony uśmiech rasowej recepcjonistki gwałtownie opadł z sześćdziesięciu do dwudziestu pięciu watów.

– Muszę porozmawiać z Garrym Steinbergiem – odezwałam się tonem, który jasno dawał do zrozumienia, że nie mam dziś nastroju na główniane ściemy.

– Jest w swoim gabinecie – powiedziała potulnie. – Trafi pani?

Skinęłam głową i popchnęłam wahadłowe drzwi. Od razu zauważyłam Garry’ego, szedł wąskim korytarzem w kierunku swojego gabinetu, uderzając miarowo o udo plikiem nieotwartej korespondencji.

– Garry?

Odwrócił się, jego twarz najpierw się rozjaśniła na mój widok, a następnie przybrała niepewny wyraz.

– Skąd się tu wzięłaś? Marnie wyglądasz.

– Przyjechałam wczoraj w nocy. Możemy porozmawiać?

– Jasne. Wejdz do środka.

Skręcił w lewo do swojego biura, po czym zgarnął stos dokumentów z krzesła stojącego za biurkiem:

– Napijesz się kawy? Może coś zjesz?

Rzucił listy na szafkę.

– Nie, dziękuję. Mam pewne podejrzenie i chciałabym to sprawdzić.

– Strzelaj – rzekł, siadając.

– Czy nie powiedziałaś mi jakiś czas temu...

– W tamtym tygodniu – uściślił.

– Taa... Pewnie tak. Wspomniałeś, że księgi rachunkowe Fife'a były przenoszone do systemu komputerowego.

– Tak, przechodziliśmy na nowy system. O wiele łatwiej nam się teraz pracuje, a i klienci na tym zyskali. Szczególnie w okresie rozliczeń podatkowych.

– A co, jeśli dane były sfałszowane?

– Masz na myśli defraudację?

– Krótko mówiąc, tak – odparłam. – Czy nie wyszłoby to szybko na jaw?

– Bez dwóch zdań. Myślisz, że Fife okradał własną kancelarię?

– Nie – powiedziałam powoli. – Myślę, że robił to Charlie Scorsoni. Między innymi o to chciałam zapytać. Czy mógł podkraść pieniądze klientów, których wówczas reprezentował?

– No, pewnie. Jest to wykonalne i nawet nie takie trudne – rzekł Garry z pewnym uznaniem. – Za to może być cholernie trudne do wykrycia. Wszystko zależy od tego, jak to robił. – Zastanawiał się przez chwilę, najwyraźniej przekonując się do tej myśli. Wreszcie wzruszył ramionami: – Na przykład mógł otworzyć specjalne konto albo rachunek depozytowy dla wszystkich funduszy, którymi zarządzał – w ramach jednego wspólnego konta mógł założyć dwa albo trzy fałszywe. Przychodzi duży czek z dywidendy, a on kieruje procenty z czeku nie na konto klienta, ale na swój fałszywy rachunek.

– Czy Libby mogła się zorientować, że coś jest nie tak?

– Mogła. Miała głowę do takich rzeczy. Najpierw musiałyby to sprawdzić w rejestrze dywidend, gdzie są podane wysokości dywidend w spółkach. Jeśli natknęłyby się na jakieś rozbieżności, mogłyby poprosić o rejestry i dokumentację: wyciągi z kont bankowych, anulowane чеки, tego rodzaju rzeczy.

– Taa... W ubiegłym tygodniu Lyle mi powiedział, że w tamtym okresie telefony się u niej urywały oraz że jakiś prawnik przyjeżdżał na kolację. Wreszcie przyszło mi do głowy, że Charlie mógł celowo wdać się z nią w romans, bo miał nadzieję, że wtedy dziewczyna będzie go kryć...

– Może nawet zaoferował jej dołę – podpowiedział Garry.

– Myślisz, że by na to poszła?

Garry wzruszył ramionami.

– Kto wie? Pytanie, czy o n by to zrobił?

Przez chwilę wpatrywałam się w blat jego biurka:

– Tak, myślę, że tak – przyznałam. – Wszyscy powtarzali, że miała romans z jakimś prawnikiem z Santa Teresa, więc łatwo było założyć, że to Fife, bo oboje zginęli w tym samym czasie. Jeśli jednak mam rację co do tej defraudacji, to potrzebuję dowodu. Czy nadal masz te dokumenty u siebie?

– Tak. Mam je tutaj, na miejscu. Zamierzałem je przejrzeć w czasie przerwy na lunch, ale w rozpisce miałem tylko biały ser, co trudno raczej nazwać prawdziwym jedzeniem, więc w ogóle zrezygnowałem. Mam te papiery od wczoraj, tyle że jestem zawałony robotą i nie mogłem ich przejrzeć. Teraz, kiedy o tym wspomniałaś, przypomniało mi się, iż Libby właśnie na nimi pracowała, kiedy zginęła. Gliny znalazły tę teczkę u niej w domu – powiedział i spojrzał na mnie z zaciekawieniem. – Jak się zorientowałaś, że to on?

Potrząsnęłam głową.

– Sama nie wiem. Po prostu przyszło mi to do głowy i nagle wszystko zaczęło do siebie pasować. Charlie mi powiedział, że Fife mniej więcej tydzień przed śmiercią wybrał się do Los Angeles, ale nie sądzę, by to była prawda. Myślę, że to Charlie tam się wybrał i że było to jakieś kilka dni po śmierci Laurence’a. Libby miała buteleczkę ze środkami uspakajającymi, i myślę, że Charlie zatrzał kilka z nich – kto wie, może nawet wszystkie. Nigdy się tego nie dowiemy.

– Jezu. Fife’a też zabił?

Potrząsnęłam głową:

– Nie. Wiem już, kto zabił Fife’a. Przypuszczam, że Charlie uznał, iż to dobra okazja do wywinicie się z trudnej sytuacji. Może Libby nie chciała grać w jego gierki, a może nawet ostrzegła go, że nie zatrzyma tych informacji dla siebie. Oczywiście, nie mam na to żadnych dowodów.

– Hej, dowody się znajdują – powiedział uspokajająco. – Jeżeli w tych papierach coś jest, znajdę to. Zabieram się do nich dziś po południu.

– Dobrze – powiedziałam. – Dziękuję.

– Uważaj na siebie.  
Uścisnęliśmy sobie dłonie nad biurkiem.

W drodze do Santa Teresa starałam się nie myśleć o Gwen. Myślenie o Charliem Scorsonim było dostatecznie dobijające. Będę musiała sprawdzić, gdzie był do czasu, gdy zginęła Sharon. Przecież z łatwością mógł się wymeldować z hotelu w Denver i od razu wsiąść w samolotu do Las Vegas. Wiedział, gdzie jestem, od telefonistki z serwisu telefonicznego. Odnalazł mój motel, a następnie pojechał za mną do kasyna Fremont. Pomyślałam o Sharon – ten moment w kawiarni, kiedy wydawało mi się, że dostrzegła kogoś znajomego. Według niej to szef dawał jej znać, że już koniec przerwy, ale teraz byłam pewna, iż kłamała. Pewnie Charlie pojawił się wtedy na chwilę, jednak na mój widok się wycofał. Może myślała, że przyjechał, by jej zapłacić za milczenie. Byłam prawie pewna, że przez te osiem lat szantażowała go, ale trzeba to było jeszcze sprawdzić. Sharon musiała wiedzieć, iż Fife nigdy nie miał romansu z Libby Glass. To Charlie jeździł do Los Angeles, by omawiać finanse firmy. Sharon w czasie procesu trzymała buzię na kłódkę. Spokojnie słuchała, jak Charlie opowiada swoje bajeczki, i cierpliwie czekała na moment, kiedy będzie mogła zażądać odpowiedniej ceny za posiadane informacje. Całkiem możliwe, że Charlie Scorsoni nie wiedział, gdzie zniknęła Sharon, a ja go zaprowadziłam prosto pod jej drzwi. Śledziłam w myślach prawdopodobny ciąg wydarzeń ze świadomością, że w dużej mierze są to moje domysły. Jednak czułam, że zmierzam we właściwym kierunku. Teraz pozostawało mi znaleźć dowody.

Jeśli to Charlie potracił Gwen autem, były sposoby na powiązanie go z wypadkiem – włosy i włókna na błotniku jego samochodu, który zresztą prawdopodobnie został wgnieciony; odpryski lakieru i drobinki szkła na ubraniu Gwen. Może nawet znalazłby się jakiś naoczny świadek. Byłoby o wiele mądrzej ze strony Charliego, gdyby nic nie robił – po prostu przyczał się i siedział cicho. Prawdopodobnie po tylu latach zebranie wyczerpującego materiału dowodowego przeciwko niemu nie byłoby możliwe. Jednak w jego postępowaniu była arogancja, dawał do zrozumienia, że zbyt bystry i przebiegły z niego fa-

cet, by dać się złapać. Ale prawda jest taka, że nikt nie jest aż tak dobry. Szczególnie biorąc pod uwagę tempo, w jakim Charlie ostatnio działał. Musiał popełnić jakiś błąd.

Dlaczego po prostu nie przyznał się do defraudacji? Nie cofnął się przed niczym, byle tylko zachować twarz przed Laurence'em Fife'em. Przecież nawet jeśli wszystko wyszłoby na jaw, nawet gdyby został przyłapany, Laurence by go nie wydał, w to nigdy nie uwierzę. Fakt, że choć w życiu prywatnym pozbawiony był wszelkich skrupułów, w sprawach zawodowych zachowywał bezwzględną uczciwość. Jednakże Charlie był jego najlepszym przyjacielem, razem przebyli długą drogę. Mógł przestrzec Charliego, wyciągnąć wobec niego konsekwencje finansowe, a może nawet rozwiązać spółkę. Ale i w takim przypadku nie sądziłam, by Charlie poszedł do więzienia albo został pozbawiony praw wykonywania zawodu. Prawdopodobnie jego życie nie ległoby w gruzach i nie straciłby tego wszystkiego, na co tak ciężko pracował. Mógłby stracić dobrą opinię i zaufanie Laurence'a Fife'a, ale przecież musiał się z tym liczyć, kiedy postanowił zanurzyć rękę w słoiku pełnym zakazanych ciastek. Absurd polegał na tym, że w dzisiejszych czasach człowiek popełniający przestępstwo białych kołnierzyków może zostać gwiazdą, bohaterem. Jest zapraszany do *talk show* i zarabia krocie na napisaniu autobiografii. Więc po co mu to było? Społeczeństwo wybaczy prawie wszystko, z wyjątkiem zabójstwa. Trudno je zrozumieć, trudno je usprawiedliwić. Wcześniej Charlie miał szansę wyjść tego bez większego szwanku, choć z nieco nadszarpniętą reputacją, ale teraz był w poważnych tarapatach, a sytuacja z minuty na minutę się pogarszała.

O naszym romansie nawet nie chciało mi się myśleć. Zrobił ze mnie idiotkę, podobnie jak z Libby Glass. Tyle że ona na swoje usprawiedliwienie miała młodość i brak doświadczenia. Tak dużo czasu minęło, odkąd mi na kimś naprawdę zależało, odkąd ostatni raz podjęłam ryzyko – a już wiedziałam, że dałam z siebie dużo. Teraz musiałam emocjonalnie zatrzaskać za sobą pewne drzwi i ruszyć do przodu, jednak nie czułam się z tym dobrze.

W Santa Teresa udałam się prosto do biura, zabierając ze sobą zwi-



tek rachunków z mieszkania Sharon Napier. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że mogę tam znaleźć coś ważnego. Przeglądałam je z dziwną ciekawością, w której było coś niemal makabrycznego. Sharon nie żyła i wydawało mi się w pewien sposób nieprzyzwoite dowiadywać się, że kupiła bieliznę, za którą nie zdążyła zapłacić, kosmetyki, buty. Z rachunkami była miesiąc do tyłu, dostała już upomnienia od kilku małych firm, między innymi od człowieka, który jej pomagał w wypełnianiu formularzy podatkowych, i kręgarza. Znalazłam również ofertę odnowienia karty członkowskiej w spa. Visa i Mastercard wysłały jej ostre upomnienia, a American Express prosił o natychmiastowy zwrot karty. Jednak tak naprawdę zainteresował mnie jej rachunek telefoniczny. Po numerze kierunkowym zorientowałam się, że w marcu wykonała trzy telefony do Santa Teresa. Nie wiele, ale sam fakt wydawał się znaczący. Dwa z nich były do kancelarii Charliego Scorsoniego – oba wykonano w tym samym dniu, w odległości dziesięciu minut. Trzeciego numeru nie znałam, ale kierunkowy jasno wskazywał na Santa Teresa. Pomogła międzystanowa książka telefoniczna – był to numer do domu na plaży Johna Powersa.

Nie pozwoliłam sobie nawet na chwilę wahania, od razu wykręciłam numer do Ruth. Na pewno Charlie nie powiedział jej, że z nim zerwałam. Nie był typem, który by się zwierzał komukolwiek ze spraw osobistych. Jeżeli go zastanę, będę musiała coś naprędce wymyślić, jeszcze nie miałam pojęcia, co. Tak naprawdę chciałam porozmawiać z Ruth.

– Scorsoni i Powers – powiedziała śpiewnym głosem.

– Och, witaj, Ruth. Mówi Kinsey Millhone – odezwałam się, a żołądek podszedł mi do gardła. – Zastałam Charliego?

– Och, witaj, Kinsey. Nie, nie ma go w tej chwili – odparła z lekkim współczuciem. – Ma sprawę w sądzie w Santa Maria, będzie tam przez dwa dni.

Bogu dzięki, pomyślałam i wzięłam głęboki wdech.

– Hm... Może w takim razie ty mi będziesz mogła pomóc – powiedziałam. – Właśnie przeglądałam rachunki jednej z moich klientek i wydaje mi się, że korzystała z usług waszej kancelarii. Może ją pamiętasz, dzwoniła do Charliego parę razy, jakieś sześć, osiem tygo-

dni temu? Nazywa się Sharon Napier, jest spoza stanu.

– A, to ta, która kiedyś dla niego pracowała. Tak, pamiętam. Czego chciałabyś się dowiedzieć?

– Chodzi o to, że nie bardzo mogę się zorientować, czy udało jej się z nim porozmawiać. Wygląda na to, że dzwoniła w piątek dwudziestego pierwszego marca. Pamiętasz może ten dzień?

– Och, oczywiście, że tak – odrzekła jak zawsze kompetentna Ruth.  
– Chciała rozmawiać z panem Scorsonim, ale akurat był w domu pana Powersa. Nalegała, abym jej podała numer, ale wydawało mi się, że nie powinnam tego robić bez zgody pana Scorsoniego. Poprosiłam, by zadzwoniła za chwilę. W międzyczasie się z nim skontaktowałam i powiedział, że mogę podać numer. Mam nadzieję, że wszystko jest w porządku? Chyba nie wynajęła cię, żebyś znalazła coś przeciwko niemu?

Roześmiałam się.

– Boże świąty, Ruth, czy zrobiłabym mu coś takiego? Po prostu zobaczyłam w jej bilingu numer do Johna Powersa i pomyślałam, że to z nim rozmawiała.

– Och, nie. W ten weekend nie było go w mieście. Zwykle około dwudziestego pierwszego wyjeżdża na parę dni. Mam to wszystko tutaj przed sobą, w kalendarzu. Pan Scorsoni zajmował się jego psami.

– No tak, to by wszystko wyjaśniało – rzuciłam swobodnie. – Bardzo mi pomogłaś! Muszę sprawdzić jeszcze tylko jedną rzecz. Chodzi o jego wyjazd do Tucson.

– Tucson? – zapytała. W jej głosie pojawiła się podejrzliwość. Mówiła teraz obronnym tonem, typowym dla sekretarek, którym wydaje się, że ktoś próbuje wydobyć z nich informację, jakiej nie powinny udzielić. – Kinsey, o co właściwie chodzi? Może mogłabym bardziej pomóc, gdybym rozumiała, co to wszystko ma wspólnego z twoją klientką. Pan Scorsoni jest bardzo zasadniczy w takich sprawach.

– Och, nie, tym razem chodzi o coś zupełnie innego. Zresztą nie rób sobie kłopotu, sama mogę to sprawdzić. Po prostu poczekam, aż Charlie wróci i wtedy do niego zadzwonię.

– Jeśli chcesz, mogę ci podać numer do jego motelu w Santa Maria

– zaproponowała. Próbowwała rozegrać to dyplomatycznie: zaoferować mi pomoc, jeśli okazałoby się, że moje pytania są najzupełniej niewinne, a jednocześnie nie zaszkodzić Charliemu, gdybym jednak miała wobec niego jakieś nieczne plany; a w obu przypadkach zrzucić całą odpowiedzialność na niego. Jak na starszą panią, była całkiem sprytna.

Posłusznie zanotowałam numer. Wiedziałam, że nigdy go nie wykrećę, ale byłam rada, iż mam na niego jakieś namiary. Chciałam jej powiedzieć, by nie wspominała szefowi, że dzwoniłam, ale nie wiedziałam, czym bym to mogła umotywić, nie odkrywając swoich kart. Pozostawało mi mieć nadzieję, że Charlie szybko się z nią nie skontaktuje. Jeśli Ruth mu powie, o co pytałam, Charlie natychmiast się zorientuje, że jestem na jego tropie. I wcale mu się to nie spodoba.

Zadzwoiłam do Dolana z wydziału zabójstw. Nie było go, ale zostawiłam mu wiadomość z adnotacją „Ważne!”, żeby do mnie zatelefonował, kiedy wróci. Następnie wykreściłam numer do domu na plaży Nikki. Odebrała po trzecim sygnale.

– Cześć, Nikki, to ja – przywitałam się. – Jak się miewacie?

– Och, dziękuję. U nas wszystko w porządku. Ciągle jeszcze nie do końca otrząsnęłam się z szoku po śmierci Gwen. Nie wiem, co mam robić. Nawet jej nie znałam, a tak bardzo mi jej żal.

– Czy wyciągnęłaś jakieś szczegóły od Dolana? Właśnie próbowałam do niego zadzwonić, ale nie ma go w biurze.

– Niewiele – przyznała. – Był okropnie niegrzeczny. Już wyleciało mi z pamięci, że jest aż tak niemiły. Nie chciał mi wiele powiedzieć poza tym, że samochód, który potracił Gwen, był czarny.

– Czarny? – powtórzyłam z niedowierzaniem. Przed oczami miałam bladobłękitnego mercedesa Charliego. Byłam pewna, że dowiem się czegoś, co potwierdzi moje przypuszczenia. – Jesteś pewna?

– Tak powiedział. Wspomniał też, że policjanci sprawdzają warsztaty samochodowe i blacharzy, ale jeszcze nie wpadli na żaden trop.

– To dziwne – zauważyłam.

– Wpadniesz na drinka? Chciałabym usłyszeć, co się dzieje.

– Może później. Próbuję wyjaśnić kilka spraw. Powiem ci, jakich informacji potrzebuję, może mi pomożesz. Pamiętasz ten list Lauren-

ce'a, który ci pokazałam...

– Jasne, do Libby Glass – weszła mi w słowo.

– Taaa... Teraz jestem prawie pewna, że został napisany do Elizabeth Napier.

– Do kogo?

– Wytłumaczę ci później. Podejrzewam, że to z nią się związał, kiedy był mężem Gwen. To matka Sharon Napier.

– Och, ten *skandal* – zaskoczyła. – Jasne, mogło tak być. Nigdy mi o tym wiele nie mówił. Paskudna sprawa. Wiem o tej historii od Charlotte Mercer, tylko nie byłam pewna, jak ta kobieta miała na nazwisko. Boże, to musiało być jeszcze w Denver, zaraz po tym, jak skończył studia.

Zawahałam się.

– Przychodzi ci do głowy jeszcze ktoś, kto mógł wiedzieć o tym liście? Kto mógł mieć do niego dostęp? Na przykład Gwen?

– Chyba tak... – odpowiedziała. – A na pewno Charlie. Pracował wtedy jako asystent prawny w firmie reprezentującej męża w czasie rozwodu. Z tego, co słyszałam, buchnął ten list.

– Co zrobił?

– Ukradł go. Och, jestem pewna, że to ten list. Nie mówiłam ci, jak to się skończyło? Charlie podwędził list, zatarł wszystkie ślady i właśnie dlatego skończyło się na ugodzie pozasądowej. Kobieta nie wyszła na tym najlepiej, ale przynajmniej Laurence nie ucierpiał.

– A co się stało z listem? Czy Charlie mógł go zatrzymać?

– Nie wiem. Myślałam, że został zniszczony, ale mógł zostać u Charliego. Nikt go nie przyłapał na gorącym uczynku i nie sądzę, by adwokat męża kiedykolwiek dowiedział się, kto za tym stał. Wiesz, w biurach czasem giną różne rzeczy. Pewnie skończyło się na wylaniu jakiejś sekretarki.

– Czy Gwen mogłaby poświadczyć, że tak się stało?

– A co to ja niby jestem, biuro prokuratora okręgowego? – powiedziała ze śmiechem. – Skąd mam wiedzieć, co wiedziała Gwen?

– Cokolwiek to było, już nam tego nie powie – zauważyłam niewesoło.

– Och – westchnęła ciężko. Wiedziałam, że już się nie uśmiecha. –

Nie podchodziłam do tego w ten sposób. Okropna myśl!

– Opowiem ci wszystko, kiedy się zobaczymy. Zanim się do ciebie wybiorę, zadzwonię, żeby sprawdzić, czy jesteś w domu.

– Nigdzie się nie wybieramy. Rozumiem, że śledztwo posuwa się naprzód.

– Błyskawicznie – powiedziałam.

Pożegnałyśmy się. Ona była zaintrygowana, a ja – lakoniczna.

Wyjęłam maszynę do pisania i przelałam wszystko, co wiedziałam, na papier, tworząc długi i szczegółowy raport. Kolejny element układanki trafił na swoje miejsce. Za nocnym włamaniem do piwnicy stał nie Lyle, ale Charlie. To on podłożył list między rzeczy należące do Libby, w nadziei że go znajdę i że doda on wiarygodności rozsiewanej przez Charliego plotce o romansie Laurence'a Fife'a z Libby Glass. Co prawdopodobnie wyjaśniało również sprawę klucza do jej mieszkania odnalezionego w gabinecie Laurence'a. Charlie mógł go tam bez żadnego problemu podłożyć. Pisałam i pisałam, byłam wykończona, ale zdecydowana spisać wszystko, co ustaliłam. Gdzieś z tyłu głowy miałam świadomość, że to moje zabezpieczenie, moja polisa ubezpieczeniowa. Tak naprawdę nie byłam pewna, jakiej ochrony potrzebuję. Może żadnej. Może jestem bezpieczna, powiedziałam do siebie. Jak się miało wkrótce okazać, bardzo się myliłam.

Skończyłam raport, wrzuciłam do szuflady biurka i zamknęłam ją na klucz. Wyszłam na parking i wsiadłam do samochodu. Zmierzałam na północ, w kierunku domu Charliego na Missile Avenue. Trochę dalej stał dom z nieznanymi mi powodów nazwany „Spokojem”. Zostałam pod nim samochód i podeszłam pod dom Charliego. Był to jednopiętrowy budynek z żółtą fasadą, o pokrytym ciemnym gontem dachu, z oknem wykuszowym od frontu i długim, wąskim podjazdem z lewej. Ten rodzaj domu, który śmiało mógłby się pojawić w tle telewizyjnego programu rodzinnego nadawanego o ósmej wieczór – wszystko w nim wyglądało na standardowe, dopracowane i odpowiednie dla dzieci. Na podjeździe nie było jego auta. Wyglądało na to, że właściciela nie ma w domu. Gdy znalazłam się obok podjazdu, zwolniłam kroku. Szłam w stronę garażu, ostrożnie zerkając przez ramię. Na szczęście w pobliżu nie było wtykających nos w nie swoje sprawy sąsiadów. Obeszłam garaż z boku i złożyłam dłonie w kształt kubka, żeby przez szybę zajrzeć do środka. Był pusty – drewniany stół stolarski pod tylną ścianą, stare meble ogrodowe, kurz. Rozejrzałam się dookoła, ostro główkując, do kogo należało czarne auto, i dlaczego gliny jeszcze nie wpadły na trop. Jeśli chociaż tę białą plamę potrafiłabym wypełnić, byłby to dobry punkt wyjścia do rozmowy z Conem Dolanem. I tak zamierzałam się z nim skontaktować, ale wolałabym mieć dla niego jakąś konkretną informację.

Wróciłam do samochodu i chwilę w nim siedziałam, moje ulubione ostatnio zajęcie. Zapadał zmrok. Spojrzałam na zegarek. Była za piętnaście siódma, nie przypuszczałam, że jest już tak późno. Rozpaczliwie potrzebowałam kieliszka wina, więc postanowiłam odwiedzić Nikki. Powiedziała, że będzie w domu. Wbrew przepisom ruchu drogowego zawróciłam i pojechałam w dół Missile Avenue w stronę autostrady, na północ. Z autostrady zjechałam przy La Cuesta i skierowałam się w stronę plaży położonej przy Horton Ravine. Horton Ravi-

ne to ogromny, ciągnący się kilometrami obszar, znany jako „luksusowa zabudowa mieszkaniowa”. Kiedyś należał do jednej rodziny, ale teraz został podzielony na parcele o wartości milion dolarów każda, na których chętnie stawiają swoje rezydencje nowobogaccy. W Santa Teresa dzielnica Montobello jest uważana za „stare” pieniądze, a Horton Ravine za „nowe” – ale tak naprawdę nikt nie bierze tego rozróżnienia na serio. Pieniądz to pieniądz, wszyscy wiemy, co to oznacza. Drogi wiodące przez Horton Ravine są wąskie i kręte, na poboczach rosną drzewa. Jedyna różnica, jaką dostrzegam między tymi dzielnicami, to że tutaj niektóre domy są widoczne z drogi, podczas gdy w Montobello – nie. Wjechałam na Ocean Way i skręciłam w lewo. Droga biegła tutaj równoległe do urwiska, a na wąskim pasku ziemi pomiędzy drogą a klifami pobudowanych zostało wiele eleganckich rezydencji.

Minęłam dom Johna Powersa. Prawie bym go przeoczyła, bo jeden jedyny raz, kiedy tu byłam, przyjechałam z drugiej strony. Mignął mi jego dach, znajdujący się prawie na tym samym poziomie, co droga. Nagle wpadł mi do głowy pewien pomysł. Gwałtownie nacisnęłam na hamulec i zjechałam na pobocze. Przez chwilę siedziałam bez ruchu, a serce waliło mi jak szalone. Przekręciłam kluczyk w stacyjce i zatknęłam za pasek dżinsów swój mały automat. Wzięłam też latarkę ze schowka. Spróbowałam, czy działa, światło było jasne. Na tym odcinku drogi stało zaledwie kilka latarni, na dodatek pełniły one funkcję raczej dekoracyjną. Ich światło było stłumione i mętne jak na litografii, a blade kręgi wokół nich nie miały szans przeciwstawić się wszechogarniającej ciemności. Wyszłam z samochodu i starannie zamknęłam drzwi.

Wzdłuż drogi nie było chodnika, po bokach tylko wiły się splecione pnącza bluszczu. Domy stały w dużej odległości od siebie, pomiędzy nimi rosły zagajniki, o tej godzinie rozbrzmiewające cykaniem świerszczy i innych muzykujących nocą owadów. Ruszyłam w stronę domu Powersa. Naprzeciwko był teren niezabudowany. Drogą nie przejeżdżał ani jeden samochód. Przystanęłam. W żadnym oknie nie było jasno. Skierowałam się w kierunku podjazdu, świecąc sobie latarką. Zastanawiałam się, czy Powers nadal przebywał poza miastem,

a jeśli tak, to gdzie teraz były psy. Charlie nie zostawiłby ich bez opieki, gdyby miał zamiar spędzić w Santa Maria dwa dni.

Noc była spokojna, fale oceanu miarowo rozbijały się o brzeg, wydając odgłos podobny do grzmotu nadciągającej burzy. Na zamglo-nym nocnym niebie blado odznaczał się cieniutki rożek księżyca. Było chłodno, a w powietrzu unosił się zapach wybujałej roślinności i wilgoci. Wąski snop światła z latarki przeciął podjazd i padł prosto na białą bramkę prowadzącą do wiaty, pod którą stał samochód Johna Powersa. Był zaparkowany tyłem. Nawet z miejsca, w którym stałam, wyraźnie dostrzegłam, że jest czarny. Wcale mnie to nie zaskoczyło. Należąca do białego ogrodzenia bramka była zamknięta na kłódkę, więc poszłam w lewo, okrążając wiatę z boku, poruszając się w stronę frontu domu. Skierowałam latarkę prosto na auto. Był to lincoln. Nie wiedziałam dokładnie, który rocznik, ale z pewnością nie stary. Sprawdziłam lewy błotnik. Cały. Nagle ogarnął mnie strach, serce zaczęło mi głucho walić. Błotnik po prawej był wgnieciony, reflektor rozbity, metalowa felga zdeformowana i przesunięta, a zderzak lekko wgnieciony. Staralam się nie myśleć, co się stało z ciałem Gwen w momencie uderzenia. Łatwo było się domyślić, jak to musiało wyglądać.

Wtem usłyszałam nagły pisk hamulców na drodze powyżej, a potem wycie cofającego się z dużą prędkością samochodu. Auto wjechało na podjazd i na podwórku momentalnie zrobiło się jasno od świateł reflektorów. Odruchowo przykucnęłam, szybko wyłączając latarkę. Jeśli to Charlie, już nie żyje. Mignęło mi coś niebieskiego. O cholera! Zadzwoił do Ruth. Wrócił. Wiedział. Reflektory mercedesa były skierowane prosto na podjazd, gdyby nie samochód Powersa, znajdowałabym się całkowicie na widoku. Usłyszałam, jak trzaskają drzwi samochodu. Nie miałam na co czekać – pobiegłam.

Śmignęłam przed podwórko, ledwo muskając palcami źdźbła nierówno przyciętej trawy. Za mną podążały psy, prawie bezgłośnie sadyły długie susy. Rzuciłam się w dół wąskimi, drewnianymi schodami prowadzącymi na plażę. Nagłe światło reflektorów zupełnie mnie oślepiło, miałam teraz przed oczami nieprzeniknioną ciemność. Nie trafiłam w stopień i po części ześlizgnęłam się, po części spadłam



na kolejny, rozpaczliwie próbując złapać równowagę. Tymczasem za ledwie kilka metrów nade mną czarny pies dotarł do schodów i, głośno sapiąc, zaczął zbiegać w dół. Słyszałam, jak twarde pazury skrobią drewniane schody. Odwróciłam głowę i spojrzałam do góry. Czarny był tuż nad moją głową. Nawet się nad tym nie zastanawiając, sięgnęłam do tyłu, chwyciłam jedną z jego długich, kościstych przednich łap i gwałtownie szarpnęłam. Pies wydał z siebie zaskoczony skowyt, a ja go jeszcze pchnęłam, tak że prawie zleciał w dół stromym, kamienistym zboczem. Drugi pies żałośnie wył. Czterdziestopięciokilogramowy tchórz, strachliwie próbujący zejść po schodach.

Prawie straciłam równowagę, ale udało mi się ją odzyskać, grudki ziemi poleciały w dół, prosto w nieprzeniknioną ciemność. Słyszałam, jak czarny pies szamota się nad przepaścią. Najwyraźniej nie miał pomysłu na wybrnięcie z impasu, więc tylko niespokojnie miotał się tam i z powrotem. Ostatni odcinek schodów pokonałam, nie tyle schodząc, co zjeżdżając na boku, na szczęście wylądowałam na miękkim piasku. Pistolet wypadł mi z ręki, rozpaczliwie macałam wokół, aż wreszcie go znalazłam i z ulgą zacisnęłam palce na rękojeści. Latarkę już dawno zgubiłam. Nawet nie wiedziałam kiedy. Czarny pies znowu się do mnie zbliżał wielkimi susami. Poczekiałam, aż znalazł się przy mnie i wtedy podniosłam nogę, żeby wymierzyć mu solidnego kopniaka, jednocześnie uderzając go z całej siły kolbą pistoletu w łeb. Zaskowyczał. Pewnie nigdy nie uczono go, jak skutecznie zaatakować człowieka. Miałam nad nim przewagę, bo ja wiedziałam, że on jest niebezpieczny, a do niego dopiero zaczynało docierać, z jak zdradliwym przeciwnikiem przyszło mu się zmierzyć. Wycofał się, nie przestając szczekać.

Nie miałam czasu do stracenia. Wzdłuż plaży na północ kilometrami ciągnęły się strome klify. Światelkiem w tunelu była plaża Harley's Beach, która jednak była zbyt odludna, żebym miała szansę uzyskać tam jakąś pomoc. Na ścieżce wiodącej na północ warował pies. Z kolei plaża na prawo prowadziła prosto do miasta i nie mogło to być dalej niż kilka kilometrów. Zaczęłam się cofać. Im dalej od psa, tym lepiej. Stał tam z pochylonym łbem, szczekając jak opętany. Ocean obmywał mi buty i zaczęłam podnosić stopy – z trudem brnęłam tyłem,

starając się nie poddać uderzającym we mnie falom. Odwróciłam się, podniosłam do góry pistolet i coraz głębiej wchodziłam w wodę. Pies spacerował tam i z powrotem, szczekając teraz tylko od czasu do czasu. Kolejna fala rozbiła się o moje kolana, zalewając mnie aż do pasa. Nagle zimno sprawiło, że na chwilę straciłam oddech. Spojrzałam za siebie. Na szczycie urwiska stał Charlie, na jego widok zadrżałam ze strachu. Światła na zewnątrz domu były teraz włączone, sylwetka jego masywnej postaci złowrogo odcinała się na ich tle, twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu. Patrzył w dół prosto na mnie. Ruszyłam z impetem wzdłuż linii brzegu w stronę najbardziej wysuniętej na południe części plaży, prawie kładąc się w głębokiej po pas wodzie. Dotarłam do śliskich i ostrych skał, wielkich granitowych głazów, które oderwały się z klifów i stoczyły do morza. Brnęłam naprzód, choć przemoknięte dzinsy przylgnęły mi do nóg i tamowały ruchy, pełne wody buty ważyły kilka ton, a na dodatek cały czas musiałam chronić przed wilgocią pistolet, którego nie miałam odwagi się pozbyć. Raz się potknęłam i coś wbiło mi się w lewe kolano, rozrywając dzinsy. Brnęłam jednak do przodu i wkrótce znowu znalazłam się na ubitym piasku, plaża nieco się tutaj rozszerzyła.

Za zakrętem całkowicie straciłam z oczu dom Powersa, jak również oba psy. Wiedziałam, że nie może ich tu być – tak daleko by nie doszły, nawet gdyby próbowały – ale nie byłam pewna Charliego. Nie wiedziałam, czy zdecydował się zejść drewnianymi schodami i ścigać mnie po plaży, czy po prostu czekał. Obejrzałam się za siebie, przerażona, ale wzgórze nie tylko zasłaniało widok, ale przyćmiewało również blask księżyca. Charlie nie miał trudnego zadania. Wystarczyło, żeby wrócił do auta i pojechał drogą równoległą do plaży. Potem mógł zacząć się na mnie na jej końcu. Na końcu trasy oboje się znajdziemy na plaży Ludlow, ale to ja nie będę miała odwrotu. Plaża Harley's Beach była dla mnie gorszą alternatywą, znajdowała się zbyt daleko od światła ulicznych i zamieszkałych terenów. Zaczęłam biec. Nie miałam pojęcia, jak daleka droga jest przede mną, ale nie oszczędzałam się. Mokre ubranie przylgnęło do ciała, lepkie i zimne, ale ja martwiłam się głównie o pistolet. Raz mi upadł, poza tym wiedziałam, że kiedy brnęłam przez skały, dosięgła go woda morska. Wy-

dawało mi się, że nie dostała się do środka, ale nie miałam pewności. Oczy przyzwyczyły się do mroku i widziałam teraz trochę lepiej. Plaża była zasłana skałami i wodorostami, modliłam się, żeby nie skrócić kostki. Jeśli nie będę w stanie biec, Charlie spokojnie mnie odnajdzie, a ja mu nie ucieknę. Obejrzałam się za siebie – ani śladu Charliego. Wszelkie dźwięki zagłuszały rozbijające się o brzeg fale. Wydawało mi się, że go tam nie ma. Kiedy dotrę do plaży Ludlow, mam szansę natknąć się na innych ludzi, może kierowców przejeżdżających akurat samochodów. Dopóki biegłam, nie czułam strachu, adrenalina zagłuszała wszystkie uczucia, istniał tylko przymus ucieczki. Wiatr trochę zelżał, ale zrobiło się zimno, a ja byłam przemoczona do suchej nitki. Plaża znowu się zwężyła. Biegłam teraz w płytkiej wodzie, a kłębiące się fale kępowały moje ruchy. Próbowałam się zorientować, gdzie jestem, ale nie znałam tej okolicy. Dostrzegłam drewniane schody, biegnące zygzakiem na samą górę klifu po mojej lewej. Wysmagana przez wiatr poręcz wydawała się jasna na tle ciemnej płataniny roślin obrastających klif. Spojrzałam w górę. To musiał być położony na szczycie urwiska park plażowy Sea Shore Park. Co oznaczało parking. Co oznaczało domy po drugiej stronie ulicy. Chwyciłam za poręcz i zaczęłam wspinać się do góry pomimo obolałych kolan i ważącej kilka ton klatki piersiowej. Dotarłam na szczyt i spojrzałam za barierkę. Serce mi stanęło.

Powyżej stał zaparkowany mercedes SL 450 Charliego, reflektory skierowane były na ogrodzenie. Skuliłam się i ruszyłam schodami z powrotem w dół, a z gardła wbrew mojej woli wydobył się żaloszny, miauczający skowyt. Oddech mi się rwał, w klatce piersiowej mnie paliło. Zeskoczyłam z ostatniego stopnia na piasek i pobiegłam dalej, jeszcze szybciej. Piasek spowalniał mnie, był zbyt miękki, więc skręciłam odrobinę w prawo, w poszukiwaniu twardszego i dobrze ubitego. Wreszcie zrobiło mi się cieplej, jednak mokre ubranie drażniło skórę, a ze sztywnych od zaschniętej soli kosmyków włosów kapiała woda. W lewym kolanie coś mnie teraz boleśnie kłuło, czułam, że przez nogawkę przecieka coś ciepłego. Tymczasem przede mną wyrosła kolejna przeszkoda, tym razem nie były to skały, ale gładki klin klifu, wbijający się w czarną toń morza. Brodziłam wśród fal, walcząc

z podwodnym nurtem, który próbował mnie porwać, kiedy okrążałam klif. I oto byłam na miejscu. Przede mną rozpościerała się plaża Ludlow. Poczułam taką ulgę, że prawie zapłakałam gorzkimi łzami. Znowu zaczęłam biec, próbując wypracować stałe tempo, które będę w stanie utrzymać. Dostrzegałam już światła i ciemne sylwetki palm rysujące się na tle szarego nieba. Zwolniłam do truchtu, próbując złapać oddech. Wreszcie przystanęłam, zginając się wzdłuż. W ustach miałam zupełnie sucho, strużki potu lub morskiej wody spływały mi po twarzy. Policzki płonęły, a oczy piekły. Wytarłam usta wierzchem dłoni i ruszyłam dalej, tym razem normalnym krokiem. Strach znów powoli we mnie narastał, czułam, jak serce boleśnie wali mi o żebra.

Ta część plaży – pokryta delikatnym, czyściutkim bladoszarym piaskiem – rozszerzała się po lewej, gdzie klif wreszcie przechodził w spadziste zbocze wzgórza, miękko osuwające się na płaski piasek. Dalej widziałam duży parking, a jeszcze dalej – jasno oświetloną ulicę, pustą i zachęcającą. Park plażowy był czynny do ósmej wieczór, więc spodziewałam się, że parking prawdopodobnie będzie zamknięty. Jednak widok bladobłękitnego mercedesa Charliego i tak był dla mnie szokiem – jedyny samochód stojący na wielkiej płycie pustego asfaltu. Reflektory miał włączone i skierowane nieco na ukos w stronę palm. Nie było szans na przemknięcie się przez plażę w taki sposób, żeby mnie nie zauważył. Ciemność, która przedtem trochę ustąpiła, teraz czarną zasłoną odcięła mnie od otaczającego świata. Niewiele widziałam. Nic nie mogłam dostrzec w tym oblepiającym wszystko mroku. Połyskujące w oddali światła ulicznych lamp wydawały się bezużyteczne, absurdalne i okrutne. Ich blask nie mógł wyprowadzić mnie z mroku, wskazywały drogę do bezpiecznego miejsca, jednak była ona poza moim zasięgiem. A gdzie jest Charlie? Czy siedzi w aucie, czujnie obserwuje park i spokojnie czeka, kiedy do niego przyjdę? A może jest na zewnątrz, czai się między palmami, o wiele bliżej plaży?

Znowu przesunęłam się w prawo, stałam teraz po kostki w zimnej wodzie oceanu. Pod wpływem lodowatego zimna krew krzepła mi w żyłach, ale i tak brnęłam dalej, w głąb oceanu. Fale rozbijały się o kolana. Tutaj trudniej mnie będzie zauważyć. Nie widziałam go, ale

przynajmniej on też nie będzie mógł mnie zobaczyć. Gdy już byłam dostatecznie daleko, pochyliłam się i teraz częściowo brnęłam, częściowo płynęłam w delikatnie falującej głębi, poza zasięgiem rozbijających się o brzeg fal. Nikt poza mną nie może wiedzieć, ile mnie kosztowało utrzymanie pistoletu ponad powierzchnią wody. Tylko to się teraz dla mnie liczyło, nie zważałam na obolałe ramię i drętwiejące palce. Włosy falowały mi koło twarzy jak wilgotna gaza. Obserwowałam plażę, starając się dostrzec Charliego, ale niewiele mogłam zobaczyć. Światła w samochodzie nadal były włączone. Nic. Nikt. Oddaliłam się jakieś dwieście metrów od najbardziej wysuniętego na lewo krańca parkingu, byłam teraz prawie naprzeciwko plażowej knajpki – małej oazy ukrytych wśród palm stołów piknikowych, koszy na śmieci i automatów telefonicznych. Opuściłam stopy i pewnie stanęłam na piasku. Ciągle kierowałam się na prawo. Mógł być wszędzie, zaczajony w mroku. Brnęłam w kierunku brzegu, fale kłębiły się na wysokości moich kolan, po chwili sięgały już tylko kostek. Wreszcie ponownie stanęłam na mokrym brzegu i niebawem cicho posuwałam się w stronę parkingu, wyteżając wzrok w ciemności, czy nie dojrzę gdzieś Charliego. Nie mógł mieć w zasięgu wzroku wszystkich miejsc naraz. Przykucnęłam i spojrzałam lewo. Zastygłam w bezruchu, a strach natychmiast powrócił – w płucach rosło lodowate zimno, a dudnienie serca czułam aż w gardle. Cicho i ostrożnie pozbyłam się mokrych dżinsów i butów.

Knajpka znajdowała się dokładnie na wprost mnie – przysadzista konstrukcja z pustaków, o oknach na noc zasłoniętych drewnianymi okiennicami. Posuwałam się w prawo, zapadając się po kostki w sypkim piasku, co było bardziej męczące niż poruszanie się w wodzie. Raptem podskoczyłam. Charlie był tutaj, kątem oka dostrzegłam go z lewej. Znowu przykucnęłam, zastanawiając się, czy mógł mnie zauważyć. Położyłam się płasko na brzuchu, posuwałam się teraz na łokciach. W ten sposób dotarłam aż do miejsca ocienionego przez palmy, które rzucały cień wyraźnie widoczny nawet teraz, w szarości nocy. Zerknęłam w lewo, nadal tam był. Miał na sobie białą koszulę i ciemne spodnie. Wszedł między palmy, tam, gdzie stały stoły piknikowe i zniknął w cieniu. Za mną szumiał ocean, zapewniając odpo-

wiedni podkład muzyczny naszej małej zabawie w kotka i myszkę. Po mojej prawej znajdował się podłużny, metalowy pojemnik na śmieci z pokrywą umieszczoną na zawiasach, sięgał mi do klatki piersiowej.

Usłyszałam, że Charlie odpala samochód i spojrzałam za siebie z zaskoczeniem. Może odjeżdżał. Może pomyślał, że jednak jakimś cudem udało mi się prześlizgnąć i postanowił pojechać dalej, żeby mnie dopaść w dalszej części plaży. Kiedy zawracał, rzuciłam się do pojemnika na śmieci i jednym szarpnięciem podniosłam pokrywę. Podciągnęłam się na ramionach i wskoczyłam do środka, miękko lądując pośród zgniecionych kubków, papierowych toreb i różnych resztek. Musiałam porozpychać się trochę siedzeniem, żeby wymościć sobie trochę miejsca. Spuściłam nogi prosto w śmieci, wstrząsając się z obrzydzenia. Prawa stopa trafiła na niezidentyfikowaną zimną maź. Dla odmiany śmieci, na których siedziałam, były ciepłe jak kupa kompostu; oczami wyobraźni widziałam kłębiące się w nich bakterie. Podniosłam się nieco i oglądając się przez prawe ramię, wyjrzałam na zewnątrz przez szparę, która utworzyła się, bo potężne zwały śmieci blokowały pokrywę. Samochód Charliego posuwał się w moim kierunku, światło reflektorów padało prosto na moją kryjówkę. Skuliłam się, a serce waliło mi jak szalone.

Wysiadł z samochodu, ale zostawił włączone światła. Nawet z miejsca, gdzie byłam ukryta, mogłam dostrzec wąski pasek odbitego światła. Trzasnął drzwiami. Słyszałam jego kroki na asfalcie.

– Kinsey, wiem, że gdzieś tu jesteś – powiedział głośno.

Staralam się nie ruszać. Staralam się nie oddychać.

Cisza.

– Kinsey, nie musisz się mnie bać. Boże, naprawdę tego nie wiesz? – mówił smutnym głosem, z naciskiem, łagodnie, przekonująco.

Czy wyobraziłam sobie to wszystko? Jego głos brzmiał tak jak zawsze. Cisza. Usłyszałam oddalające się kroki. Powoli się wyprostowałam i ostrożnie wyjrzałam przez szparę. Stał nieruchomo, jakieś trzy metry ode mnie. Wpatrując się w ocean, lekko zwrócony w bok. Nagle się odwrócił, a ja szybko wróciłam do poprzedniej pozycji. Usłyszałam zbliżające się kroki. Skuliłam się i uniosłam do góry pistolet. Ręce mi się trzęsły. Może byłam szalona. Może robiłam z siebie

idiotkę. Nienawidziłam zabawy w chowanego. Gdy byłam mała, naprawdę kiepsko mi to szło. Zawsze wyskakiwałam z kryjówki, kiedy szukający znalazł się w pobliżu. Napięcie było tak wielkie, że prawie moczyłam majtki. Czułam, że oczy napęcznieją mi się łzami. Jezu, nie TERAZ, pomyślałam gorączkowo. Strach był jak przeszywający ból. Serce bolało przy każdym uderzeniu, krew huczała w uszach. Na pewno to słyszał. Na pewno już wiedział, gdzie jestem.

Podniósł pokrywę. Promienie światła z reflektorów jego auta oświetliły na złoto jego policzek. Spojrzał na mnie. W prawej ręce trzymał nóż rzeźniczy z dwudziestopięciocentymetrowym ostrzem.

Odstrzeliłam mu łeb.

Policja miasta Santa Teresa przeprowadziła krótkie dochodzenie, w wyniku którego nie wysunięto zarzutów. W aktach dotyczących śmierci Laurence'a Fife'a znajduje się kopia raportu dotyczącego użycia broni palnej „w ramach akcji przeprowadzonej zgodnie ze specyfiką wykonywanego zawodu i w trakcie realizacji związanych z nim zadań”, który wysłałam do szefa Urzędu Kontroli Usług Detektywistycznych. Znajduje się tam również kopia czeku, który wysłałam Nikki w celu zwrotu nadwyżki z pięciu tysięcy dolarów za liczki. Ogólnie mówiąc, za czynności wykonane w trakcie trwającego szesnaście dni śledztwa zarobiłam dwa tysiące dziewięćset siedemdziesiąt osiem dolarów i dwadzieścia pięć centów. Uważam, że to uczciwa stawka. Jednak oddany strzał nadal nie daje mi spokoju. Przez niego znalazłam się w jednym szeregu z żołnierzami i wariatami. Nie miałam zamiaru nikogo zabić. Jednak może to samo mogliby powiedzieć Gwen i Charlie. Jasne, że niedługo dojdę do siebie. Za tydzień, góra dwa będę gotowa do podjęcia kolejnego zadania. Jednak nigdy już nie będę tą samą osobą. Jak bardzo by się człowiek nie starał, życie nigdy nie jest proste. W końcu zawsze trzeba liczyć wyłącznie na samego siebie.

Z poważaniem  
Kinsey Millhone